

PRZE KROJ

6/3 / 9 LUTEGO 2010 / CENA 4,95 ZŁ

(z w.tym 7% VAT)

JE BĘDĘ
RUTUSEM
KOMOROWSKI
APEWNIĄ
AJSZTUBA

>26

ACZEGO
ZJACI
OCNAJĄ
HOPINA

>46

CZŁOWIEKU,
O JA

>34

WÓJ
BRAT

ZNALEŻLI MNIE W POLSCE

PRZEKROJ.PL

ISSN 0033-2488

06

INDEKS 371424



9 770033 248007

KRAKOWSKIE KAMIENICE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska

Stać Cię na dobre sąsiedztwo

www.mieszkaniowy.as

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

PRZE
KROJ

6 | Świat „Przekroju” Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Joanny Mytkowskiej

8 | Kawa bez cukru Bogdana Rymanowskiego

10 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

12 | Ukraina wybiera

16 | Gry i gierki komisji hazardowej

18 | Olimpiada ekolubna

22 | Dajcie Zakopanemu igrzyska – apeluje Andrzej Bachleda

24 | Za dobry dolar

SYLWETKA

26 | Najsztub pyta Bronisława Komorowskiego, czy poda rękę Sikorskiemu

30 | Prezydent Brazylii – to dopiero gość! (tu cytujemy Obamę)

34 | Neandertalczyk znaleziony w Polsce

37 | Skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

38 | Odkrycie: Mężczyźni różnią się od ma!p!

42 | Świat bez aut

44 | Korzystaj ze ściagi i pisz bloga

KULTURA

46 | Zjawisko: Smutny Chopin zachwyca Azję

50 | Muzyka: Mitch & Mitch! Mitch & Mitch!

52 | Komiks: „Wilq” w kolorze

53 | Telewizja: zmienna „Tara”

54 | Film: Berlin znów zachodni

56 | Książki: Zmagania Nyczka z żydostwem

58 | Teatr: „Wiarołomni” w trójkacie

59 | Gry: „Machinarium” – dzieło wybitne

60 | Lektura: Katarzyna Janowska rozmawia z Grzegorzem Jarzyną

OTWÓRZ OCZY

64 | Bajki Józefa Wilkonja

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

49 | Czwarta strona kultury Bartka Chacińskiego

70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami

73 | Stopklatka

74 | Dziennik Jerzego Pilcha

3, 8, 70, 72 | Raczkowski: Rysunki

NIE MOGĘ JUŻ OGŁADAĆ
TEJ „HAZARDOWEJ”.

JA TEŻ.

MAM ŚWIETNY
POMYSŁ!

POOGLĄDAMY
SOBIE
„RYWINOWSKĄ”.

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +O premierach przed komisją: Który był obecny? Był obecny obecny i obecny był były.

przekroj.pl
CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETU

*Tym razem wybieramy
dwugłosy na temat filmowych
premier, które bardzo
podzieliły czytelników naszej
strony internetowej*

„The Limits of Control”, rež. Jim Jarmusch

Wybitny?!?!?!?

Chyba ktoś sobie jaja z czytelnika robi. Film chyba najslabszy w karierze Jarmuscha... Autor recenzji do niezrozumiałego dopisuje jakąś pokreconą ideologię.

– toľdi 2010.02.02 12:39

Jim Jarmusch The Great

„Broken Flowers” czy „Ghost Dog” to były dobre filmy. Ale ci, którzy pamiętają klimat małych salek kin studyjnych z takimi filmami jak „Nieustające wakacje”, „Mystery Train”, „Truposz” – oszałeją ze szczęścia. Jarmusch wrócił do czystej formy swojego kina. Film jest gęsty od wieloznaczności, poezji i muzyki.

– MONika 2010.02.02 23:11



**„Sherlock Holmes”,
rež. Guy Ritchie**

Poražka

Niestety, najnowszy film o Sherlocku Holmesie bardziej przypomina „Anioły i demony” niż stary dobry

„Nine – Dziewięć”, reż. Rob Marshall

Zgadza się recenzentka!!

W 100% marny film!!
– Hermit 2010.01.31 20:31

Dzięki!

Dzięki tej fatalnej „recenzji” (choć to określenie to grube nadużycie)

kryminał wymagający od widza wyłączenia szarych komórek... Totalna strata pieniędzy i czasu. Nie polecam.

– aniazkrakowa 2010.01.27
12:20

Indiana Jones doczekał się następcy

(...) Rzeczywiście, brak w filmie Guya Ritchie staroświeckiej i skądinąd urzekającej atmosfery filmów rodem z BBC ekranizujących prozę A.C. Doyle'a czy A. Christie. Ale nikt chyba nie spodziewał się tego rodzaju filmu po reżyserze „Przekrętu”. Moim zdaniem film jest świetnym przykładem kina awanturniczego

(wywodzącego się z literatury tego gatunku). Nie jest to leniwie płynąca opowieść detektywistyczna, lecz kino akcji z (ocierającą się o prawdopodobieństwo) tajemnicą rodem z powieści gotyckich. Wszystko zmontowane dynamicznie, przyprawione dobrą grą aktorską i współczesnym poczuciem humoru. Jeżeli już poszukiwać analogii – bo oczywiste jest, że film czerpie nie tylko z kina gatunku, lecz z całej kultury popularnej – to raczej nie tyle do doktora House'a, co do Indiany Jonesa. (...)

– MONika 2010.01.28 23:28



Ściemniacze

To bardzo ciekawe: można napisać tekst, który zawiera prawdziwe fakty, ale jako całość jest kłamstwem. To tekst „Rezerwat Gaza”. Autorki bardzo zrecznie omijają temat Hamasu, przemyka na gdzieś po marginesie. A to przecież jest główne źródło tej sytuacji. Cóż to na przykład za stwierdzenie „Izrael boi się, że Hamas wykorzysta rury do budowy rakiet”? Przecież to nie jest żaden irracjonalny lęk, tylko wiedza wynikająca z doświadczenia!

Izrael wycofał się z Gazy całkowicie w 2005! I wtedy Hamas powyrzynał trochę Fatahu i przejął władzę. „Wygrał wybory”, piszą autorki! To skandal, manipulacja. (Łukaszenka też „wygrał” wybory na Białorusi, prawda?). I co, może Izrael miał nie zamykać granicy przed fanatykami, w których konstytucji jest zapisany imperatyw zniszczenia Izraela, którzy już małe dzieci uczą, że Żydzi to świnię i małpy... A autorki: „bo Hamas nie uznaje Izraela”...

Szkoda słów, drogie autorki. Ten tekst to żenada, ściemnianie, hipokryzja... albo przemyślana propaganda. Szkoda, „Przekroju” – i szkoda „Przekroju”.

Piotr Jankowski

Takie są fakty

To bardzo ciekawe: można przeczytać tekst, który opisuje fakty, ale nie zgadza się z Pana tezą, i uznać, że wobec tego tekst jest kłamstwem. Chciałoby się dorzucić: tym gorzej dla faktów. Tymczasem one mówią same za siebie. Sytuacja w Strefie Gazy jest dużo bardziej skomplikowana niż czarno-białe podziały, zaś trzymanie się kurczowo jakiegokolwiek tezy sprawia, że stajemy się ślepi na dramat rozgrywający się poza podziałami. Ani geneza, ani ocena działalności Hamasu nie były tematem artykułu. To zagadnienie szeroko znane i opisywane, także przez „Przekrój”. Tematem komentowanego przez Pana tekstu była natomiast, jeśli Pan się nie zorientował, sytuacja ludności cywilnej żyjącej w zamknięciu, odkąd Hamas przejął władzę. To temat o wiele mniej medialny niż działalność złych terrorystów czy operacja militarna dzielnych izraelskich chłopców. Ale właśnie on – pokazany poprzez zebranie suchych faktów – pozwala zrozumieć, co naprawdę dzieje się w miejscu, na które zwykliśmy patrzeć przez pryzmat nachalnej wojennej propagandy.

Joanna Woźniczko-Czczott

[illegible]

DNI OTWARTE DO 15 LUTEGO 2010

calligaris 

PREMIERY • RABATY

KLER
QUALITY HOME



Obywatel O.

Komisja śledcza do spraw afery hazardowej w rozkwicie, a ja wciąż myślę o innej

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

LOS ANGELES, LATA 20. SAMOTNA matka dziesięcioletniego syna wychodzi do pracy. W tym czasie dziecko znika. Kobieta natychmiast zgłasza zaginięcie. Ale policjanci zajmują się sprawą dopiero następnego dnia. Uspokajają, że syn sam wróci do domu. Parę miesięcy później, gdy matka zainteresowała sprawą media, policjanci w błysku fleszy oddają jej chłopca – wmawiając, że to syn. Oszukana kobieta nie poddaje się, choć policja usiłuje zrobić z niej wariatkę i zamyka ją w szpitalu psychiatrycznym.

Oglądając oparty na autentycznych wydarzeniach film „Oszukana”, opowiadający o walce zrozpaczonej matki z bezdusznym systemem i skorumpowaną policją, przed oczami miałam historię, która zdarzyła się pod Płockiem. Historię coraz dramatyczniej przypominającą scenariusz Clinta Eastwooda.

W 2001 ROKU PO ZAKRAPIANYCH IMIENINACH w gronie lokalnych policjantów biznesmen Krzysztof Olewnik zostaje porwany z własnego domu.

Policja przez dwa lata bezskutecznie szuka zaginionego, skutecznie ignorując ślady mogące doprowadzić do porywaczy. Czas płynie, śledczy krążą wokół miejsc, gdzie bandyci w makabrycznych warunkach przetrzymują ofiarę. Dramat rozgrywa się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od domu ojca, który z prośbą o ratowanie syna na próżno puka do drzwi komisarza, prokuratorów, ministrów.

Nie umiem i boję się wyobrazić sobie, co w ciągu tych dwóch lat przeżywają najbliżsi Krzysztofa Olewnika. Nie umiem i boję się wyobrazić sobie ich ból, gdy w koń-

cu dowiedzieli się, co działo się z ich synem przez ostatnie miesiące. Nie umiem i boję się wyobrazić sobie, co czują teraz, gdy czekają na wyniki ekspertyzy po ekshumacji zwłok, która ma potwierdzić, czy po latach poszukiwań pochowali Krzysztofa, czy kogoś innego.

Ale umiem i chcę sobie wyobrazić sytuację, w której obywatel może polegać na instytucjach powołanych do zapewnienia mu bezpieczeństwa.

GDYBY NADZÓR NAD SPRAWĄ KRZYSZTOFA Olewnika nie był fikcją, prokuratorzy nie działali rutynowo, podwładni nie oglądali się na przełożonych, a prośby i skargi obywatela dotyczące tak poważnej sprawy nie były lekceważone, może Krzysztof Olewnik by żył.

Dlatego jeśli ktoś pyta: kim jest Krzysztof Olewnik i dlaczego akurat w jego sprawie powołano komisję śledczą, odpowiedź jest prosta. To obywatel, którego nie udało się uratować, także dlatego, że zawiodło państwo.

OSZUKANA MATKA, KTÓREJ HISTORIĘ opowiedział Eastwood, nigdy nie odnalazła syna. Ale jej przypadek sprawił, że w Kalifornii zakazano umieszczania przez policję obywateli w szpitalu psychiatrycznym bez nakazu aresztowania.

To nie jest happy end. To minimum sprawiedliwości i zdrowego rozsądku. Parafrazując niefortunne słowa piosenki Wassermanna, które padły podczas przesłuchania premiera Tuska, nad historią Olewników nie wystarczy zapłakać. Sprawujący władzę muszą z niej wyciągnąć wnioski.



Cywilizacja jest gdzie indziej
Wiedzę o sobie musimy negocjować za granicą

JOANNA MYTKOWSKA

PRZYZWYCZAILIŚMY SIĘ JUŻ DO DONIESIEŃ O TAK ZWANYCH SUKCESACH polskiej sztuki za granicą. 10 lat temu to właśnie „Przekrój” jako pierwszy zaczął o nich obszerniej pisać. Dziś każdy wie o wystawie Mirosława Bałki w Tate Modern w Londynie. I wspaniale. Dziwi mnie tylko, że nikt nie ubolewa nad tym, że to wszystko ciągle dzieje się gdzie indziej. Kiedy jakiś zagraniczny artysta odniesie sukces w Polsce? Kiedy kultura w Polsce zacznie się liczyć? A dobra passa polskiej sztuki za granicą trwa, a nawet tendencja ta rozszerza się i pogłębia. 12 lutego w nowo otwartym Centrum Sztuki w Nottingham w Anglii pojawi się ekspozycja zatytułowana „Gwiezdne miasteczko”. Wizje przyszłości w czasie komunizmu. Wystawa przygotowana przez Łukasza Rondudę opowiada o futurystycznych wizjach, jakie kreowano w czasach propagandy sukcesu.

W ramach wystawy publiczność prowincjonalnego angielskiego miasta może zapoznać się z takimi fenomenami, jak ikonografia zjazdów partii komunistycznej, Walentina Tierszkowa i koncepcje futurologiczne Stanisława Lema.

Kilka dni później w Centrum Sztuki Witte de With w Rotterdamie otworzy się wystawa „Mógłbym żyć w Afryce” o polskiej sztuce lat 80. Przygotował ją Michał Woliński, redaktor cenionego na świecie artystycznego pisma „Piktogram”. Różnorodne badania źródłowe, rzadkie materiały wizualne i muzyczne, a także spektakularna rekonstrukcja rzeźby „For Jean Bedel Bokassa” autorstwa grupy Neue Bieriemiennost (M. Bałka, M. Filonik, M. Kijewski) z 1987 roku składają się na niezwykłą propozycję interpretacyjną życia w Polsce w latach 80. Mamy więc do czynienia z pozytywnym zjawiskiem eksportu wiedzy. Ale można też powiedzieć, że jesteśmy kulturalną prowincją, a wiedzę o sobie samych i o świecie musimy negocjować za granicą. Normalność zapanuje wtedy, gdy w średniej wielkości polskim mieście normalnym stanie się uczestnictwo w ambitnym projekcie dotyczącym na przykład punk rocka w Wielkiej Brytanii albo holenderskiej architektury współczesnej. Wtedy też wystawy polskich artystów za granicą staną się oczywistością. Ale do tego potrzeba inwestycji w kulturę, w nowoczesne mechanizmy dystrybucji wiedzy oraz przekonania, że cywilizacja zaczyna się od szerokiego dostępu do kultury.

I to jest ten skok cywilizacyjny, który ciągle musimy wykonać. Czy Pan go rozumie podobnie, Panie Premierze?!

Autorka jest dyrektorem Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

* Na naszych łamach będą się pojawiać ludzie z „Orbity »Przekroju«”

Noble Concierge



Już w ten czwartek, 11 lutego br. na stronie Noble Concierge pojawi się pierwszy w Polsce raport na temat usług *Made to Measure*

Na polskim rynku jest dostępnych wiele usług, o których przeciętny człowiek nie ma pojęcia. Produkty i usługi „szyte na miarę” to najwyższy stopień luksusu, ponieważ są tworzone na konkretne potrzeby każdego klienta, są niepowtarzalne i bardzo indywidualizowane. Spełniają nawet najbardziej wyrafinowane wymagania. O tym właśnie piszą autorzy magazynu L'Éclat.

Co się nosi w tym sezonie

Wydanie specjalne L'Éclat *Made to Measure* stworzył zespół Noble Concierge. Podstawą do jego opracowania było doświadczenie w pracy z Klientami, dzięki czemu twórcy poznali ich bieżące potrzeby, zainteresowania, a także niektóre obszary życia ekskluzywnego, na najwyższym poziomie. Okazało się, że zaraz obok motoryzacji to właśnie moda jest tematem, który najbardziej interesuje klientów Noble Concierge. Chcą znać

aktualnie obowiązujące trendy, zapowiedzi na kolejne sezony, chcą wiedzieć co się nosi i jak. Prośby klientów są coraz odważniejsze, co świadczy o wzrastającej świadomości modowej. Mężczyzna ubrany w garnitur szyty na miarę, ręcznie wykonaną koszulę oraz buty będące dziełem znanego mistrza szewskiego już na pierwszy rzut oka sprawia bardzo dobre wrażenie. Poza tym jest... inny, odbija od tłumu przyodzianego w nawet drogą ale jednak gotową konfekcję.

Fragment raportu *Made to Measure*, Stylizacja – co i dlaczego warto nosić?

tekst: Marek Buczyński, Indywidual Tailoring:

„Bazując na obserwacjach, klienci dzielą się na dwie główne grupy. Pierwszą grupę stanowią osoby bardzo świadome swoich oczekiwań, takie które odwiedzają showroom z dokładną wizją swojego przyszłego ubrania, a rolą doradcy/krawcy jest pomóc tę wizję zrealizować. Druga grupa to klienci, dla których szycie na miarę jest okazją do

polepszenia swojego stylu oraz do wybrania ubrania najlepiej pasującego do czasem nie do końca idealnej sylwetki. Chcą oni również dowiedzieć się, w czym najkorzystniej będą wyglądać”

Co, kto i gdzie szyje na miarę

W specjalnym wydaniu L'Éclat *Made to Measure* prenumeratorzy znajdują firmy działające na polskim rynku, mogące zaoferować im to, czego oczekują w kwestii mody na miarę. Nie trzeba już jechać do Londynu na Savile Row aby uszyć bajeczny garnitur, który leży jak ulał, podkreśla to co trzeba i kryje to, czego akurat nie warto pokazywać. W Polsce też potrafią. Mistrzowie szyjący buty, których nie czuje się na nogach, chętnie obsłużą klientów Noble Concierge. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich znaleźć. Bo nie są to firmy, które korzystają z krzykliwej, powszechnej reklamy. Elegancja i dyskrecja – to ich hasło.

PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elle

Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski; reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frackiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wieczorek (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Rykiel, Anna Szulc; stale współpracują: Piotr Najstut, Bogdan Rymanowski ZAGRANICĄ: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniak-Czeczott CYWILIZACJA: nauka@przekroj.pl, Jacek Ziemiński PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyktar, art.), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, ROZMAITOŚCI, KRZYŹDŁA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45 PAN OD RYSUNKÓW: Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolek, Marcin Zegarek, PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński i Bartek Chaciński KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meas

GREMI GRUPA

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ: Juliusz Urbanowicz, Marek Zajac DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myślik SEKRETAZ REDAKCJI: Magda Gedziorska SEKRETARIAT: Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 KULTURA: kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frackiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wieczorek (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Rykiel, Anna Szulc; stale współpracują: Piotr Najstut, Bogdan Rymanowski ZAGRANICĄ: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniak-Czeczott CYWILIZACJA: nauka@przekroj.pl, Jacek Ziemiński PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyktar, art.), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, ROZMAITOŚCI, KRZYŹDŁA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45 PAN OD RYSUNKÓW: Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolek, Marcin Zegarek, PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński i Bartek Chaciński KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meas

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWNIKOWYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

Raport liczy 170 stron. Dostępny jest od 11 lutego 2010 r. na www.leclat.pl

KAWA BEZ CUKRU

List dziękczynny do wysokiej komisji!

Jeśli macie problemy z pamięcią, spójrzcie na świadków komisji śledczej, oni mają dużo większe

Bogdan Rymanowski, TVN

WIELCE SZANOWNI ŚWIADKOWIE
I CZŁONKOWIE WYSOKIEJ KOMISJI!

Do końca życia pozostanę Wam wdzięczny za to, co uczyniliście dla mej skromnej osoby. Z każdym dniem Waszych przesłuchań czułem się coraz pewniej. Dzisiaj moja wdzięczność dla Was jest wręcz niewypowiedziana.

Dziękuję Wam najmocniej, jak potrafię, za to, że zdołaliście mnie wyleczyć z najgłębiej skrywanego kompleksu. Nie obnosiłem się z tym publicznie, bo to przypadłość przykra i krępująca.

Nieraz budziłem się zły potem, a zaraz potem umierałem ze szczęścia, że to tylko sen. Koszmar zawsze był taki sam. Wchodzę do studia, zaczyna się program, a w głowie czarna dziura. Nie wiem, co powiedzieć, uleciały gdzieś wszystkie pytania, kompletna pustka. Nie mam nawet pojęcia, jak nazywa się gość, którego zaprosiłem.

Mogą Państwo wyobrazić sobie, jak ciężkie jest życie z tak upokarzającą świadomością, że coraz mniej się pamięta?! Kiedyś miało się łeb jak sklep, teraz to tylko durszlak, z którego informacje wyciekają z prędkości światła. To naprawdę straszne.

Na szczęście to już przeszłość. I to – podkreślam raz jeszcze – dzięki Wam. Proces wychodzenia z kompleksu „braku pamięci”, jaki mi zafundowaliście, był niezwykle skuteczny, ale bynajmniej wcale nie lekki, łatwy i przyjemny. Aby terapia się udała, trzeba było spędzić z Wami przed telewizorem dobrych kilkadziesiąt godzin.

Rozpoczęła się od przesłuchania Zbigniewa Chlebowskiego. Pytany o podsłuchane rozmowy, o to, „z kim stoczył prawdziwą wojnę”, świadek ów nie tylko nie pamiętał słów, które z własnej i nieprzymuszonej woli wypowiedział. On nawet nie pamiętał ich kontekstu, o okolicznościach rozmów nie wspominając.

Przyznaję szczerze, że z każdą minutą niepamięci posła Chlebowskiego rosła we mnie wyrozumiałość wobec samego siebie. No bo jeśli były szef komisji finansów publicznych nie jest w stanie przypomnieć sobie rozmów sprzed paru miesięcy, to cóż dopiero wymagać ode mnie – skromnego pracownika mediów – abym pamiętał o wywiadzie sprzed tygodnia. Zabrzmi to nieco bezwstydnie, ale już dawno nikt i nic nie poprawiło tak bardzo mojej samooceny.

Po solidnej dawce odpowiedzi à la „to nie miało dla mnie znaczenia” oraz „odpowiadam, jak potrafię” świadka Chlebowskiego przyszła pora na Mirosława Drzewieckiego. A wraz z nią nadzieja, że moje samopoczucie jeszcze się poprawi. Intuicja mnie nie zawiodła. „Nie wiem”, „nie wykluczam”, „nie pamiętam”, słowa te znowu były wypowiadane z częstotliwością kilkunastu na godzinę.

Ale były również momenty oburzające. – Jak często bywał u pana w domu Ryszard Sobiesiak? – znął się nad świadkiem poseł Arłukowicz. – Nie pamiętam – odpowiadał Drzewiecki. – A o czym rozmawialiście? – bez litości ciągnęła za język posłanka Kempa. – Nie pamiętam – odpierał ataki Drze-

wiecki. To było okrutne. Totalny brak empatii dla świadka. Nie mówiąc o choćby odrobinie współczucia dla człowieka, który przecież nie tylko ma prawo do własnej niepamięci, ale „w dodatku jest ślepy i nie widzi, kto do niego dzwoni”.

Gdy myślałem, że to już koniec terapii – czułem się świetnie, kompleks prawie ustąpił – nadszedł dzień przesłuchania Grzegorza Schetny. I znowu miła niespodzianka. Proszę bardzo, sam były wicepremier, a rozmowy z panem Sobiesiakiem też nie pamięta! No, może poza drobiazgiem, że „trwała kilkadziesiąt sekund, a może minutę z kawałeczkiem”. Zupełnie jak ze mną. Zdarza się, że wieczorem nie jestem w stanie przypomnieć sobie, z kim i o czym rozmawiałem rano.

Jednak pełna satysfakcja przyszła w czasie zeznań Donalda Tuska. Premier nie zawiódł. „Nie jestem do końca pewien”, „Nie na sto procent”, „Nie mam w pamięci”, „Nie wydaje mi się”, „Nie przypominam sobie”. Mój wstydlivy kompleks niknął z każdą minutą tego trzynastogodzinnego przesłuchania. Przepadł zupełnie, gdy Beata Kempa nie pamiętała, co premier mówił kilka sekund wcześniej.

W przypadku posłanki „pamięć wróciła”, gdy odtworzono nagranie. W przypadku świadków trzeba chyba będzie poczekać na billingi, BTS-y i odtajnione przez prokuraturę dokumenty. □



Dziękuję Wam najmocniej, jak potrafię, za to, że zdołaliście mnie wyleczyć z najgłębiej skrywanego kompleksu

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



więcej obrazków na galerii.przekroj.pl

Wielki konkurs dla zakochanych!

Szukasz idealnej biżuterii na wyjątkową okazję, a może już masz? Każdy produkt firmy DIAM'OR uprawnia do wzięcia udziału w konkursie.

- Wygraj tydzień w Paryżu dla dwojga.
- Złotą biżuterię z brylantami firmy DIAM'OR.
- Markowe zegarki.
- Płyty DVD z rewelacyjną komedią romantyczną "Narzeczony mimo woli".



DIAM'OR
Brylanty oprawione w miłość



DIAM'OR towarzyszy Wam w wyjątkowych chwilach już od 21 lat. Biżuteria DIAM'OR dostępna jest w ponad 250 sklepach jubilerskich na terenie całego kraju.

Aby wziąć udział w konkursie dowiedz się więcej na stronie:

www.konkurs.diamor.pl

KRÓTKO

WSPÓLNYM WYSIŁKIEM BUDUJEMY ŁAMY

Ostry biznes

Nóż na łycie postawił służby na nogi

WYBIERAJĄCEGO SIĘ do Londynu 28-latkę z Krakowa funkcjonariusze Straży Granicznej lotniska w Balicach wytypowali losowo do kontroli. Okazało się, że taśmą klejącą przylepił do łydki nóż z tworzywa sztucznego (nie do wykrycia przez detektor). Wyjaśnił, że sprowadza używane samochody, ale nie ufa kontrahentom, a mając tylko bagaż podręczny, musiał jakoś nóż ukryć. Widocznie mu uwierzono, bo wyszedł na wolność z mandatem 500-złotowym. – *iggy*



Kolor gada

Dinozaury były różnobarwne jak rybka Nemo

PORÓWNANIE KOMÓREK wytwarzających barwnik u współczesnych zwierząt ze skamieniałymi komórkami dinozaurów pokazuje, że gady te były kolorowe. Magazyn „Science” opisuje barwy na przykładzie żyjącego 150 milionów lat temu *Anchiornis huxleyi*. Był wielkości kury, miał rudawą czuprynę i białoczarne pióra wokół nóg i na skrzydłach. Chińscy naukowcy miesiąc temu opisali kolory *Sinosauropteryxa*. Jego ogon pokrywały paski w barwach rybki Nemo – pomarańczowo-białe. – *urs*

Odszkodowanie za oglądanie

Pedofile zapłacą ofiarom

AMY (NAZWISKO UTAJNIONE) jako dziecko była wykonywana przez wujka produkującego pornografię. Dziś pierwsza w USA żąda odszkodowań i od wujka, i od tych, u których znalezione zostaną jej filmy i fotografie. Sąd stanu Connecticut już nakazał jednemu z posiadaczy zdjęć wypłatę 130 tysięcy dolarów odszkodowania. Łącznie Amy domaga się prawie 3,5 miliona dolarów. Takich pozwów może przybywać. Prawnicy zapowiadają, że rząd będzie zmuszony stworzyć fundusz, z którego ofiary dostaną rekompensatę, jeśli nie uda się wyegzekwować pieniędzy od skazanych. – *mac*

Poszedł za miliony

Oto nowe najdroższe dzieło sztuki na świecie

U WSZYSTKICH LUDÓW rzeźba rozkwita bardziej niż malarstwo, jednakże rysunek jest podstawą wszelkiej sztuki – pisał 16-letni Alberto Giacometti w szkolnym referacie. Zapewne nie przypuszczał, że jego rzeźba będzie najdroższym dziełem sztuki w dziejach. W zeszłą środę za pośrednictwem londyńskiego domu aukcyjnego Sotheby's anonim kupił od Dresdner Bank „Idącego człowieka I” (1961) – jedną z najbardziej znanych rzeźb surrealisty – za 65 milionów funtów (266 milionów złotych). – *masz*



CZERWONI Z PRAWA I LEWA



Polityczne napięcie rośnie

Studenci z Caracas w proteście przeciw polityce prezydenta Hugo Cháveza parodiują czerwone marsze jego zwolenników. Chávez zamknął niedawno ostatnią niezależną stację telewizyjną, zabrał obywatelom oszczędności, dewaluując walutę – bolívara – i ograniczył dostawy prądu. – *mac*

POLITYKA RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Będą się jednać?

Katyni może nie będzie już dzielił Polski i Rosji, ale może podzielić Tuska i Kaczyńskiego

POLSKA I ROSJA STARAJĄ SIĘ, BY UROCZYSTOŚCI upamiętniające 70. rocznicę zbrodni katyńskiej miały wyższą rangę, niż pierwotnie planowano – dowiaduje się nieoficjalnie „Przekrój”. Z naszych informacji wynika, że Adam Rotfeld i Anatolij Torkunow – współprzewodniczący polsko-rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych – zaproponowali MSZ Rosji, aby premierzy obu krajów przyjechali do Katynia na osobne spotkanie. Dotąd mówiło się, że pojadą tam przy okazji posiedzenia polsko-rosyjskiej komisji międzyrządowej planowanego na początek kwietnia w Kaliningradzie.

W zeszłym tygodniu premier Władimir Putin nieoczekiwanie zaprosił Donalda Tuska do wspólnego upamiętnienia ofiar mordu w Katyniu. W Polsce ogłoszono to jako przełom, w Rosji prawie nikt o tym nie mówił. – No bo gdzie tu przełom? – wyjaśnia rosyjska politolog Irina Kobrinskaja. – Już Gorbaczow i Jelsyn przyznawali, że Katyni to robota NKWD. Ale dziwię się, że rozmowy w sprawie spotkania toczą się na szczelnie zaszyfrowanych, a nie prezydentów.

Zaskoczony był też Lech Kaczyński, który zapowiedział, że i tak weźmie udział w uroczystości. – To byłoby wbrew protoko-

wi – mówi Kobrinskaja. – Ale jeśli będzie skandal, to ucierpi na tym wizerunek Polski, a nie Rosji.

Mianem zbrodni katyńskiej polscy historycy określają wymordowanie przez NKWD wiosną 1940 roku prawie 20 tysięcy polskich oficerów. Rosja do tej pory nie chce uznać tego za zbrodnię. Naczelna Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej oświadczyła, że w Katyniu dopuszczono się wspólnego przestępstwa, które uległo przedawnieniu. Rodziny katyńskie zaskarżyły tę decyzję do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który podzielił ich zastrzeżenia. Do 19 marca Rosja ma wyjaśnić Trybunałowi, dlaczego materiały, śledztwo i uzasadnienie wyroku zostały utajnione i dlaczego bliscy ofiar nie mają statusu pokrzywdzonych, a ofiary – szans na rehabilitację.

– To ważne, że Putin zgodził się przyjechać do Katynia – mówi „Przekrojowi” profesor Wojciech Materski, historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN. – Nawet jeśli nie powie nic istotnego, to sama jego obecność będzie jasnym sygnałem dla tych, którzy negują udział Rosji w zbrodni katyńskiej. Ale czy będzie przełom? Poczekajmy do 19 marca.

Jeśli przełomu nie będzie, Putin i Tusk spotkają się nad grobami „ofiar przestępstwa”.

Pogoda

WART NIECIEŁE 200 EURO NIŻ PRZERAZIŁ POLSKĘ

PROGNOZY BYŁY ZŁOWROGIE: mroź, porywisty wiatr, gęsty śnieg. Zawieje i zamiecie. A najgorsze było to, że zbliżający się w zeszłym tygodniu niż miał własne imię, niczym wielkie huragany w USA. Wyglądało na to, że „Miriam” będzie bezlitosna – o czym przez dwa dni ostrzegali polskie media. Zgodnie z zasadami Światowej Organizacji Meteorologicznej (ŚOM) oficjalne imiona dostają jedynie głębokie niż tropikalne i subtropikalne, czyli huragany, cyklony oraz tajfuny. Zasada ta została wprowadzona w latach 50., aby uprościć wymianę informacji pomiędzy ośrodkami meteo.

Przyznawaniem nazw zajmują się wyznaczone instytucje. Na północnym Atlantyku – National Hurricane Center z USA, na środkowym Pacyfiku – Central Pacific Hurricane Center z Honolulu, a na północno-zachodnim Pacyfiku – Tokyo Typhoon Centre. By zachować porządek, imiona wybierane są kolejno z listy zatwierdzonej przez ŚOM.

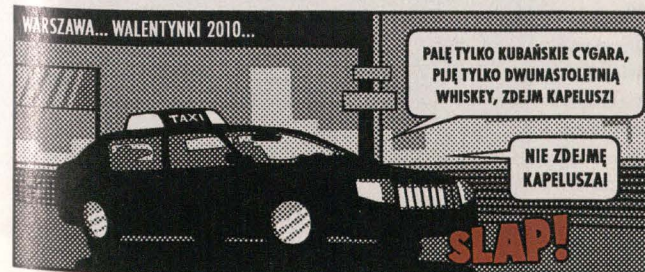
Dlaczego jednak zwykły zimowy europejski niż dostał imię „Miriam”? – To na pewno nie my – Katarzyna Bieniek z biura prasowego IMiGW odsyła do dyżurnego synoptyka Michała Jaworskiego. A ten podaje adres internetowej instytucji meteorologii przy Uniwersytecie w Berlinie, który każdemu chętnemu sprzedaje prawo do nazwania europejskiego wyżu (299 euro) lub niżu (199 euro). Ojcem chrzestnym niżu „Miriam”

– jak czytamy w wykazie nabywców – jest niejaki Marcus Getta. Berliński instytut tłumaczy, że sprzedaż nazw ma podreperować budżet placówki. Całą operację można przeprowadzić przez Internet pod adresem <http://www.met.fu-berlin.de/adopt-a-vortex>. – I niż, i nazwa przysły z Niemiec. To imię w najmniejszym stopniu nie ma charakteru oficjalnego – podkreśla Michał Jaworski. – *iggy*



Padalo i wiało, ale na pewno „Miriam” huraganem nie była

REKLAMA



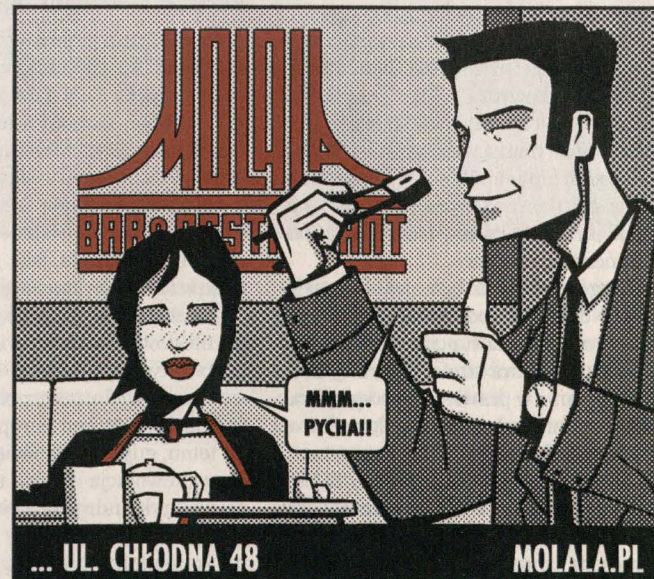
WALENTYNKOWY WEEKEND TYLKO W RESTAURACJI MOLALA

KULTURA

Łódź zatopila Gehry'ego

Miasto straciło prestiżowy festiwal filmowy

NIE POMOGŁO OKUPOWANIE URZĘDU MIASTA ani wsparcie osobistości świata filmu – projekt Camerimage Łódź Center (CLC) na razie dostał od władz miasta czerwone światło, w efekcie dyrektor festiwalu Plus Camerimage Marek Żydowicz zdecydował o wyprowadzce imprezy z Łodzi. – Czas ruszyć w drogę. Ciasno się zrobiło w Łodzi pełnej polityków walczących o ster – tłumaczy „Przekrojowi” Żydowicz. CLC – kompleks według projektu Franka Gehry'ego – miał się stać siedzibą festiwalu. Zgodnie z umową zawartą między miastem a fundacją Tumult, której szefem jest Żydowicz, budowa CLC ruszyłaby w 2012 roku. – Aby tak się stało, miasto musiałoby zainwestować teraz. Kilka miesięcy zajmie wykonanie projektu budowlanego, drugie tyle zdobycie pozwolenia na budowę – tłumaczy rzecznik festiwalu Marcin Tercjak. Ale radni opóźniali wyłożenie pieniędzy, uzależniając ich przyznanie od inwestorów zewnętrznych. – Na razie nie zdradzę szczegółów – mówi Żydowicz o przyszłości festiwalu. Wiadomo, że zainteresowane jego przejęciem są Poznań i Gdynia. Żydowicz wspominał też kiedyś o... Los Angeles. – Plus Camerimage będzie istniał, gdziekolwiek się przeniesie – mówi nam operator Sławomir Idziak. – Wielką szkodą i hańbą dla Łodzi byłoby jednak, gdyby tak ważna impreza przeniosła się za granicę – dodaje. – *kp*



... UL. CHŁODNA 48

MOLALA.PL

JESZCZE NIE ZGINEŁA

NAJWAŻNIEJSZA ZMIANA PO WYBORACH
NA UKRAINIE TO **ROZPAD TRÓJKĄTA
TYMOSZENKO-JANUKOWYCZ-JUSZCZENKO,**
KTÓRY OD PIĘCIU LAT DOMINOWAŁ
NA DOBRE I NA ZŁE. NAJCZĘŚCIEJ NA ZŁE.
CZY TERAZ BĘDZIE LEPIEJ?

UKRAINA ANDRZEJ BRZEZIECKI*

„PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ, WY, KTÓRY tu wchodziecie” – cytat z bramy do piekieł w „Boskiej komedii” wielu komentatorów zawiesiłoby na ukraińskich przejściach granicznych. Polityczny chaos, bójk w parlamencie i gospodarczy kryzys – oto dzisiejsza Ukraina. Gdy jeszcze niedawno w kraju rządili i dzielili Julia Tymoszenko, Wiktor Janukowycz i Wiktor Juszczenko, karierę nad Dnieprem robiło powiedzenie, że obywatele muszą wybierać między „k... złodziejem i idiotą”. Wiarę w szybką integrację tego państwa z Unią Europejską porzucili już nawet Polacy, ostatni kibice pomarańczowej rewolucji.

Kręgów ukraińskiego piekła jest więcej niż dziewięć: postsowiecka mentalność, populizm, korupcja, nieefektywna gospodarka, szara strefa, dziurawy budżet, gmeranie w prawie wyborczym, brak infrastruktury, polaryzacja społeczeństwa, choroby społeczne...

Ale naddnieprzańska Wielka Smuta miała się skończyć wraz z wyborami prezydenckimi. Politycy – zamiast agitować – mieli się zabrać do pracy.

Nie łudźmy się. Wiele się nie zmieni. Następną kampania, tym razem par-

lamentarna, rozpocznie się wkrótce, może nawet w maju. Trzeba jednak uczciwie odpowiedzieć sobie na pytanie: czy na Ukrainie jest aż tak źle?

Prawda z różnych kanałów

Pomarańczowa euforia ostygła już po roku. Nigdy nie zapomnę wizyty w domu Lesi Gongadze, matki dziennikarza Georgija, którego zamordowano prawdopodobnie na polityczne zlecenie. W telewizji akurat pokazywano archiwalne migawki przedstawiające panią Gongadze przemawiającą do demonstrantów na Majdanie: „Jaka byłam głupia, jaka naiwna” – patrząc w telewizor, kręciła głową.

Ale nawet tak uzasadnione rozgoryczenie nie powinno zdaniem innych przesłonić pozytywnych faktów: – Nie zgadzam się z oceną wielu, także polskich, mediów, że Kijów jest dziś od Europy dalej niż pięć lat temu, gdy triumfy święciła pomarańczowa rewolucja – mówi twardo ukraiński historyk Andrij Portnow.

Apokaliptyczne oceny i alarmistyczne komentarze biorą się głównie stąd, że Ukrainę porównujemy do zachodniego ideału – zakładając, że urządzenie pań-

Obywatele
wiedzą swoje:
**ukraińska
polityka się
sprostyowała**

stwa tak jak w UE jest modelem najlepszym i jedynym. Racja. Tyle że na Ukrainę trzeba patrzeć w kontekście.

Przecież dopiero w ubiegłym roku dojrzałość osiągnęli tam pierwsi obywatele, którzy urodzili się w niepodległym państwie. Przez wieki zwalczano na tych ziemiach ideę narodową; jako sąsiedzi mamy w tym niechlubny udział. Na dodatek w ostatnim stuleciu Ukraińców poddano działaniu „najlepszego ustroju na świecie”, i to w zdecydowanie większym stopniu niż na przykład Polaków.

To był punkt wyjścia w 1991 roku i ostatnie 20 lat nie mogło wiele zmienić. A jednak mapa Ukrainy wryła się w świadomość społeczeństwa. U zarania niepodległości państwo to odpowiedzialnie wyrzekło się broni atomowej i uniknęło poważnych wstrząsów. To dużo więcej, niż oczekiwali analitycy CIA, którzy na początku lat 90. przepowiadali jego rozpad.

Z tej perspektywy polityczne awantury, protesty i oskarżenia o wyborcze nieprawidłowości to nie koniec świata. Na-

ród ukraiński zarówno podczas pomarańczowej rewolucji, jak i kolejnych wyborów dowodzi przywiązania do demokracji. Frekwencja wyborcza bywa tam o co najmniej kilkanaście procent wyższa niż w Polsce.

Jako dziennikarz widziałem wiele festynów ukraińskich polityków – w stolicy i mniejszych miastach. Po trzy-cztery spotkania dziennie, na deszczu, w zimnie, aż do zdarcia głosu. Widziałem, jak kandydaci występowali w ogólnokrajowej telewizji i lokalnych stacjach, byle wyrwać

* **Andrzej Brzeziecki**
jest redaktorem
naczelnym
dwumiesięcznika
„Nowa Europa
Wschodnia”

jeszcze kilkaset głosów. Tak nie zachowują się ludzie przekonani, że zwycięstwo można kupić, lecz dobrze rozumiejący, że wyborców trzeba pozyskać, oczarować, choćby omamić.

Znany ukraiński dziennikarz i komentator Radia Swoboda Witalij Portnikow jest bardziej sceptyczny: – Ukraińska demokracja jest umowna, bo społeczeństwo nie bierze udziału w procesie podejmowania decyzji. Istota naszego ustroju polega na walce klanów – mówi Portnikow. →



→ Owe klany, czyli elita polityczno-finansowa, po okresie burzy i naporu w poprzedniej dekadzie nieco się jednak uspokoiły. Być może nasyciły się ukradzionym pierwszym milionem, a może pomarańczowa rewolucja ustaliła ostrzejsze reguły. Jedno nie ulega wątpliwości: w przeciwieństwie do innych krajów postsowieckich na Ukrainie nie dochodzi już do zabójstw postaci związanych z polityką i biznesem. Także dziennikarze poczuili się bezpieczni. Media ukraińskie należą do różnych zwalczających się grup interesu i właśnie to zapewnia im... pluralizm. Takiej wolności słowa nie ma w żadnej innej, z wyjątkiem bałtyckich, byłej republiki radzieckiej.

Media elektroniczne, które są pod skrzydłami oligarchów, oczywiście nie mówią całej prawdy. Ale gdy się obejrzy kilka różnych kanałów, to ogólny obraz można złożyć – uważa Roman Kabaczij, redaktor pisma „Ukrajinskyj tyżeń”, opiniotwórczego tygodnika wydawanego po ukraińsku.

Wiele się mówi też o separatyzmach, ale tak naprawdę nikomu się nie spieszy do rozbijania jedności państwa. Nawet ci politycy i oligarchowie, których podejrzewa się o prorosyjskie nastawienie, cenią sobie granicę państwową. Bo ta granica oddziela ich od surowego spojrzenia, a czasem i ciężkiej ręki Władimira Putina.

Nikt nie chce być gubernatorem mianowanym z Kremla, więc jakiś instynkt państwowy nasza klasa polityczna już ma – ocenia Andrij Portnow. – Inna sprawa, że ciągle brak nam w polityce ludzi, którzy cenią sobie kraj i naród bardziej niż majątek i hobby.

Czy dlatego politycy nie kwapią się do reform?

Ukraińcy głoszą nogami

– Liderzy głównych sił politycznych potrzebują pieniędzy z szarej strefy. Boją się, że po reformach by przepadli – mówi Roman Kabaczij. – Każdy z uczestników gry wyznaje zasadę, że trzeba mieć swojego prokuratora, swojego przewodniczącego komisji wyborczej, swojego marszałka w parlamencie, bo nie można liczyć na uczciwe decyzje.

Nic dziwnego, że w ostatnim roku Ukraina zaliczyła bolesny upadek w międzynarodowych rankingach, na przykład o 12 pozycji w antykorupcyjnym indeksie Transparency International, lądując dopiero na 146. miejscu.

Ale trudno też zaprzeczyć, że Ukraina jest państwem na swój sposób stabilnym. Gdyby brać pod uwagę tylko oficjalne dane, właściwie powinna przestać istnieć – PKB spadł w ubiegłym roku o grubo ponad 10 procent. Jednak krótki spacer nie tylko po kijowskim Chreszczatyku, ale też po centrum każdego obwodowego miasta rozwiewa posępne nastroje. W Kijowie pobeżny obserwator nawet nie zorientowałby się, o jakiej zapaści mowa. W różnych dzielnicach miasta pną się apartamentow-



To już ostatnia warta honorowa w pałacu prezydenckim dla Wiktora Juszczenki i jego żony

ce, których rozmach zawstydziłby Warszawę. Zgoda, że dobre auta i ekskluzywne sklepy to nie wszystko – można je spotkać nawet w najbardziej upadłych państwach. Jednak w przypadku Ukrainy odzwierciedlają one dążenia i wysiłek ludzi, którzy oficjalnie zarabiają średnio około 240 dolarów miesięcznie.

Od początku kryzysu nad Dnieprem nie było też poważnych społecznych wystąpień. Ludzie narzekają, ale nie załamują rąk. Spośród moich ukraińskich znajomych nie ma nikogo, kto nie harowałby na dwóch etatach. I nie myślę tu o dziennikarzach czy wykładowcach, ale też o księgowej i miejskim przewodniku. Ktoś pracował w firmie udzielającej kredyty, dziś pracuje w firmie... rewindykującej długi.

– Nie jest aż tak różowo – studzi Portnikow. – Wielu szuka pracy, wielu przyjezdnych musiało opuścić Kijów.

Bo życie w stolicy do tanich nie należy. Kryzys z pewnością przyniósł też Ukrainie regres, na przykład niektórzy pracodawcy wrócili do metody wypłacania części pensji „pod stołem”. Ale – choć to niepoprawne polityczne stwierdzenie – nawet ekonomiści przy-

znają, że szara strefa okazała się zbawienna. Na Ukrainie według niektórych wyliczeń to nawet połowa gospodarki. Około trzech milionów Ukraińców pracuje w krajach UE, dwa miliony zaś w Rosji. Do kraju wpływa z tych źródeł ponad osiem miliardów euro rocznie. Biorąc pod uwagę, że by wyjechać do Rosji, nie trzeba wż, zestawienie to dobitnie pokazuje, że Ukraińcy już głoszą za Europą. Na razie nogami.

Od Katarzyny II do Bandery

„Ukraina to nie Rosja” – taką książkę opublikował Leonid Kuczma, prezydent w latach 1994–2004. Śmiały tytuł budził zdziwienie, bo Kuczma symbolizował właśnie Ukrainę zso-wietyzowaną i prorosyjską.

– Przed sześcioma laty wszyscy z niego kpili. Ale dziś teza Kuczmy nie wydaje się ani głupia, ani banalna – twierdzi Andrij Portnow. Bo tytuł trafnie oddawał rodzące się wśród Ukraińców nastroje, przede wszystkim wiarę we własne państwo. Jest w tym zresztą nieco zasługi Kremla. Choćby walki w Czeczenii, gdy ukraińskie matki nie musiały oplakiwać synów. Albo interwencja w Gruzji czy wojny gazowe z Ukra-

iną. To wszystko sprawiło, że nad Dnieprem pojawił się lęk przed zbliżeniem z Rosją. Nie bez kozery ukraińscy oligarchowie strzegą kluczowych przedsięwzięć przed rosyjskim kapitałem, a inwestować wolą na Zachodzie, choćby w Polsce. Kalkulują, że tam ich pieniądze są bezpieczne. A tym samym zbliżają Ukrainę – chcąc nie chcąc – do Europy.

Kto nie lubi sterylnej Moskwy, nie może czuć się źle w Kijowie. Mieszkańcy stolicy Białorusi i Rosji przypominają zautomatyzowane społeczeństwa



Kryzys zachwiał Ukrainą, ale nikt nie załamuje rąk, tylko haruje, ile sił

z filmu „Metropolis”. Kijów jest inny: w przejściach podziemnych trwa całodobowa impreza, posępni milicjanci nie przeganiają handlujących staruszek. Inne miasta też tętnią życiem, podczas gdy na Białorusi mieszkańcy wegetują. Może to złudzenie ukrainofila, ale może to duch kozackiej swobody, który wciąż snuje się nad Dnieprem.

Jesteśmy różni, posklejani z wielu kawałków. W Odessie stoi pomnik carcy Katarzyny II, w Czerniowcach mamy cesarza Franciszka Józefa. Takie zróżnicowanie to pozytywne zjawisko – tłumaczy Kabaczij. Można by jeszcze dorzucić pomnik Lenina w Kijowie i budowany we Lwowie pomnik Stepana Bandery. I właśnie ta różnorodność tradycji czyni Ukrainę coraz dalszą od Rosji.

Temu oddaleniu służy jeszcze jedno: polityka historyczna Juszczenki odniosła względny sukces. Do zbiorowej świadomości przebiło się na przykład przesłanie o Wielkim Głodzie. Ukraińcy uczą się, że ich historia nie jest tożsama z historią Rosji.

Trzeba jednak przyznać, że nie wszyscy inicjatywę Juszczenki oceniają pozytywnie. – O głodzie mówiono przed nim i po nim też będzie się mówić – uważa Portnikow. – Działania Juszczenki mogły doprowadzić raczej do podziału państwa, a nie zjednoczenia wokół wspólnego dziejowego doświadczenia. Jego polityka historyczna była dekoracją.

A jednak odwiedziny pomnika Ofiar Głodu zbudowanego z inicjatywy Juszczenki – choć nie obyło się bez kontrowersji wokół kosztów budowy – nikogo nie zostawia obojętnym. Historycy i politycy nadal będą się spierać, czy było to ludobójstwo na narodzie ukraińskim, ale nie da się już podważyć faktu, że ludzie naprawdę cierpieli w latach 30. ubiegłego wieku. Różnice między oboma

państwami dostrzega też sama Rosja – Ukraina w propagandzie zależnych od Kremla mediów coraz częściej wypada z kategorii krajów bratnich, do których należała razem z Białorusią. Niedawno Putin nazwał sąsiednie państwo „sztucznym tworem”. – Nastawienie rosyjskich mediów, elit politycznych, ale coraz częściej też społeczeństwa pomaga Ukraińcom uświadomić sobie, jak wiele nas różni – podkreśla Portnow.

Wbrew pozorom oba kraje są dla siebie wprawdzie istotnymi, ale wcale nie najważ-

Ukraińskie media należą do różnych ostro zwalczających się grup interesów. I to właśnie zapewnia społeczeństwu... pluralizm

niejszymi partnerami gospodarczymi. Ukraina od dawna mocniej związana jest z UE, dla Rosji zaś handel z sąsiadem to zaledwie pięć procent wymiany handlowej. Kreml po pomarańczowym upokorzeniu zrozumiał, że Ukraina to jednak zagranica, nawet jeśli ta bliższa, i nie da rady sterować wydarzeniami w Kijowie. Stąd też powściągliwe zachowanie Rosji podczas kampanii prezydenckiej.

I dlatego odsunięcie od władzy Wiktora Juszczenki, którego Moskwa darzyła szczególną niechęcią, załagodzi spory, ale tendencji nie odwróci. Niepodległa Ukraina pozostanie niepodległą Ukrainą.

Zmiana na stanowisku prezydenta nie oznacza więc zwrotu o 180 stopni. Państwem rządzić będą ci sami ludzie, którzy polityczne ostrogi zdobywali w czasach Kuczmy. Po-

maranczowa rewolucja zmieniła sposób, w jaki na Ukrainie się głosuje, dała wolność dziennikarzom, ale nie zmieniła elit. Zresztą obozy pomarańczowych i niebieskich nigdy nie były zbyt szczelne. Szef dyplomacji Petro Poroszenko, prywatnie kum Juszczenki, swego czasu zakładał Partię Regionów. Z kolei w 2007 roku do kręgu Juszczenki przeszła Raisa Bohatyrkowa, jedna z bliskich współpracownic Janukowycza. Przykłady podobnych transferów można mnożyć. Dawni wrogowie wybaczą sobie winy, jeśli tylko ich sojusz pomoże gnębić wroga aktualnego. Dzieje się tak, bo sprzężony z polityką wielki biznes kieruje się wyłącznie pragmatyzmem. W kraju, gdzie głównym partnerem do interesów bywa państwo, lepiej trzymać z tym, kto akurat rządzi.

Trójkąt, czyli błędne koło

Dlatego zarówno w Europie, jak i w Rosji walkę Tymoszenko z Janukowyczem obserwowano ze stoickim spokojem. Żadne z nich nie było postrzegane jako jednoznacznie pro- czy antyrosyjskie. – Histerią trąciły hasła, że wybór kandydata X oznaczałby „koniec państwowości Ukrainy” – podkreśla historyk Andrij Portnow.

Zasza tak naprawdę tylko jedna istotna zmiana: rozpadł się trójkąt Tymoszenko-Janukowycz-Juszczenko. A to w ramach tego trójkąta, a raczej błędnego koła, rozgrywała się przez ostatnie pięć lat ukraińska polityka. Układ ten okazał się jednak niezdolny do konstruktywnego działania – poziom nieufności, agresji i ambicji był zbyt wysoki. Jednocześnie ukraińska trójca blokowała jakąkolwiek nową jakość. W ostatnich miesiącach z ust tych polityków nie padło żadne oryginalne słowo, odgrywali tylko rozpisane przed laty role. Dlatego światowe media miały kłopot z relacjonowaniem kampanii. Brak było zwrotów akcji. Wiało nuda.

Jedyna niespodzianka to Sierhij Tihipko – swego czasu kojarzony z Kuczumą prezes Narodowego Banku Ukrainy i szef kampanii Janukowycza w 2004 roku. Po wybuchu pomarańczowej rewolucji zrezygnował z tej ostatniej funkcji i, wydawało się, w ogóle z polityki. Jednak powrócił, w czym pomogło zdjęcie z nagim torsem na okładce jednego z pism. Zajął w pierwszej turze trzecie miejsce z 13 procentami poparcia. O te 13 procent toczyła się w ostatnich tygodniach zacięła walka między Tymoszenko a Janukowyczem. A Tihipko ma teraz swoje pięć minut – może jest nawet największym zwycięzcą wyborów? Na razie ciągle powtarza, że interesuje go wyłącznie reformowanie kraju.

Trudno uwierzyć, ale też trudno się nie zgodzić. Niezależnie od wyniku wyborów i zawirowań, które nastąpią po nich, Ukraina potrzebuje właśnie tego – spokoju, pracy i odzyskania zaufania międzynarodowych instytucji finansowych.

Sceptyczny jak zawsze Portnikow nie dowierza: – Nasza klasa polityczna nie wyciągnie Ukrainy z kryzysu. Powstała po to, by zawłaszczyć państwo, a nie po to, by podejmować ważne decyzje. To skorumpowani demagogowie i populiści – nie pozostawia złudzeń kijowski publicysta.

Cóż, jeśli tak, to zawsze pozostaje jeszcze wiara w samych Ukraińców. □



Wiktoria Juszczenko
Jego narodowa polityka historyczna odniosła pewien sukces. Przypominał rodakom o Wielkim Głodzie



Julia Tymoszenko
Pragmatyczna, a zarazem nieobliczalna. Jeszcze długo będzie mącić w ukraińskim kotle



Wiktoria Janukowycz
Przed laty uchodził za człowieka Kremla. Teraz nikt nie widzi w nim zagrożenia dla suwerenności kraju

OPINIA MAREK ZAJĄC

Chora komisja lekarska

Sejmowi śledczy mieli uzdrowić polską demokrację. Problem w tym, że sami okazali się groźnym wirusem

DO REGULARNIE DAWKOWANEGO ABSURDU można się przyzwyczaić. Dopiero skumulowanie sączonych z dnia na dzień bzdur działał otrzewiająco. Oto próbka.

– Nie ziewajcie, proszę, bo to bardzo zaraźliwe. – Żyję wśród normalnych ludzi, a nie tych, którzy mają bardzo dużo pieniędzy. – Aż mi się ciśnie na usta, żeby zapytać pana, czy pan grał w golfa. – Chyba nie jestem głucha. – W kraju takim jak Polska powinna odbyć się olimpiada. – Nie może być tak, że na koszt podatnika będziemy wzywać ludzi tylko po to, aby ich zobaczyć i powiedzieć: Dzień dobry. – Posłowie pracują niemal bez przerwy. – Wyjechałem z Lubina w środę o 8.15. Z powrotem w domu będę w czwartek o północy. – Posłowie śledczy nie ułatwiają wyjaśnienia sprawy. Ale nie moim zadaniem jest poprawianie ich pytań. – Nigdy nie byłem w Pędzącym Króliku. Może się w takim razie wybierzemy na kolację? Przykro mi, odchudzam się.

To skrzydlate słowa członków komisji hazardowej oraz świadków wypowiedziane w trakcie przesłuchań albo tuż po ich zakończeniu. Śmieszne? Może, ale przede wszystkim straszne. Politycy stali się tak bezwstydni, że już się nie krygują i kpią z obywateli w żywe oczy. A chorób niszczących naszą demokrację jest – jak widać na przykładzie sejmowej komisji śledczej – bez liku. Weźmy trzy najważniejsze.

UWODZENIE MEDIÓW ZA WSZELKĄ CENĘ.

Historia autentyczna: znany poseł, wysyłany przez partię na pierwszą linię medial-

nego frontu, zwykł do Sejmu chodzić spacerem przez park Ujazdowski. Kiedy widzi znajomego dziennikarza, podchodzi i opowiada, jaki bonmot ukuł sobie na użytek dzisiejszych kontaktów z mediami. „I co? Chwyci?” – pyta bez ogródek. Obsesja mówienia headline’ami i sypania dowcipami, połączona z pogardą dla wszystkiego, co merytoryczne, oczywiście udzieliła się również sejmowym śledczym i świadkom, czego dowodzą przytoczone wyżej przykłady. By przykuć uwagę, posłowie nie unikają nawet pytań fundamentalnych. Po 13 godzinach, licząc z przerwą, przesłuchania premiera Tuska posłanka Beata Kempa (PiS) wypaliła: „Czy nie uważa pan, że należy przeprosić Polaków za aferę hazardową?”. Dobrze, że posła Chlebowskiego nie pytała, czy boi się ognia piekielnego.

Jeżeli zaś chodzi o humor, rzadko zdarzają się momenty naprawdę udane, jak choćby następujący dialog: „Nie zrozumieliśmy się, często ta akustyka jest tutaj niedoskonała” – wyjaśniał poseł Franciszek Stefaniuk (PSL). „Przepraszam, nie dosłyszałem” – odparł Jarosław Kaczyński. Zabawne. Tylko czy o to chodzi?

BEZKARNE NIECHLUJSTWO. To wydarzenie warto przypominać parlamentarzystom do znużenia. Poseł Sławomir Neumann (PO) wnioskował, aby przed komisją stanął Ryszard Maraszek, były wojewoda legnicki i poseł z ramienia SLD w latach 2001–2005. Maraszek tłuł się do Warszawy osiem godzin, by dopiero przed komisją wytłumaczyć, że nic go nie wiąże z zagadnieniami badanymi przez śledczych. Nawet poseł Neumann nie miał merytorycznych pytań. Można się zastanawiać, czemu na przykład aptekarsko przestrzegający regulaminu przewodniczący

Mirosław Sekuła (PO) nie pomyślał o zweryfikowaniu listy zgłoszonych świadków. I to wszystko w sytuacji, gdy – jak utrzymuje Zbigniew Wassermann (PiS) – posłom brakuje czasu, by rzetelnie przygotować się do przesłuchań.

Szczególnie niepokoić musi jednak to, że tamta wpadka niczego komisji nie nauczyła. Brak przygotowania widać na każdym kroku – choćby wtedy, gdy czytany w psychologicznych poradnikach Zbigniew Chlebowski i posiłkujący się tablicą Mirosław Drzewiecki wodzili śledczych za nos. A ci, by nie przyznać się do porażki, jawnie powtarzali te same pytania.

UPARTYJNIENIE TOTALNE. Trudno zrozumieć, że poseł podobno reprezentujący naród może rozpocząć przesłuchanie od podobnego lubu-dubu jak Beata Kempa, która zwróciła się do Jarosława Kaczyńskiego: „Panie premierze, o Zbysia, Mira i Rycha pytać pana nie będę, bo to nie nasza ekipa, nie nasza afery”. Stąd już tylko krok od wyznania: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania”. Z kolei Bartosz Arłukowicz (Klub Lewicy), uchodzący na dodatek za najlepszego śledczego, początkowo nie widział nic niestosownego w rozmowie z wezwaną przed komisję Anitą Błochowiak – rozmowie, która dotyczyła... najważniejszego punktu przesłuchania, czyli pytania, czy to właśnie posłanka SLD zgłosiła w 2002 roku poprawkę obniżającą podatek od gier z 200 na 50 euro. Przez szacunek dla inteligencji Czytelników nie pytamy, czy przed przesłuchaniami Arłukowicz gawędził sobie ze świadkami także z PiS i Platformy.

Z tego samego powodu darowaliśmy sobie rozważania, czy komisja hazardowa ustali jakiegokolwiek fakty.

Przesłuchanie
premera trwało
13 godzin,
ale dobry humor
Donalda Tuska
nie opuszczał



POSELSKA OBSADA SPEKTAKLU, CZYLI KTO O CO GRA

MIROSŁAW SEKUŁA

(PO), przewodniczący komisji

JEGO OBRONA PARTII PRZED ATAKAMI opozycyjnych posłów to przede wszystkim walka o umocnienie własnej pozycji na Śląsku, skąd Mirosław Sekuła jest posłem i gdzie zwolniło się miejsce lidera regionu – po śmierci Zbigniewa Religi (PiS) oraz nominacji Jerzego Buzka (PO) na przewodniczącego Parlamentu Europejskiego.



BARTOSZ ARŁUKOWICZ

(KLUB LEWICY),
wiceszef komisji

GWIAZDORSKIE POPISY wylansowały go na czołową postać parlamentarnej lewicy. Mówi się o nim, że choć wszedł do Sejmu jako człowiek SdPi (z list LiD), może zdobyć poparcie SLD w tegorocznych wyborach samorządowych na prezydenta Szczecina.



BEATA KEMPA

(PiS), członek komisji

GRA O ROLĘ TWARZY SWJEJ PARTII na Dolnym Śląsku, gdzie jako działaczka samorządową dostrzegł ją Kazimierz Michał Ujazdowski (już poza PiS). Kempa musi pokonać partyjną koleżankę Aleksandrę Natalii-Świat i konkurencję z PO – Bogdaną Zdrojewską oraz Grzegorza Schetynę, którzy także walczyli na Dolnym Śląsku o palmę pierwszeństwa.



ZBIGNIEW CHLEBOWSKI

(PO), poseł

WALCZY O ODZYSKANIE STAREJ roli w partyjnej grze. Jako szef Klubu Parlamentarnego Platformy potrafił łączyć wodę z ogniem (Jarosława Gowina z Januszem Palikotem). Tę rolę jednak stracił i został uznany za czarny charakter: krętacza układającego się z hazardowymi lobbystami.



GRZEGORZ SCHETYNIA

(PO), przewodniczący Klubu
Parlamentarnego Platformy

OD WIARYGODNOŚCI WYSTĘPÓW przed komisją zależy jego partyjna kariera. Już dziś mówi się, że jeśli w wyborach prezydenckich wygra Bronisław Komorowski, to zwolnione przez niego miejsce marszałka Sejmu przypadnie właśnie Schetyni.



ZBIGNIEW WASSERMANN

(PiS), członek komisji

WALCZY O SCHEDĘ PO ZBIGNIEWIE Ziobrze w Krakowie. Skoro tamtejszy numer jeden PiS przeniósł się jako europoseł do Brukseli i Strasburga, Wassermann ma szansę na przejęcie jego elektoratu – i to zarówno walcząc o stanowisko prezydenta Krakowa w tym roku, jak i w roli lokalnej lokomotywy partii w wyborach parlamentarnych 2011.



MIROSŁAW DRZEWIECKI

(PO), poseł

GRA O UTRZYMANIE POZYCJI w partii. Jako skarbnik pełni jedną z najważniejszych i najbardziej zaufanych misji. Zbyt dużo wie, by zdymisjonować go równie łatwo jak ze stanowiska ministra sportu. Jednak cień rzucony przez aferę hazardową może być dla niego (i partii) kłopotliwy podczas wyborów. – apa



Tło historyczne spektaklu

KOMISJE

DONALD TUSK JEST trzecim urzędującym premierem przesłuchiwanym przez komisję śledczą. Pierwszym był Leszek Miller – wiosną 2003 roku stanął przed komisją śledczą badającą aferę Rywina. Uśmiechnięty do czasu, gdy Jan Rokita zaczął odpytywać go z regulaminu pracy rządu, wykazując niewiedzę premiera. Miller, tracąc zimną krew, nazwał tok przesłuchania „ordynarną manipulacją”, a śledczego Zbigniewa Ziobę „zerem”. Komisja nie wyjaśniła, kto stał za korupcyjną propozycją złożoną Agorze przez Lwa Rywina, ale jej prace okazały się bombą, która wysadziła Millera z posady premiera, a SLD z orbity władzy.

MAREK BELKA, następca Millera na stanowisku premiera, zeznawał przed komisją badającą okoliczności prywatyzacji PZU oraz wyjaśniającą sprawę odwołania w 2002 roku prezesa Orlenu Andrzeja Modrzejewskiego. Z jego przesłuchań nie wynikało nic poza dowcipnymi uwagami. W umniejszeniu znaczenia prac komisji celował ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski, porównując składanie przed nią zeznań do śpiewania oraz tańczenia. Odmówił udziału w przesłuchaniu, bo uznał, że zaszkodziłoby to powadze jego urzędu. Utwierdziło to tylko opinię publiczną w przekonaniu, że sejmowe komisje to nic więcej jak show. – apa

Czy wieżowce kojarzą ci się z ekologią?
Po zimowej olimpiadzie
w Vancouver zaczną



SPORT PIOTR STANISŁAWSKI

Igrzyska dobrego smaku

Zimowa olimpiada w Vancouver ma być triumfem ekologicznego umiaru. Dla kontrastu z Pekinem

Nareszcie ktoś odważył się przekłuć nadęty do granic możliwości olimpijski balon. Po Atenach, które w 2004 roku zorganizowały igrzyska według zasady zastaw się, a postaw się, po nijakim Turynie z wyśrubowanymi cenami biletów, zwłaszcza zaś po zachłystującym się gigantomanią Pekinie baron Pierre de Coubertin* może wreszcie przestanie przewracać się w grobie. Kanadyjskie Vancouver, gdzie 12 lutego rozpoczyna się XXI Zimowe Igrzyska Olimpijskie, poszło po rozum do głowy i przyjęło dwie proste zasady.

* **Baron Pierre de Coubertin** (1863–1937), odnowiciel ruchu olimpijskiego

Po pierwsze, olimpiada nie może zaszkodzić przyrodzie ani mieszkańcom. Po drugie, nie może zrujnować finansowo miasta, a po zakończeniu igrzysk nowe obiekty mają służyć Kanadyjczykom i zagranicznym turystom. Nie da się? Ależ oczywiście, że się da.

Zarobić jeszcze przed startem

Sporty zimowe to dla Vancouver codzienność, a nie jednorazowy zryw marketingowy. Dzięki temu z dziewięciu głównych obiektów olimpijskich trzy były właściwie gotowe i wymagały jedynie drobnych ulepszeń. Nikt też nie planuje nerwowych rozbiórki zaraz po igrzyskach. Ba, już przed olimpiadą nowe obiekty tętnią życiem. Za wzorec niech posłuży Whistler Olym-

pic Park, kompleks w dolinie Callaghan składający się z trzech hal z 10 tysiącami miejsc, dwóch skoczni, kilometrów tras biegowych, zjazdowych i biathlonowych, a także szlaków rekreacyjnych. Koszt: sto

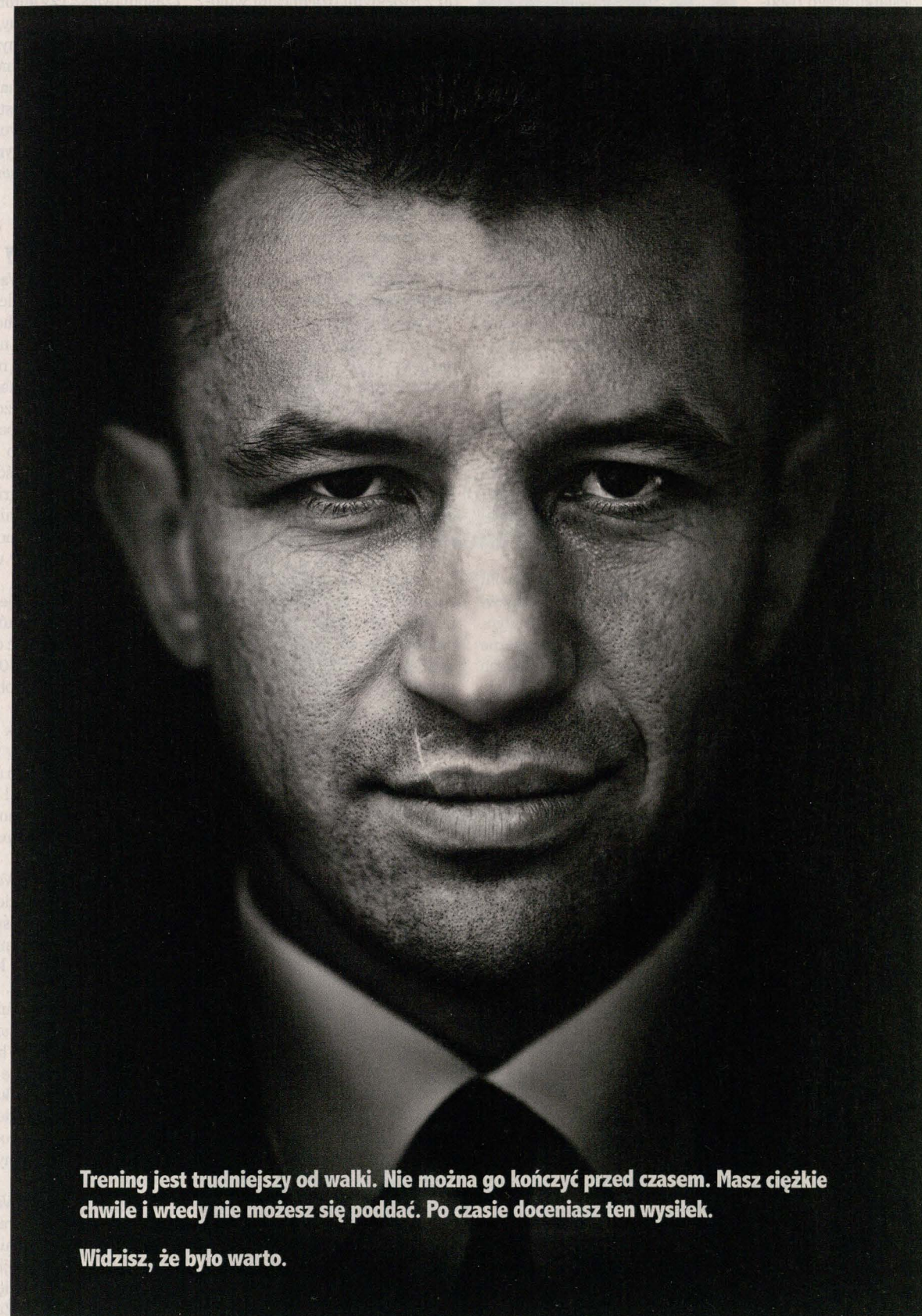


milionów dolarów kanadyjskich. Dużo? Śmiesznie mało, jeżeli weźmie się pod uwagę to, że w tydzień po oficjalnym otwarciu w listopadzie 2008 roku Whistler Olympic Park zarobił... 119 milionów kanadyjskich dolarów.

Inny przykład: wioska olimpijska. Ta w Atenach stała się zmorem – powoli zamienia się w slumsy, a przy tym jest tak wielka, że nawet jej wyburzenie kosztowałoby fortunę. Wioskę w Vancouver zaplanowano tak, by po igrzyskach stała się ekologiczną dzielnicą mieszkaniową dla 16 tysięcy osób. W dodatku zdecydowano się na inwestycję w dotychczas zaniedbanym dystrykcie False Creek. Niektórzy się oburzali: jak to, mamy pokazać światu najbrzydszą twarz Vancouver? Ale dziś już wiadać, że zastrzyk pieniędzy postawił upadającą dzielnicę na nogi.

Deszczówka w sedesie

Jedna ze sztandarowych inwestycji, Richmond Olympic Oval, czyli olbrzymi tor do jazdy szybkiej na łyżwach, słynie ze swojego... dachu. Pokryto go drewnem →



Trening jest trudniejszy od walki. Nie można go kończyć przed czasem. Masz ciężkie chwile i wtedy nie możesz się poddać. Po czasie doceniasz ten wysiłek.

Widzisz, że było warto.

Najlepsze przed Tobą. **ŻYWIĘC**

→ z sosen zaatakowanych przez pasożyta dziesiątkującego ostatnio lasy Kanady. Zamiast ścinać zdrowe drzewa, wykorzystano te, które i tak były martwe. Olympic Oval chlubi się też specjalnym systemem zbierania wody, która spływając z dachu, gromadzi się w stawie, a następnie służy do nawadniania zieleni i spłukiwania toalet. Z kolei ciepło wytwarzane przez urządzenia mrozzące tafle lodu trafia na widownię, zmniejszając koszty ogrzewania.

Inny obiekt – Vancouver Convention Centre – to centrum organizacyjne olimpiady przykryte liczącym dwa i pół hektara zielonym dachem, na którym żyje 400 tysięcy roślin lokalnych gatunków. Jest tam też zaawansowany system obiegu wody i chłodzenia, który czyni budynek niemal samowystarczalnym.

Kibiców ma wozić po mieście największa na świecie flota autobusów o napędzie wodorowym. Coca-Cola, sponsor igrzysk, postawiła energooszczędne dystrybutory, a swoich pracowników ubrała w stroje uszyte z tworzywa produkowanego ze starych butelek. Nawet olimpijskie medale są eko – kruszce do ich odlania częściowo pozyskano ze starych komórek i komputerów.



Olimpijskie maskotki inspirowane są legendami kanadyjskich Indian. To symboliczne zwierzęta, a ich przygody niosą ekoprzესlanie

Jedno ważne zastrzeżenie: Vancouver to nie miejsce, gdzie ekologia to tylko czcza demagogia na potrzeby igrzysk.

Vancouveryzacja stosowana

To ma być wzorcowe ekomiasto? Panorama Vancouver zdecydowanie nie kojarzy się z naturą. Gęsto upakowane drapacze chmur i rozbudowana siatka ulic – gdzie, do licha, ta ekologia? I co z tymi wieżowcami?

Wszystkich, którzy wychowali się w blokowiskach, zdziwi zapewne, że to właśnie wysokie budynki mogą być najbardziej przyjazne środowisku. Vancouver jest z trzech stron otoczony wodą, dociśnięty od północy górami, a od południa ociera się o granicę z USA. W takich warunkach nie ma przestrzeni

na realizowanie wizji miasta ogrodu z rozległymi dzielnicami willowymi. Ten popularny w Ameryce model urbanistyczny nie ma zresztą nic wspólnego z ochroną środowiska, bo dzielnice domów jednorodzinnych tworzą ogromne przedmieścia, z których trzeba codziennie dojeżdżać do centrum. Oczywiście samochodem. Tymczasem w wysokim apartamentowcu na przestrzeni zajmowanej przez cztery zamieszkujące suburbia rodziny może mieszkać pół tysiąca ludzi, którzy łatwo i szybko dostaną się do pracy, jeśli tylko zapewni im się transport.

I właśnie komunikacja kolejnymi mocny punkt Vancouver. Jej dumą to SkyTrain, skrzyżowanie metra z kolejką dojazdową, którego ruchem sterują automaty. Dzięki temu opóźnia się zaledwie cztery procent składów, a cały system przewozi codziennie aż dwie trzecie mieszkańców. Koncepcja miasta skupionego okazała się tak oryginalna (na amerykańskie warunki), że zyskała miano vancouveryzmu.

Jednym z dogmatów vancouveryzmu jest wymieszanie obszarów mieszkalnych z komercyjnymi i budowanie domów, w których na parterze są sklepy oraz biura, a powyżej mieszkania. Kupno bułek i mleka przestaje więc wiązać się z godziną eskapadą samochodem, a staje się okazją do krótkiego spaceru.

Jeśli właśnie pukasz się w czoło i zastanawiasz, czy autor tego artykułu jest egzaltowany, czy naiwny, to przypominamy, że mowa o Ameryce Północnej, gdzie większość metropolii ma strukturę rozlanego jajka – gęsty środek i ciągnąca się daleko wokół reszta z centrami handlowymi oddalonymi od osiedli o dziesiątki kilometrów.

Wieżowiec z widokiem na góry

Wróćmy jednak do Vancouver. Na początku lat 90. zdecydowano, że miasto musi zachować widok na góry. Położone na północy Góry Nadbrzeżne są niższe niż Tatry (1700 metrów nad poziomem morza), więc wieżowce bez trudu przysłoniłyby panoramę. Dlatego wprowadzono przepisy ograniczające wysokość budynków (najwyższy Shangri-La liczy 201 metrów) i precyzyjnie wyznaczono punkty, gdzie można stawiać wieżowce, tak by utworzyć widokowe korytarze.

W mieście znajduje się poza tym ponad 180 parków, a największy z nich zajmuje ogromną powierzchnię ponad 400 hektarów. Właściwie należałoby mówić o lesie, bo porośnięty kilkusetletnimi drzewami park Stanleya obejmuje obszar, który zamieszkiwały plemiona Indian (tylko nie waz się użyć tego słowa! W duchu kanadyjskiej poprawności politycznej to *aboriginal people* lub *first nations*).

W ostatnich latach Vancouver stało się też w Kanadzie jednym z najważniejszych ośrodków... przemysłowych. Ale nie zobaczysz tam strzelistych kominów zatruwających okolicę. Szczęśliwie etap brudnej produkcji ominął miasto rozwijające się przede wszystkim jako port. Władze mogły więc pozwolić sobie na przemysłany wybór kierunku rozwoju. Postawiono na dwie gałęzie, które nie niszczą ani środowiska, ani krajobrazu – przemysł filmowy i elektroniczny.

Nie dziwi, że od lat Vancouver plasuje się na szczycie rankingów najlepszych do życia miast świata. W najnowszej edycji zajmuje czwarte miejsce i dało się wyprzedzić tylko Wiedniowi, Zurychowi i Genewie. Dziwnym trafem Pekinu na tej liście nie mogliśmy się doszukać...



Dach nad torem Richmond Olympic Oval. Zamiast wycinać zdrowy las drewno uzyskano z chorych sosen



Według idei Prawa Czystości Piwa najlepsze piwo powstaje z chmielu, wody, słodu jęczmiennego i drożdży. W XIX wieku prawo to przestało obowiązywać. My jednak wybraliśmy trudniejszą drogę i warzymy Żywca do dziś według tych samych zasad.

Nigdy nie ustąpiliśmy. Bo warto.

Najlepsze przed Tobą. **ŻYWIEC**

ROZMOWA TOMASZ ZIÓŁKOWSKI

Mam plan na Zakopane

Zimowe igrzyska olimpijskie w Tatrach to nie mrzonka



Tekst o upadku Zakopanego opublikowany przez „Przekrój” (nr 4 z 19.01) wywołał poruszenie. Dziś głos w dyskusji na ten temat zabiera Andrzej Bachle-da-Curuś II*.

Czy Zakopane zdoła podnieść się z upadku i odzyskać pozycję ośrodka narciarskiego z prawdziwego zdarzenia?

– Ma szansę nie tylko na to – może nawet stać się gospodarzem zimowych igrzysk olimpijskich. To byłaby szansa na zachowanie wyjątkowości i odrębności regionu Tatr. Na zjednoczenie dziś często bardzo skonfliktowanych ludzi, organizacji i stowarzyszeń tatrzańskich. Wrocław, forsując swoją kandydaturę miasta organizatora wystawy EXPO, wypromował się jako prawdziwie europejskie miasto. W ten sposób budujemy coś dla przyszłych pokoleń.

Od ponad 40 lat ma pan możliwość obserwowania, jak lawinowo rosną inwestycje w światowe regiony narciarskie. Czy Zakopane i Tatry mają jeszcze realną szansę, żeby zaistnieć w tak silnej konkurencji?

– W mojej skali od 1 do 20 region Tatr zawsze jest najwyżej, jak okolice Megève we Francji, gdzie obecnie mieszkam. Patrząc przez lata

na Mont Blanc, szukałem odniesienia do Tatr, które uważam za swoje góry. To uczucie na zawsze pozostanie. Jeszcze zanim wyjechałem do Francji w 1981 roku, dobrze poznałem świat gór – od Kolorado, przez Wschodnie Wybrzeże USA, do szczytów europejskich. Zakopane i region Tatr należą do grupy najstarszych stacji narciarskich nawiązujących do tradycji, jak Megève, Chamonix, Cortina d’Ampezzo, i mają ogromny potencjał do wykorzystania. Organizacja igrzysk w Zakopanem nie jest więc wcale takim strasznym diabłem, jak go malują. **A więc całkiem serio dąży pan do zorganizowania w Zakopanem zimowych igrzysk olimpijskich?**

– Mamy jak najbardziej realne szanse na organizację igrzysk w 2022 lub 2026 roku, ale by tego dokonać, dużo wcześniej musimy rozpocząć proces połączenia Tatr w jeden region turystyczno-narciarski. Tatrzańskie igrzyska powinny być wspólnym przedsięwzięciem Polski i Słowacji. Pamiętajmy, że Słowacy mają cztery piąte Tatr, a my jedną piątą. Większość zawodów w konkurencjach alpejskich odbyłaby się zatem po stronie słowackiej. Tatry powinny stać się jednym regionem nie tylko ze względu na igrzyska. Potrzebne jest jednak przebicie tu-

nelu przez góry (bez wielkiej ingerencji w przyrodę) i uruchomienie transportu elektryczną kolejką. Kierowałaby się ona z ronda w Zakopanem do Kuźnic, następnie pod ziemią do Doliny Cichej, a potem do Strbskiego Plesa i Tatrzańskiej Łomnicy oraz Popradu. W Popradzie jest lotnisko, na którym już dzisiaj lądują nawet największe boeingi 747. Z lotniska do Zakopanego jazda kolejką elektryczną trwałaby około 30 minut, czyli w sumie lot samolotem z Warszawy wraz z dojazdem na lotnisko zajęłoby mniej więcej dwie godziny. Dzięki tunelowi zyskalibyśmy połączenie kolejowe z Europą przez Pragę, Budapeszt, Wiedeń i Bratysławę. A Europa zyska dodatkowe połączenie z Podhalem i Krakowem.

Nadal jednak pozostanie problem wiecznego zakorkowanego zakopianki.

– Jeśli pojawią się nowe możliwości dojazdu koleją i samolotem, to zniknie problem korków na zakopiance. W komunikacji drogowej Zakopanemu pomógłby trzeci wjazd drogowy od strony Gubałówki. Oprócz lotnisk w Krakowie i Popradzie region tatrzański mogłoby obsługiwać rozbudowane lotnisko w Nowym Targu, gdzie ma być pas startowy o długości 1800 metrów. Jeśli wykorzystamy te połączenia, to przybyśże ze Słowacji bez przeszkód będą mogli korzystać z uroków artystycznego i turystycznego Zakopanego, a my z terenów narciarskich oraz tras pieszych po tamtej stronie gór.

Czyli na narty tylko na Słowację?

– Po naszej stronie też można wiele zrobić dla rozwoju narciarstwa. Musimy otworzyć dostęp do terenów zjazdowych od strony miasta, a nie od szczytu Kasprowego Wierchu, gdzie często panują trudne warunki pogodowe. W Zakopanem proponuję teren narciarski sięgający od góry Krokiew i idący w kierunku trzech dolin w Tatrach Zachodnich: Kondratowej, Goryczkowej i Gąsienicowej na pograniczu Tatr Wysokich. Tatrzańskie trzy doliny powinny być połączone ze stokiem na Nosalu systemem tras i wyciągów w liczbie, która nie wyrządzi szkód naturze. To byłoby miejsce wyjątkowe, ale dla dobrych narciarzy. A okolice Gubałówki powinny służyć narciarstwu rodzinnemu.

Jako ambasador kandydatury Zakopanego do organizacji mistrzostw świata w narciarstwie klasycznym w 2015 roku uważam, że należy odbudować część pięknych przedwojennych tras: wschodnią i zachodnią pętlę wokół skoczni na Wielkiej Krokwi. W sumie obie pętle powinny mieć około 10 kilometrów. Światowa federacja wymaga, żeby biegać więcej okrążeń na krótszych odcinkach, bo tak jest ciekawiej z punktu widzenia telewizji. Warto powrócić do przepięknych tras z Wielkiej Krokwi pod reglami do Doliny Kościeliskiej. Coraz lepiej rozwijają się trasy na Siwej Polanie w kierunku Doliny Chocholowskiej i trasy biathlonowe w Kościelisku.

A jednak mało kto wierzy, że wizja zimowych igrzysk tatrzańskich „Alusia” Bachledy nie jest mrzonką.

– Moja idea igrzysk olimpijskich to powrót do pięknej tradycji sportu na Podhalu realizowanej w zgodzie z naturą. Wybitni górale już przed II wojną światową współtworzyli wielkie międzynarodowe wydarzenia sportowe w Zakopanem. Miasto zyskało światową renomę. Wielkie zawody porównywane z mistrzostwami świata odbyły się już w 1929 roku. Później, w lutym 1939 roku, takie mistrzostwa świata ponownie odbyły się w Zakopanem. Można było je porównać nawet do olimpiady, bo rozegrano zawody we wszystkich dyscyplinach narciarstwa klasycznego i alpejskiego. W czasach komunizmu Zakopane zagubiło nieco ten naturalny kierunek rozwoju oparty na turystyce i narciarstwie. W 1962 roku mieliśmy mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym. W 1974 roku zorganizowaliśmy jeszcze Puchar Świata na Nosalu – dzięki temu, że mieliśmy dobrych narciarzy. Potem rozpoczął się konflikt między zwolennikami radykalnej ochrony ekosystemu Tatr a poplecznikami wąsko rozumianego rozwoju miasta. W efekcie mamy głęboki podział, narciarze nie mają gdzie jeździć, a miasto pęcznieje od fast foodów i innych wynalazków, które nie mają nic wspólnego z tradycją regionu. Zaczął się najazd klienteli bardziej nastawionej na eks-

presowe jedzenie niż delektowanie się smakiem, dobrą rozrywką i kulturą.

Ale turyści wracają do domów, a górale w Tatrach pozostają i to oni decydują o obliczu Zakopanego.

– Jeszcze w latach 50. i 60. w Zakopanem spotykała się elita artystyczna i kulturalna, która tworzyła inny rodzaj zachowania i spędzania czasu. Nie pamiętam, żebym na Krupówkach słyszał wówczas wykrzykiwane głośno słowa na „k” i „ch”. Grano dobrą muzykę, można było pójść do Kmicica na dobrą kawę, a przy basenie na Jaszczurówce grała murzyńska orkiestra. Z przykrością patrzę na to, jak zmieniła się tkanka miejska. Nie może być tak, że dzisiaj całe zło kojarzy się tylko z góralami. W Zakopanem brakuje mi dzisiaj całej masy lwowiaków, którzy osiedlili się tutaj po wojnie. Ludzi, którzy przybyli po Powstaniu Warszawskim. Kiedyś mieszkańcy dawali temu miastu niezwykłą aurę. To pokolenie już jednak odeszło i zostało

zastąpione przez przyjezdnych, którzy na ogół mieli jeden cel – osobiście na tym mieście zarobić. Prawie zginął instynkt miastotwórcy. Jeśli dzisiaj takich osób są tysiące, to nie dziwnego, że miasto jest rozerwane na kawałki bez jakiegokolwiek wspólnej myśli o tym, co zrobić dla dobra Zakopanego i regionu Tatr.

Już słyszę, jak ludzie powiedzą: A niech Bachle da sam da przykład takiego działania!

– Pierwszy przykład: mój ojciec Andrzej senior, ja i brat Jan przed laty podarowaliśmy państwu na rzecz sportu dwa tysiące metrów kwadratowych ziemi, która leży pod Wielką Krokwią. To miejsce często pokazywane w telewizji – zawodnicy zatrzymują się tam po oddaniu skoku. Drugi przykład to mój syn. Choć był członkiem reprezentacji Francji w narciarstwie, zaczął jeździć dla Polski. Nie chcę jednak wypisywać sobie laurki, bo nie o to chodzi w mojej wizji Tatr. **Gdzie szuka pan dla niej zwolenników?**

– Apeluje do ludzi myślących estetycznie. Moi dziadkowie mówili, że trzeba żyć „szykownie”. Jak ktoś był szykowny, był nie tylko dobrze ubrany, ale też poruszał się i myślał elegancko. I ten rodzaj estetyki w myśleniu o strategii rozwoju Tatr jest potrzebny. Każdy z nas musi wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Nie może być tak, że z boku będą stali tylko prześmiewcy i specjaliści od destrukcji, czekając na porażkę. W każdym pomysłu, jak ktoś się uprze, znajdzie złą stronę. Tylko po co? Sama idea jest dobra nie tylko dla nas, ale i dla następnych pokoleń. Staramy się być lepszymi. I to jest najważniejsze, a nie same igrzyska. One trwają tylko dwa–trzy tygodnie, a mentalność ludzi pozostaje.

*** Najbardziej znany polski narciarz alpejski, wicemistrz świata z 1974 roku i brązowy medalista mistrzostw świata z 1970 roku**

REKLAMA

Samsung OMNIA II

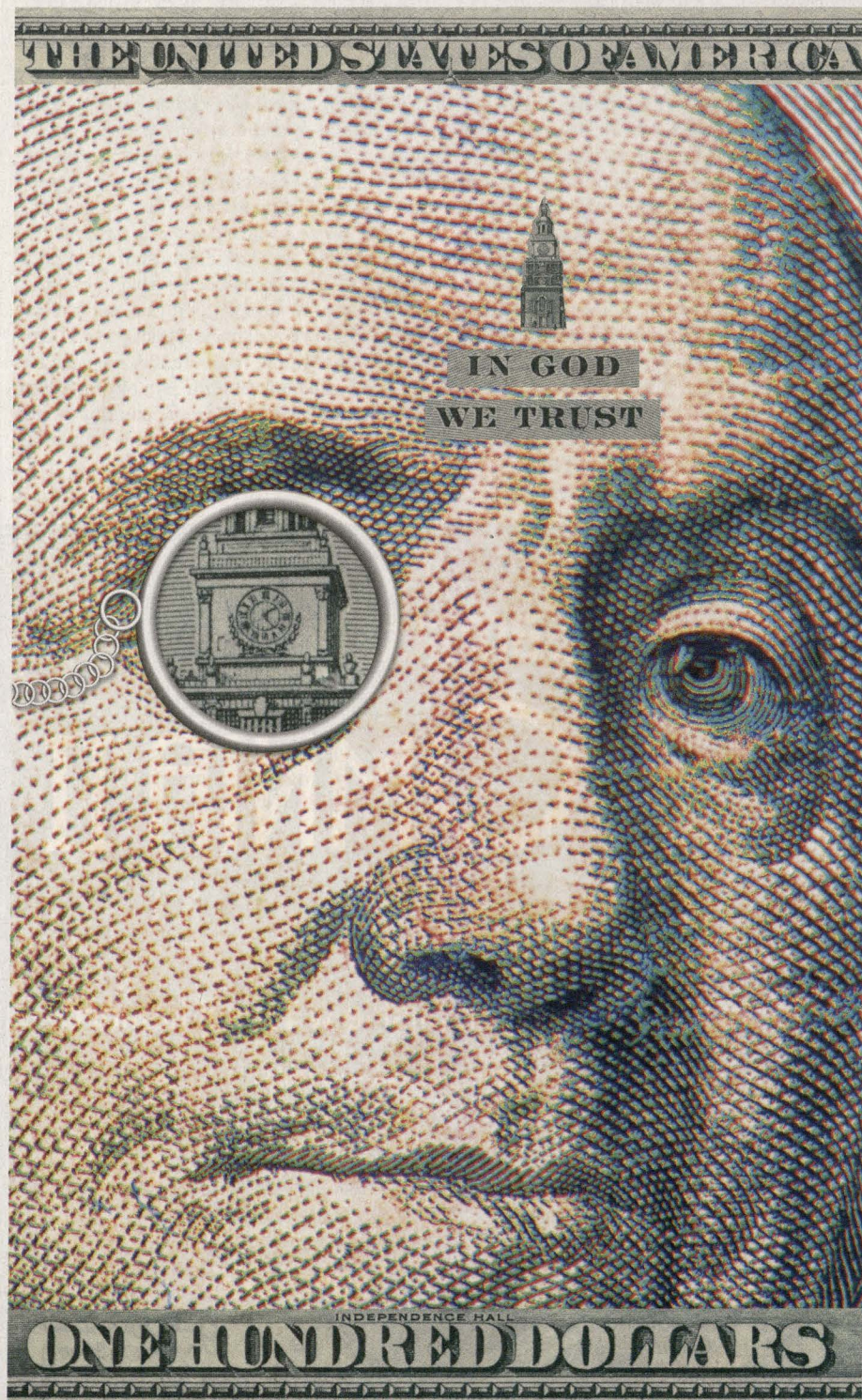
Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Twojej komórce

- Dotykowy ekran AMOLED 3,7"
- Wbudowana pamięć 2/8/16 GB
- 5 Mpix/GPS/WiFi/TV out/DivX
- Windows® Mobile 6.5 Professional
- Bieżące informacje o Igrzyskach Olimpijskich – aplikacja do pobrania ze strony www.omnia.samsung.pl

AMOLED
ULTRA BRILLIANT DISPLAY

Kopia zbyt doskonała

Nie wierzysz, że fałszywka może być lepsza od oryginału? Takie są superdolary – najlepiej podrobione i najbardziej tajemnicze pieniądze świata



Jesteś bezbronny – jeżeli trafisz na fałszywą studolarówkę, nie masz szans tego zauważyć. A taki pech jest wysoce prawdopodobny. Nawet 1 na 10 000 studolarówek może być genialną podróbką.

Nic dziwnego, że superdolar przyprawia ekonomistów na całym świecie o ból głowy. Dla północnokoreańskiego generała O Kuk-ryola okazał się natomiast interesem życia. Nie tylko zapewnił mu bogactwo, ale też pod koniec zeszłego roku pozwolił wspiąć się na pozycję człowieka numer dwa w reżimie.

C-14342, czyli mistrzostwo

Zaczął się od dociekliwości pracownika filipińskiego banku. W 1989 roku podczas przeciekania banknotów, które przeszły już kontrolę autentyczności, jego uwagę zwróciła jedna studolarówka. Właściwie wszystko było w porządku, jednak intuicja podpowiadała kasjerowi, że coś tu nie gra.

Jak każdy podejrzany dolar banknot trafił do waszyngtońskiej siedziby Secret Service. Do obowiązków tej służby należy ochrona nie tylko urzędującego prezydenta, ale i tych dawno zmarłych, a wciąż pojawiających się na zielonych banknotach. Secret Service zgromadziło gigantyczną bazę danych o każdej próbie sfalszowania amerykańskiej waluty – od żalonych kserograficznych kopii po mistrzowskie podróbki wydrukowane na profesjonalnych maszynach.

Jednak czegoś takiego jak setka z Filipin nigdy jeszcze w Waszyngtonie nie widziano. Zachwycało, a zarazem przerażało w niej wszystko. Identyczny z oryginałem był papier, a właściwie nie tyle papier, ile trudna do wyprodukowania mieszanina zawierająca proporcjonalnie trzy czwarte bawełny i jedną czwartą lnu, którą wykorzystuje amerykańska mennica. Poza tym fałszerze użyli kosztownej technologii druku wklęsłego. Jej zastosowanie Secret Service odkrył wcześniej w kilku zaledwie przypadkach. Świetnie oddany był także rysunek banknotu, jego zabezpieczenia, kolory.

Ponieważ obiekt był dla specjalistów zupełną nowością, wciągnięto go do bazy danych i oznaczono numerem C-14342. Od razu pojawiła się jednak nazwa nieoficjalna: superdolar.

Tymczasem genialne podróbki zaczęły napływać z całego świata – Grecji, Chin, Bułgarii, Anglii. W Secret Service utworzono spe-

cialną komórkę, która poddała superdolary zaawansowanym badaniom – analizie w różnych pasmach widma i spektroskopii masowej. Okazało się, że wszystkie fałszywe studolarówki pochodzą z tego samego źródła.

Co ciekawe, kolejne wychwytywane z biegiem czasu banknoty różniły się dokładnością wykonania. Specjaliści narysowali coś na kształt drzewa genealogicznego ilustrującego, jak anonimowy fałszerz udoskonalą technologię, eliminuje błędy i zbliża się do ideału – autentycznego dolara.

Badaniom towarzyszył rosnący niepokój banku centralnego. Jeśli okazałoby się, że superdolarów jest na międzynarodowym rynku sporo, spowodowałoby to kryzys zaufania do amerykańskiej waluty.

Zielone i czarne

Niezwykłe podróbki były jedną z głównych przyczyn zmiany wizerunku dolara, którą przeprowadzono w 1996 roku. Tak zwane małe główki zastąpiono wielkimi głowami – była to pierwsza poważna korekta banknotów od 1923 roku. Poza rozdzieleniem prezydenckich oblicz dodano wiele najnowocześniejszych zabezpieczeń – kolorowe włókna zatopione w papierze, specjalny znak wodny czy nitkę zabezpieczającą. Jednym z najbardziej zaawansowanych i najdroższych rozwiązań było zastosowanie farby OVI. Ten produkowany przez szwajcarską firmę SICPA barwnik ma szczególną właściwość: jeśli spojrzysz na banknot 10-, 20-, 50- lub 100-dolarowy pod jednym kątem, farba wygląda na zieloną, pod innym – na czarną. W 1996 roku USA wykupiły włącznie na użycie tego zestawu kolorów.

W tym samym roku zaraz po Stanach swoją kombinację barw zabezpieczyła też Korea Północna. Amerykański wywiad ta decyzja zaskoczyła – prawo wyłączności kosztuje kilka milionów dolarów, a przecież północnokoreańskiego wona nikt przy zdrowych zmysłach nie próbuje podrabiać. Zaskoczenie zmieniło się w niepokój, gdy okazało się, że wykupiony zestaw kolorów to zieleń zmieniająca się w magentę, czyli rodzaj ciemnego różowego. W banknocie 500 won jest nieco zieleni, a magentę z palety OVI łatwo w druku przekształcić tak, by wpadała w czern. A czarny i zielony to kolory...

Te ustalenia potwierdziły tylko to, co Secret Service podejrzewał od dawna. Źródło superdolarów to Korea Północna. Obserwacje przepływu fałszowanej waluty doprowadziły agentów do Banco Delta Asia, banku z siedzibą w chińskim Makao zwanego pralnią północnokoreańskich pieniędzy. Zaniepokojone tym amerykańskie władze zakazały obywatelom USA jakichkolwiek transakcji z Banco Delta Asia.

Porażające jest, że fałszywkę wykonano w biednym kraju tak perfekcyjnie, czyli przy gi-

gantycznych kosztach. To jednak typowe dla tamtejszej nielegalnej produkcji na eksport. Korea Północna wytwarza też na przykład niewiarogodnie czystą metamfetaminę i viagrę, która ponoć działa skuteczniej niż oryginał. Podróbki na światowy rynek wprowadza głównie kooperująca z Phenianem rosyjska mafia. Zyski stanowią poważne źródło utrzymania północnokoreańskich aparatczyków słynących z opływających najdroższym koniakiem i winem imprez i rozbijania się najlepszymi samochodami.

Podejrzenia potwierdzają nieliczni uciekinierzy z Korei. Niektórzy opowiedzieli na przykład o Biurze 39 odpowiedzialnym za dostarczanie Kim Dzong Ilowi pieniędzy oraz o fabryce w zamkniętym dystrykcie Pjongjang przy ulicy Changgwang, gdzie drukuje się superdolary. Właśnie tą firmą zarządzał przez lata generał O Kuk-ryol. Fałszywki przewozi się – według uciekinierów – do moskiewskiej ambasady Korei. Tam przed wyruszeniem w świat północnokoreańscy dyplomaci dostają twardą gotówkę – superdolary wymieszane z prawdziwymi banknotami w stosunku jeden do jednego.

W 1994 roku władze Makao i Hongkongu zatrzymały grupę Koreańczyków, przy których znaleziono 430 tysięcy fałszywych banknotów. Po tym incydencie Phenian zaczął szukać innych kanałów dystrybucji. Kilka lat później w Moskwie brytyjski wywiad wziął na celownik Seana Garlanda, lidera Workers' Party of Ireland, oficjalnego ramienia IRA. Przypadł mu na przemyśle do Irlandii dużych partii superdolarów kupionych w Rosji od tamtejszych grup przestępczych.

Na koniak i roleksy

Oczywiście udoskonalenia amerykańskiego dolara z 1996 roku przyhamowały produkcję fałszywek. Ale już dwa lata później w ręce Secret Service wpadła nowa superstudolarówka z dużym prezydentem. Oglądane pod mikroskopem wskazówki zegara z Independence Hall wydrukowanego na odwrocie banknotu okazały się ostrzejsze niż na oryginalne. Podróbka była po prostu zbyt dobra.

Tymczasem O Kuk-ryol doczekał się nagrody. W zeszłym roku wszedł do Narodowej Komisji Obrony Korei Północnej, która stanowi w tym kraju najwyższą władzę. Komentatorzy twierdzą, że na zlecenie Kim Dzong Ila generał przygotowuje przejęcie rządów przez syna dyktatora Kim Dzong Una.

Z kolei Secret Service odnotowało ostatnio pojawienie się znacznie większych ilości superdolarów. Najwyraźniej wśród komunistycznych bonzów wzrosło zapotrzebowanie na koniak i roleksy, a nowy współrządca Korei wie, skąd brać pieniądze. Superpieniądze. □

KRÓL PRZYCINACZ

ERYK V KLIPPING (1249–1286) był fałszerzem tak słynnym, że jego przydomek utworzono od słowa *at klippe*, co po duńsku znaczy obciąć. Eryk przycinał bowiem monety swojego państwa, co przez wieki było popularną wśród władców metodą radzenia sobie z problemami finansowymi. Moneta ważyła mniej, miała więc mniejszą wartość, z odzyskanego kruszcu zaś można było bić kolejne pieniądze. Eryk tak się naraził moźnym, że odebrali mu część władzy.



CESARZ I RUBLE

NAPOLEON BONAPARTE, szykując się do ataku na Rosję, nie ograniczał się tylko do przygotowań wojskowych. Kazał też produkować

we francuskich mennicach fałszywe rosyjskie ruble, żeby zdestabilizować gospodarkę wroga. Jako że na przedsięwzięcie nie żałowano sił ani środków, ruble miały doskonałą jakość. Efekty były niezłe – w szczytowym momencie całej akcji wartość banknotu jednorublowego spadła do zaledwie 20 kopiejek.

POLSKIE FRANKI

CZESŁAW BOJARSKI, polski architekt pracujący we Francji, okazał się jednym z najlepszych fałszerzy w historii. Po dwóch latach przygotowań w 1949 roku rozpoczął produkcję franków, które stopniowo udoskonaliał. Przez pierwsze trzy lata fałszywe banknoty krążyły nierozpoznane, wielokrotnie przechodząc przez ręce bankowców. Przez kolejnych 12 lat francuska policja próbowała namierzyć fałszerza. Wpadł przypadkiem, gdy śledzono jednego z jego kuzynów, który nierozważnie próbował sprzedać w banku sporą ilość podróbek. Podczas rewizji w domu Bojarskiego odkryto seki w podłodze, po przekroczeniu którego otwierało się ukryte wejście do tajnej fabryki pieniędzy.





ŻADEN ZE BROJLER

Rozmowa odbyła się 3 lutego 2010 roku w Warszawie

Sytuacja jest taka: prima balerina postanowiła jednak zostać dyrygentem, więc znienacka ogłoszono wśród chórzystek konkurs na następną prima balerinę i pan bierze w nim udział.

– Nie można tego bardzo trudnego wyboru sprowadzać do takiego operowego porównania, bo tu chodzi jednak o to, aby lepiej i skuteczniej modernizować Polskę.

Tak słyszałem. Kiedy dowiedział się pan, że Tusk nie będzie kandydował?

– Kandydowanie i niekandydowanie Donalda Tuska z wariantami, kto ewentualnie może wchodzić w grę, jeżeli nie on, było omawiane od paru miesięcy.

A kiedy po raz pierwszy poczuł pan, że ma „buławę w plecaku”, że może pan być ewentualnym kandydatem?

– Czuję się w znacznej mierze politykiem spełnionym, bo jestem człowiekiem, który w polityce osiągnął niesłuchanie dużo...

Ale pana politykowanie było trochę trwaniem... A co z buławą?

– I nie czułem się nigdy politycznym brojlerem, który rośnie w sposób nieuzasadniony, na sztucznych witaminach. Moja kariera polityczna przebiegała niesłuchanie harmonijnie i stopniowo, umacniając we mnie wewnętrzne przekonanie, że mam w sobie potencjał, który pozwala mi na normalnej drodze rozwijać się i sięgać po coraz wyższe funkcje. O żadnym czekaniu nie ma mowy... **Mówiłem o trwaniu.**

– Czy trwaniu. To było zdobywanie kolejnych szczebli nie tylko kariery, ale i wtajemniczenia, wiedzy, umiejętności, bez ruchów konika szachowego albo laufra, który przebiega przez całą szachownicę nerwowym ruchem, korzystając z jakiejś tymczasowej koniunktury.

Ktoś złośliwie mógłby nazwać przebieg pańskiej kariery efektem kuli śniegowej.

– Nie widziałbym w tym złośliwości.

Byłaby, jeśli by mówił dalej: „A czy z tej kuli nie powstanie bałwan?”, w takim sensie, że nie wiadomo co – oprócz zamiłowania do demokracji, skłonności do kompromisu – ma pan w środku?

– Chyba nie kwalifikuję się do tego, żeby rozważać, co ma w środku bałwan, szczególnie jeżeli ma mnie to dotyczyć, a myślę, że paru większych bałwanów by się w polskiej polityce łatwo znalazło... Jeżeli 20 lat funkcjonuje się w demokratycznej polityce, to nie tylko jest się stale przeświecany przez opinię publiczną, ale także stale obserwowany. Opinia publiczna wie, co mam w środku, bo 20 lat się publicznie wypowiadam. I jestem wdzięczny losowi i konkretnym osobom, że startując do polityki demokratycznej z pozycji człowieka o niesłuchanie radykalnych poglądach, a taki byłem...

Już nie pamiętamy pana takiego.

– Wielu pamięta, a może dzięki Tadeuszowi Mazowieckiemu uzyskałem szansę na lepsze odnalezienie się w polityce demokratycznej, zostawiając radykalizm za sobą.

Więc Mazowiecki założył panu długie, poważne spodnie, ale przypomnijmy, kiedy pan był taki radykalny, w czym?

– W okresie opozycji antykomunistycznej należałem do tych środowisk, które były najradykalniejsze. Niewątpliwie kwestie wychowania rodzinnego miały decydujące znaczenie, jeżeli chodzi o mój stosunek do działań politycznych i wszelkiej formy kompromisu. Byłem przeciwnikiem jakiegokolwiek kompromisu z komunistami i uważałem niemal za zdradę narodową Okragły Stół i porozumienie w Magdalence. Na szczęście poszło inaczej, niż ja to sobie wyobrażałem, właśnie w kierunku kompromisu, bo tylko kompromis mógł Polsce zapewnić ewolucyjną zmianę. W PRL-u państwo było wrogiem, tu państwo jest nasze, wspólne, więc dziś uważam, że w polityce demokratycznej

Potrawa wolno dojrzewająca, lekkostrawna, z nutą bitewnego ogniska, niekwaśna, niesłona i niesłodka – taki być może będzie przyszły prezydent
Bronisław Komorowski

zdolność do zawierania kompromisu jest czymś absolutnie niezbędnym.

Kiedy powiedział pan żonie: „Słuchaj, może będzie taka konieczność, możliwość, że będę kandydatem na prezydenta”?

– Wtedy, kiedy sprawa stała się aktualna, tuż przed wystąpieniem Donalda Tuska.

Jak zareagowała?

– Źle, zdecydowanie źle... Wydaje mi się, że to jest jeden z najpoważniejszych problemów funkcjonowania w polityce.

Ale był płacz, krzyk: „Zwariowałaś!”?

– Polityka jest niszcząca dla życia rodzinnego i dotyka osób, które nie są przygotowane do odpierania ataków, normalnych w polityce. Rodzina nie jest na nie przygotowana, uzbrojona do ich odpierania. To, co w polityce można uznać za pewien koszt konieczny, dla rodziny polityka takim nie jest i nie powinno być. Zawsze dziwię się różnym rodzinom, że tak łatwo i chętnie, nawet entuzjastycznie, wpisują się w polityczne zamysły swoich mężów czy tatusiów. Moja rodzina starała się i ja też zawsze staram się w stopniu maksymalnym oddzielać życie rodzinne od politycznego. Ale jesteśmy rodziną dzielnych ludzi, więc o płaczu i krzyku mowy być nie mogło.

I tak od 20 lat konsekwentnej politycznej kariery... Jeżeli pan wystartuje, to już się nie uda. Wybory prezydenckie to między innymi plebiscyt na najlepszą pierwszą damę.

– No i to jest problem wynikający z ewentualnego zrezygnowania z dotychczasowego dystansu mojej rodziny do polityki. Poza wszystkim dobrze by było, aby w Polsce podjąć próbę odczarowania urzędu prezydenckiego jako „złotego więzienia” na Krakowskim Przedmieściu. Zbliżyć się do modelu na przykład bardziej szwedzkiego, gdzie polityk jest bliżej





→ codziennego, normalnego życia i w ten sposób też może być bliżej normalnego, codziennego życia własnej rodziny.

Ze można nie zamieszkać w Pałacu Namiestnikowskim? Wyobraża pan sobie, że prezydent mógłby tam nie mieszkać?

– Z technicznego punktu widzenia jest to bardzo trudne, bo przecież w grę wchodzi różne inne powody, od bezpieczeństwa poczynając, ale jestem w stanie to sobie wyobrazić. Zawsze szalenie mi odpowiadał model szwedzki. Znam go z relacji osobistych, bo część mojej dalszej rodziny wyjechała po 56 roku do Szwecji na osobiste zaproszenie królowej Szwecji, gdyż byli z jej rodziny spowinowaceni. I pamiętam opowieści mojej kuzynki, że tak zwana stara królowa przyjeżdżała do niej co jakiś czas samochodem, który wszyscy znali, bo miał charakterystyczną rejestrację, jako osoba kompletnie prywatna, przywożąc słodczyce swojej dalekiej małej kuzynce. I wszyscy sąsiedzi uważali to za rzecz absolutnie naturalną, że w kwestiach rodzinnych ona zachowuje się tak jak ciocia, a nie jak królowa. Taki może być też model zachowania w polityce, nie monarszej, ale demokratycznej. Pamiętam, że gdy byłem w MON, to tam panowały obyczaje troszkę takiego „podciągnięcia”, raczej typowe dla Wschodu niż dla świata zachodniego. Sprężystość, dyspozycyjność. Potem już jako przewodniczący komisji sejmowej pojechałem do Szwecji i w ramach tej wizyty przewidziane było też spotkanie z tamtejszym ministrem obrony. Szliśmy do niego na piechotę, bo było blisko (w Polsce trzeba by przejechać tych paręset metrów limuzynami na sygnałach), i nagle zobaczyłem, że na przeciwnym rogu ktoś stoi, macha ręką i gwizdże na palcach. Okazało się, że macha i gwizdże na palcach cywilny minister obrony Szwecji von Sydow.

Arystokrata.

– Na ogół ludzie takiego pochodzenia mają więcej luzu, nie są tak bardzo spięci. To mi dało wiele do myślenia, jeśli chodzi o sposób zachowywania się w polityce, do tego stopnia, że gdy przyjechała koleżanka partyjna, socjaldemokratka, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, tośmy sobie urządzili koncert gwizdania na palcach w moim gabinecie, razem z ambasadorem Unii w Polsce, bo okazało się, że każde z nas umie świetnie gwizdać, tylko każdy inną metodą.

A pan gwizdże tak... czy tak...?

– Gwizdżę na dwóch palcach – serdecznym i wskazującym. I to dla mnie było sygnałem, że my jesteśmy przesadnie usztywnieni.

Jak to prowincjusze. Czy nie byłoby tak – gdyby pan wystartował i wygrał – że zwycięstwo człowieka z arystokratycznym czy szlacheckim pochodzeniem byłoby ostatecznym pokazaniem „wała” PRL-owi?

– Tak nie myślę nigdy o mojej roli politycznej. I widzę w tym przejaw pewnej normalności, bo pamiętam doskonale czasy, kiedy kwestie pochodzenia rodziny trzeba było chować głęboko jako coś po prostu groźnego, co mogło grozić w szkole złym spojrzeniem nauczyciela, w pracy rodzicom. Ja zresztą nie pochodzę z rodziny arystokratycznej, chciałbym ten mit rozwiązać, choć pochodzę z rodziny o bardzo dalekich w historii polskich korzeniach. Pierwszego Komorowskiego odnotowano w roku 1399 jako rycerza, który zginął w bitwie Wi-

tolda, wielkiego księcia litewskiego, z Tatarami. Był tam wysłany w ramach posiłków polskich. I zawsze to z dumą podkreślam, że tytuł arystokratyczny, który moja rodzina nosiła, dostaliśmy od przyzwoitego króla węgierskiego Macieja Korwina, a nie od żadnego zaborczego cesarza. Nigdy nie czułem przynależności do arystokracji, tym bardziej międzynarodowej, bo rodzina w ostatnich stu czy dwustu latach była rodziną kresowej, dobrej szlachty, ale raczej brała w „d” od historii, niż korzystała z jakichkolwiek splendorów czy przywilejów.

W polskiej tradycji to pięknie, że brała w „d”.

– I z tej tradycji brania po krzyżu jestem bardziej dumny niż z faktu pochodzenia. Pewnie zaczęło się to od tego Jakuba z 1399 roku i trwało aż do generała Bora-Komorowskiego. W mojej rodzinie bardziej się ceniło nie splendory i majątki, ale dokonania na rzecz ojczyzny, nawet tej, której nie było na mapie.

Z Lechem Kaczyńskim zawsze miałem poczucie pewnego braterstwa ze względu na wspólną tradycję AK i Powstania Warszawskiego

BRONISŁAW KOMOROWSKI

I z dumą zawsze będę podkreślał tych moich przodków, którzy – jak trzeba było – to szli do powstania, do więzienia, i będę z dumą podkreślał, że jestem synem, wnukiem żołnierzy Armii Krajowej...

I że pana ciotka uratowała życie ojcu braci Kaczyńskich.

– Nie wiem, czy to będę aż tak podkreślał... Ale z obecnym prezydentem Lechem Kaczyńskim zawsze miałem poczucie pewnego braterstwa ze względu na tę wspólną tradycję Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego, trochę związaną też z tą opowieścią o mojej wspaniałej cioci Heli Wołłowicz, która była koleżanką ojca Kaczyńskich w „Baszcie” i której rzeczywiście pierwszym pacjentem był ojciec Kaczyńskich postrzelony w rękę 1 sierpnia 1944 roku na Służewcu.

Czy kandydat Platformy na prezydenta będzie musiał złożyć swego rodzaju hołd pruski, lenny Tuskowi, to znaczy obiecać, że będzie takim, a nie innym prezydentem, meldować wykonanie zadań?

– Nie. Wystarczy ten jeden meldunek obecnego prezydenta złożony własnemu bratu.

Skąd ta wiara?

– To nie jest wiara, tylko wynik obserwacji tego, jakie są relacje w PO. Po prostu nie ma takiego zwyczaju. Poza tym zachowania prezydenta reguluje nie hołd, ale konstytucja. Według mnie wszystko, co jest w tej sprawie najważniejsze, zostało powiedziane także przez Donalda Tuska.

Że przyszedł wasz prezydent ma być pomocnikiem w wykonywaniu wielkiego projektu Platformy.

– Nie mówił o pomocniku, ale o tym, że naszym celem jest sytuacja zdrowsza z punktu widzenia interesu Polski, gdy urząd prezydenta nie będzie elementem blokującym modernizację kraju i utrudniającym życie rządowi, tylko elementem wspierającym proces modernizacji. I dlatego też między innymi dla mnie jest istotne to, co proponowali byli prezesi Trybunału Konstytucyjnego. Ich propozycja nie stawia na likwidację instytucji weta, bo to jest niemożliwe, ale na zmniejszenie ryzyka stosowania go w sposób nieuzasadniony, na przykład wtedy, kiedy rząd i prezydent różnią się w poglądach i pomysłach.

Czyli żeby prezydent nie mógł swoich poglądów politycznych realizować jako polityki rządowej?

– Żeby było trochę tak jak w Niemczech, gdzie prezydent też ma możliwość wetowania, ale korzysta z tego weta o wiele rzadziej i z większym namysłem.

Byłby pan takim kandydatem, który jest gotów zgasić część żyrandoli w Pałacu Prezydenckim?

– Uważam, że można bez żadnego uszczerbku dla roli prezydenta obniżyć w tym wypadku próg odrzucania weta prezydenckiego, a jednocześnie dać prezydentowi dodatkowe uprawnienia do aktywnego udziału na każdym etapie procesu legislacyjnego w tworzeniu ustaw. Postuluję, aby Kancelaria Prezydenta mogła na każdym etapie zgłaszać poprawki i przekonywać do nich posłów. Dzisiaj też przychodzą jej przedstawiciele, jeśli omawiany jest projekt prezydencki, i zabierają głos, tylko nie mogą aktywnie uczestniczyć w posiedzeniach podkomisji i tam proponować poprawek. Prezydent powinien mieć prawo do pełnoprawnego dialogu w czasie pierwszego, drugiego, a nawet trzeciego czytania ustaw, żeby mieć poczucie współodpowiedzialności za ostateczne dzieło, jakim jest ustawa. Żeby nie był w sytuacji wyboru zero-jedynkowego: to jest moje albo nie moje i wetuję albo nie wetuję. Wtedy będzie dwa razy mniej ochoczo wetował i łatwiej uznawał ustawy za wspólne dzieło.

Będzie pan dalej zwolennikiem tej koncepcji, gdyby wygrał kandydat PO, a potem wybory parlamentarne wygrał PiS i on rządził?

– Jestem zwolennikiem tego także teraz, kiedy jest pan prezydent Lech Kaczyński, bo problemem Polski jest dwugłowy ustrój. Półtoragłowy.

– To już kwestia oceny osób.

Mówię o sile konstytucyjnej, nie o zawartości głowy.

– A to ma swoje historyczne źródła, bo w tej stronie skreślono z konstytucją w ostatnim momencie, kiedy okazało się, że szef komi-

sji konstytucyjnej ma szansę zostać prezydentem i nim został. I dziś prezydent, mając relatywnie bardzo duże uprawnienia w paru obszarach i dysponując swoistą bombą atomową, jaką jest weto, nie jest w stopniu wystarczającym wciągnięty w proces odpowiedzialności. Konstytucja mówi o odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu za złamanie konstytucji, ale nigdzie nie mówi o odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

Lubi pan jeździć samochodem?

– Lubię, choć w tej chwili rzadko jeżdżę sam.

Pytam, bo jeśli pan będzie kandydował, to całe dni będzie pan spędzał w samochodzie, objeżdżając polskie wsie, miasta i miasteczka.

– Jeżeli będę kandydował, to będzie to niezbędne.

Czy panu się chce?

– Tu zadecyduje poczucie odpowiedzialności i wspólna kalkulacja polityczna, a najmniej to, czy osobiście o tym marzę.

Tak sobie?

– Nie, ktoś, kto nie chce walczyć, ponieść jakiegś ofiary, nie chce się męczyć, ktoś, kto nie chce kontaktować się z ludźmi, nie powinien funkcjonować w polityce.

Komorowski chce?

– Komorowski nigdy się nie bał kontaktu z ludźmi.

Chce?

– Lubię kontakt z ludźmi. Nigdy nie należy mówić „hop”, zanim się nie przeskoczy, ale oczywiście tak. Powiedziałem wielokrotnie, że jest z mojej strony akceptacja dla stanięcia w szranki wewnętrzne w Platformie, dla ubiegania się o szanse bycia kandydatem na urząd prezydencki.

A co ze strachem przed tym, że wróci pan któregoś dnia z kolejnego wiecu przedwyborczego „w Polsce” i zastanie na stole w kuchni kartkę od żony, że przeczekaj pan karierę pod innym adresem?

– Nie widzę takiego problemu. Mamy już dorosłe dzieci, wszystkie są w zasadzie samodzielne, najmłodsze studiuje, to był kiedyś problem mojej dramatycznej nieobecności w domu, w czasie kiedy dzieci ojca potrzebują.

Szczególnie że było ich dużo.

– Uważam, że ludzie, którzy decydują się na wychowanie dużej liczby dzieci, mają optymistyczny stosunek do życia, wierzą, że sobie poradzą.

Będą prawyborzy w Platformie?

– Będziemy się nad tym zastanawiali w kierownictwie Platformy.

Bronisław Komorowski, 58 lat, marszałek Sejmu, jeden z faworytów PO na fotel prezydenta. Pochodzi z rodziny szlacheckiej. Szlachecki sygnet założył jednak dopiero wtedy, gdy został ministrem obrony w rządzie Jerzego Buzka. Wcześniej był wiceministrem [obrony] w rządach Tade-

usza Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego i Hanny Suchockiej. Jego pierwszą rządową posadą po wyborach 1989 roku było kierowanie gabinetem ministra Aleksandra Halla, który odpowiadał za kontakty z mediami. W PRL aktywny opo-

zycionista, po raz pierwszy więziony w 1980 roku z wyroku Andrzeja Kryżego, późniejszego wiceministra sprawiedliwości w rządzie PiS. W stanie wojennym internowany. Po wyjściu na wolność wykadł historię w seminarium duchownym. Żonaty, ojciec piątki dzieci.



Pan wolałby prawyborzy?

– Tak, one dają większą siłę legitymacji kandydatowi i większe poczucie wspólnoty, a to jest warunek skutecznej walki.

Zdziwiłby się pan albo zmartwił, gdyby w tych prawyborach wystartował Olechowski? Może prawyborów nie będzie po to, żeby Olechowski nie przyszedł na salę i się zgłosił?

– Odwrotnie. Jedną z ewentualnych silnych motywacji w Platformie, aby prawyborzy były, jest chęć zaproszenia Andrzeja Olechowskiego do uczestniczenia w nich.

Żeby mu dać szansę?

– Oczywiście, że tak, a dlaczego nie?

Żartuje pan sobie teraz.

– Nie, mówię poważnie. On mógłby się też skonfrontować z opinią PO, szczególnie że kandyduje trochę z retoryką antyplatformianą, a jednocześnie odwołuje się cały czas do PO, z którą – jak mówi – jest bardzo silnie emocjonalnie związany. Andrzej Olechowski wspierałem, kiedy poprzednio kandydował na urząd prezydencki, i robiłem to z głębokim przekonaniem. I mógłbym mówić, że oczekuję rewanżu dzisiaj, ale powiem tylko tyle, że ja bym bardzo chciał, żeby Andrzej Olechowski wrócił do Platformy Obywatelskiej, bo to zwiększyłoby szansę na pokonanie PiS-u. Dzisiaj jego kandydowanie przeciw Platformie – moim zdaniem – jest PiS-owi bardzo na rękę. Taki powrót byłby jednocześnie poddaniem się swoistej weryfikacji przez uczestnictwo w prawyborach. Zresztą Platformie bardzo służy otwartość tak w stosunku do Cimoszewicza, jak i w stosunku do Andrzeja Olechowskiego. Żle się stało, że Olechowski nie wytrzymał i gdzieś podryfował na manowce polityczne. Gdyby był dzisiaj w Platformie, być może byłby bardzo ważną postacią życia politycznego.

Jest w panu gotowość do bycia – jeśli zajdzie taka konieczność – Brutusem, który zabija Cezara? Bo założymy, że pan kandyduje, wygrywa, jest prezydentem, Donald Tusk dalej rządzi...

– A dlaczego miałbym być Brutusem?

...rządzi i okazuje się, że błądzi

przekonany o swojej wielkości i geniuszu.

Wtedy trzeba być Brutusem.

– Nie trzeba, kompletnie się nie zgadzam z taką wizją polityki. Po to są polityczni przyjaciele, współpracownicy polityczni, towarzysze wspólnej walki, aby po pierwsze, pomagać sobie, a po drugie, nie zabijając się nawzajem – prowadzić debatę wewnętrzną, przekonując do różnych racji, przestrzegając przed zagrożeniami...

Są wodzowie, którzy nie słuchają krytyki.

– Którzy widzą politykę tylko jako ciągłą walkę, podczas gdy można widzieć politykę jako arenę uzgadniania i przekonywania się.

Donald Tusk bardzo wyrósł ponad Platformę, narzuca jej pewne rozwiązania

nawet dla niej niewygodne, nieoczywiste. I być może w którymś momencie zacznie popełniać błędy i wtedy trzeba go będzie politycznie zabić i będzie mógł to zrobić tylko Brutus.

– To samo mówiono w odniesieniu do Mazowieckiego w Unii Wolności, że trzeba „skończyć” tę sprawę. To się źle skończyło dla samej Unii Wolności. W polskiej polityce tak samo szkodliwe jest przesadne stawianie na jednoosobowe dowodzenie, jak i myślenie o polityce w kategoriach ciągłej walki wewnętrznej. Póki co nie dostrzegam, poza obszarem taktyki politycznej, zagrożenia i jakichś istotnych różnic między mną a Donaldem Tuskiem.

Wierzy pan, że mógłby wygrać z Lechem Kaczyńskim?

– Nie wierząc w sukces, nie warto startować. Ja wierzę. Oczywiście część kandydatów kandyduje nie z zamiarem wygrania wyborów, tylko z innym celem politycznym, na przykład zbudowania formacji albo zakłamowania się, albo sementowania własnych szeregów, uratowania przed konfliktami wewnętrznymi bądź uratowania własnej pozycji. Jednak ten zasadniczy bój polityczny będzie się toczył o prezydenturę między kandydatem Platformy Obywatelskiej i kandydatem PiS.

Sikorski też ma szansę wygrać z urzędującym prezydentem?

– Oczywiście, że tak.

Większe niż pan?

– Nie wiem, o tym muszą zdecydować zarówno kalkulacje Platformy Obywatelskiej, jak i najprostsze źródło informacji, to znaczy sondaże opinii publicznej. One dają bardzo wiele wiedzy na temat tego, kto ma większą szansę na sukces i na pokonanie kandydata PiS.

Czy teraz, kiedy już wiadomo, że Donald Tusk nie startuje, to jak spotykacie się z Sikorskim, podajecie sobie rękę jakoś inaczej, z jakimś uśmiechem, bo między rywalizującymi mężczyznami może być różnie?

– Starałem się przez całe życie, mając ambicje, nie być ambicionerem, to znaczy nie traktować wszystkich jako przeciwników czy tylko i wyłącznie konkurentów.

Założyliście się ze sobą, kto wygra?

– Nie, takich zakładów nie ma. A jeżeli będzie wskazanie na ministra Sikorskiego, to on wie, że stanę za nim, będę wspierał go w kampanii wszystkimi dostępnymi mi siłami. Mam nadzieję, że i odwrotnie.

A możliwa jest jeszcze sytuacja, w której Donald Tusk jednak będzie kandydował?

– Wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne. Ryzykowna była sama decyzja o niekandydowaniu, ale na szczęście została przyjęta ze zrozumieniem przez opinię publiczną. Ryzykiem jeszcze większym byłaby próba odwracania sytuacji w drugą stronę. Rubikon został przekroczony. □



Brazylia rządzi.
Mają ropę, igrzyska
i najfajniejszego
prezydenta

Potęga płaczu

Brazylijczycy kochają swojego przywódcę Lulę da Silvę za to, że odmienił oblicze ich kraju. Przywódca chce więcej – miłości całego świata

BRAZYLIA MACIEJ JARKOWIEC

To Luiz Inácio Lula da Silva, a nie Barack Obama powinien dostać pokojowego Nobla. Tak myśleli pewnie naukowcy z renomowanego londyńskiego instytutu Chatham House, przyznając w listopadzie zeszłego roku prezydentowi Brazylii doroczną nagrodę dla polityka najlepiej służącego poprawie stosunków międzynarodowych. Ich zachwyt nad Lulą nie jest odosobniony. Za człowieka roku 2009 uznały go najważniejsze gazety we Francji i w Hiszpanii – „Le Monde” i „El País”. Lulę zachwyca się też sam Obama. Na kwietniowym szczycie G20 w Londynie kamery wychwyciły, jak podczas pogawędki prezydent USA, ściskając rękę przywódcy Brazylii, mówi: – To dopiero gość. Kocham go! Najpopularniejszy polityk na ziemi!

Rzeczywiście, na świecie nie ma drugiego przywódcy, który po siedmiu latach rządów może się pochwalić 80 procentami pozytywnych ocen od swoich obywateli. Ale Luli nie wystarcza już lokalna popularność. W ostatnim roku na tyle rozsmakował się w pochwałach płynących pod jego adresem z każdego zakątka ziemi, że zapragnął liderować globalnej odnowie. Na zakończonym 31 stycznia Światowym Forum Gospodarczym w Davos okazało się, że Brazylii nie interesuje rola ważnego gracza w świecie, jaki mamy dziś. Brazylia chce zbudować nowy świat.

Lud kocha Lulę

Film „Lula, syn Brazylii” wszedł na brazylijskie ekrany w styczniu. Na rodzimym rynku rywalizację o oglądalność przegrywa jedynie z „Avatarem”. Nakręcony kosztem siedmiu milionów dolarów film jest najdroższym w historii kraju i przedstawia zmitologizowaną biografię prezydenta od dnia narodzin do momentu, kiedy w wieku 35 lat zjednoczył związki zawodowe.

– Czysty socrealizm – recenzuje dla „Przekroju” Antonio Rangel Bandeira, wiceminister polityki społecznej w latach 1986–1987, przyjaciel prezydenta jeszcze z czasów związkowych. – Lula z filmu jest herosem bez skazy.

Większości Brazylijczyków ten socrealizm nie przeszkadza, bo dla nich prawdziwy Lula też jest herosem bez skazy. Lud kocha Lulę, bo Lula jest z ludu. – Nie ma wykształcenia, skończył tylko cztery klasy podstawówki, ale jest wybitnie bystry – mówi nam Riordan Roett, dyrektor studiów latynoamerykańskich na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Waszyngtonie. – Ma mądrość zwykłego człowieka zdobytą na ulicy.

Scenariusz filmu powstał na podstawie książki Denise Parany analizującej losy prezydenta na tle społecznym. Kiedy w 1952 roku jako siedmiolatek przez 13 dni podróżuje na pacyfikatorów z biednej północy na bogatsze południe – jest częścią największej fali wewnętrznej migracji w historii kraju. Ojciec Luli zosta-



wia rodzinę i modelowo zapija się na śmierć – w samym szczycie narodowej epidemii alkoholizmu. A gdy na początku lat 70. pierwsza żona Luli umiera podczas porodu, zostaje dopisana do statystyki świadczącej o tym, że służba zdrowia w ówczesnej Brazylii należała do najgorszych na świecie.

Lula wyszedł z ludu i o lud dba. – Polityka społeczna to największy sukces jego rządów – uważa Bandeira.

Prezydent o sto procent podniósł pensję minimalną (dziś wynosi ona około 200 dolarów). Dzięki programom „Fome Zero” (zero głodu) i „Bolsa Família” (stypendium rodzinne) liczba ludzi żyjących w skrajnym ubóstwie zmniejszyła się między 2003 a 2008 rokiem o połowę. – Pieniądze spływają do rodzin, z pominięciem skorumpowanego samorządu – chwali system Roett. – Aby dostać pomoc, trzeba zaszczyć dzieci i posłać je do szkoły.

Lud kocha Lulę również dlatego, że jest on wrażliwy jak żaden inny mąż stanu. Płacze na wiecach, podczas przemówień i na konferencjach prasowych. Lula jako bohater tytułowy też płacze, gdy pod tokarką traci mały palec dłoni. Legenda głosi, że to wydarzenie – po wypadku biegał od szpitala do szpitala i bezskutecznie błagał o pomoc – rozpało w nim lewicowy gniew i obudziło instynkt związkowca.

Ekonomiści kochają Lulę

Rangel Bandeira przypomina, że to rządy Fernanda Henrique Cardosa, poprzednika Luli, były punktem zwrotnym w historii kraju. – Dzięki niemu wydostaliśmy się z zakłętego kręgu, w którym tkwią najbiedniejsze państwa świata: nieracjonalnej polityki, demagogii i korupcji.

Gdy 1 stycznia 2003 roku były szef centrali związkowej przemysłu metalurgicznego, współzałożyciel lewicowej Partii Pracujących,

Po decyzji o igrzyskach dla Rio. Żaden inny polityk świata tak ochoczo nie okazuje emocji

brał stery w swoje ręce, większość obserwatorów wieszczyła Brazylii rychły powrót do ustalonej przez dziesięciolecia rutyny – po krótkiej przygodzie z reformami powrót do chaosu i populizmu. Lula wygrał dzięki głosom biedoty, więc obawiano się, że jako zapalczawy lewicowiec będzie myślał tylko o tym, jak ją nakarmić – kosztem budżetowej dyscypliny i wzmacniania klasy średniej. W swojej kampanii często posiłkował się też antyamerykańską retoryką. – W największym państwie Ameryki Łacińskiej doczekaliśmy się klonu Cháveza – załamywali ręce ludzie Busha.

Ale da Silva okazał się pragmatykiem. „Jestem chodzącą metamorfozą” – mawia o sobie i rzeczywiście jego przemiana była na tyle spektakularna, że jeszcze zanim skończył pierwszą kadencję, prezydent USA nazywał go najważniejszym sojusznikiem w regionie. W gospodarce kontynuuje liberalny kurs Cardosa. Utrzymał wysokie tempo wzrostu i niską inflację, wyciągając miliony ludzi z biedy, pobudził popyt wewnętrzny. Modernizuje rolnictwo, przez co Brazylia wyrasta na największego żywiciela świata. Riordan Roett wylicza: – Brazylijczycy są liderem w eksporcie kawy, cukru, kurczaków, wołowiny, soku pomarańczowego i soi. Kraj jest największym światowym eksporterem tytoniu i drugim po USA producentem etanolu.

Bogata w surowce i poprawnie rządzona Brazylia najpóźniej w połowie tego stulecia ma być jedną z pięciu największych gospodarek świata. Da Silva, siódme z ośmiorga dzieci biednych wieśniaków, uosabia więc nie tylko bolesne losy swojej ojczyzny w ostatnim półwieczu, ale także jej powstanie z nędzy.

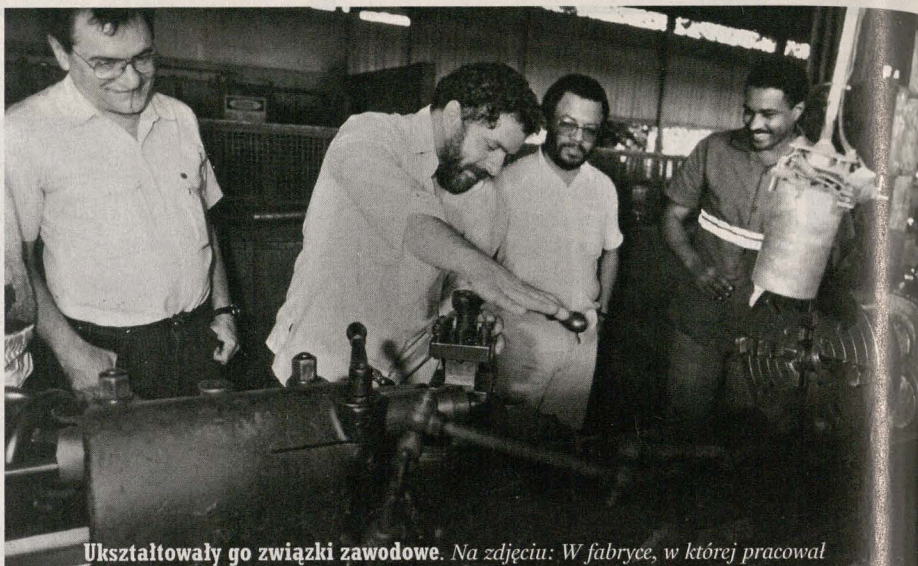
Kariera „najpopularniejszego polityka na ziemi” zaczęła się przecież od ulicznej →

→ sprzedaży pomarańczy i orzeszków. Jak można się dowiedzieć ze strony internetowej Partii Pracujących, ośmioletni Lula był tak nieśmiały, że nie potrafił nawoływaniem zachęcać przechodniów do zakupów. Starszy brat regularnie dawał mu za to po głowie, ale nie pomagało. „Bałem się krzyczeć” – wspomina Lula w portalu PP. W wieku 12 lat rzucił handel, szkołę i wybrał zawód pucybuta. Potem dostał pracę w fabryce śrub, został tokarzem i zapisał się do związków. W czasie kryzysu, który wybuchł po wojskowym zamachu stanu w 1964 roku, przez dwa lata chodził od fabryki do fabryki, szukając zatrudnienia. Znalazł je w największych zakładach metalowych kraju Villares, na przedmieściach São Paulo. W 1975 roku głosami 92 procent załogi został szefem tamtejszego związku zawodowego. Jak człowiek, który „boi się krzyczeć”, może przewodzić związkowcom? Dokładnie tak jak lewicowiec może stać się neoliberalnym – dzięki metamorfozie. „Gdy pierwszy raz stanąłem przed mikrofonem, zamarłem. Trzęsły mi się nogi, trzęsły mi się dłonie, w których trzymałem kartki z przemówieniem. Nie mogłem wydobyć z siebie słowa”. Pojął, że jego polityczna kariera zależy od tego, czy przezwycięży nieśmiałość. Zawział się i obserwując uwielbianego przez robotników związkowego trybuna Paulo Vidala, nauczył się wołać do ludu.

Pięć lat po tym, jak przejął ster związków, Lula (w tym czasie zarejestrował swój przydomek – zdrobnienie od Luiz – jako drugie nazwisko) jest już gwiazdą lewicy i współzakłada Partię Pracujących. Na początku lat 80. przewodzi strajkom w branży motoryzacyjnej, co kosztuje go 31 dni więziennej odsiadki. W 1986 roku, po upadku wojskowej dyktatury z ramienia PP zasiada w Kongresie. Usmarowany kombinizon zamienia na garnitur, pracuje nad gramatyką i akcentem i rozpoczyna marsz po prezydenturę.

Trzeci Świat kocha Lulę

Kocha, bo „kryzys jest dziełem bogatych białych bankierów o niebieskich oczach”. Te słowa padły z ust Luli (biały, brązowe oczy) na wspólnej konferencji prasowej z Gordonem Brownem (biały, brązowe oczy). Tu i ówdzie media nieśmiało oskarżyły prezydenta Brazylii o rasizm, ale dzięki tej wypowiedzi Lula z miejsca stał się rzecznikiem biednych krajów świata, duchowym liderem zwolenników nowego ekonomicznego porządku. Samej Brazylii kryzys nie tylko nie zaszkodził, ale wręcz pokazał jej siłę, stabilność i potencjał. Recesja była płytka i trwała jedynie dwa kwartały. Bez pomocy państwa ocalały wszystkie banki, rząd pożyczył pieniądze Międzynarodowemu Funduszu Walutowemu, a nie na odwrót. Lula po mistrzowsku rozegrał kryzysową sytuację – zachowując pragmatyczny kurs w gospodarce krajowej, dolewał oliwy do antykapitalistycznego ognia za granicą. Nie przegapił okazji, żeby powiedzieć zgnębionym kryzysem ludziom to, co chcieli usłyszeć:



Ukształtowały go związki zawodowe. Na zdjęciu: W fabryce, w której pracował



W 2006 roku zagłosowało na niego 58 milionów Brazylijczyków, najwięcej w historii wyborów w tym kraju

„G8 nie ma żadnej legitymacji, żeby w swoim zamkniętym gronie debatować o tym, jak naprawiać świat”.

„Czyż MFW i Bank Światowy nie obudziły się z ręką w nocniku?”

„Każda transakcja finansowa musi się przekładać na powstanie buta, koszuli albo samochodu. Nie może być tak, że ja ci dam papierek, ty mi dasz papierkę, potem przebijemy jakąś bańkę i zrobimy fortunę”.

Według waszyngtońskiego analityka Thomaasa Almeidy da Silva jako tak zwany *sertao*, człowiek pochodzący z wiejskiej biedoty północnego wschodu, niezależnie od pełnionych funkcji i doraźnego politycznego pragmatyzmu w głębi duszy zawsze będzie identyfikował się z dolnymi społecznościami, a nie z elitą. Kryzys i fakt, że pozostał mu rok władzy, ciągną go do korzeni.

Serię populistycznych odezów Lula zakończył wystąpieniem w Davos pod koniec stycznia: „Brazylia ogłasza – głośno i wyraźnie – chcemy zbudować nowy świat! To nie tylko możliwe, to absolutnie konieczne!”. Żeby było dramatyczniej, słowa te odczytał w jego imieniu minister spraw zagranicznych, bo cierpiący

na nadciśnienie prezydent wylądował w szpitalu. Świat zadrżał w obawie o zdrowie odnowiciela, ale już na drugi dzień Lula zapewniał, że „czuje się świetnie i wraca do gry”.

Bóg kocha Lulę

Dbą o niego jak o mało kogo. Lula przede wszystkim jest fuksiarszem. To reformator Cardoso wykonał za niego czarną robotę. Da Silva przejął pędzącą gospodarkę w czasie surowego boomu i jego największym zadaniem było niczego nie sknocić. W 2007 roku los obdarował go kolejnym prezentem – bogactwo odkrytych złóż ropy ciągnących się przez 800 kilometrów brazylijskich wód terytorialnych szacuje się na 50 miliardów baryłek. Spece od energetyki okrzyknęli to odkrycie najważniejszym wydarzeniem ostatnich lat. Miliardy petrodolarów za kilka lat mają być silnikiem odrzutowym napędzającym projekty rozwojowe.

Jakby tego było mało, Bóg przyznał Brazylii organizację piłkarskiego mundialu w 2014 roku i letniej olimpiady dwa lata później.

Na konferencji prasowej w Kopenhagie po ogłoszeniu zwycięstwa Rio de Janeiro

w olimpijskim wyścigu (w tyle zostały Chicago, Madryt i Tokio) Lula w swoim stylu popłakał się ze wzruszenia jak dziecko. Gdy już opanował łzy, zawołał: – Awansowaliśmy do pierwszej ligi krajów świata, teraz mogą umierać!

Decyzja MKOl jeszcze bardziej rozgrzała wrzący już od kilku lat narodowy entuzjazm. „Brazylia rządzi!”, „Mamy wszystko!”, „Jesteśmy lepsi od USA!” – krzyczeli do telewizyjnych kamer roztańczeni *cariocas* (tak nazywają siebie mieszkańcy Rio). – Najważniejsze, co zostanie po Luli, to nadzieja i poczucie własnej wartości, którą zaszczepił w społeczeństwie – uważa Marta Suplicy, była burmistrz São Paulo.

Nawet jeśli to Cardoso jest ojcem gospodarczej przemiany Brazylii, Lula bez wątpienia odmienił ją duchowo.

Miłość mu wszystko wybaczy

Jednak ta odmieniona duchowo Brazylia jedną nogą wciąż tkwi w Trzecim Świecie.

John Williamson, brytyjski ekonomista, były doradca Międzynarodowego Funduszu Walutowego, wylicza sprawy zaniedbane przez dwie kadencje Luli: skomplikowany system podatkowy, przestarzałe prawo pracy, skorumpowana administracja państwa, zacofane szkolnictwo.

10 procent dorosłego społeczeństwa to analfabeci. – Lula kontynuuje politykę Cardoso i inwestuje w uniwersytety, zapominając o szkołach podstawowych – mówi Rangel Bandeira.

Rocznie w Brazylii ofiarą zabójstw pada 45 tysięcy obywateli. Według opublikowanego w grudniu raportu Human Rights Watch (HRW) od 2003 roku policja w São Paulo i Rio de Janeiro zabiła ponad 11 tysięcy osób. HRW donosi, że w ferworze wojny z gangami policja zabija bezkarnie niewinnych ludzi, a gangsterów, zamiast aresztować, wykańcza w egzekucjach. Fawele, których w samym Rio jest blisko tysiąc, to państwa w państwie. – Rio jest jednym z niewielu miast świata, gdzie dużą część obszaru kontrolują pozapaństwowe siły zbrojne – mówi reporterowi „New Yorkera” Alfredo Sirkis, lider brazylijskich Zielonych. Rząd Luli nie rządzi nie tylko w miejskich slumsach, ale też na olbrzymich połaciach Puszczy Amazońskiej. W stanie Para są obszary, gdzie posterunki policji są oddalone od siebie o kilka setek kilometrów, a praw własności ziemi nie strzegą akty notarialne i księgi wieczyste, lecz prywatne arsenały broni palnej.

Da Silva stał się rzecznikiem biednych krajów, duchowym liderem zwolenników nowego światowego porządku

Film „Lula, syn Brazylii” pomija między innymi fakt, że 29-letni Lula opuścił swą ukochaną w szóstym miesiącu ciąży i że jako związkowiec brał udział w wyrzuceniu przez okno jednego z dyrektorów. W swojej recenzji tygodnik „The Economist” stwierdził, że „wady prezydenta zostały na podłodze w montażowni, a zalety oglądamy na zblizeniach”. Takie podsumowanie świetnie pasuje też do zrecenzowania bezkrytycznych zachwyty nad gospodarczym cudem Brazylii. Miłość jest ślepa. Świat i Brazylia nie przestaną kochać Luli. Jak tu nie kochać przywódcy, który przytula tak miłośnicę, uśmiecha się tak szczerze i płacze tak rzewnie jak on. □

NAJPOPULARNIEJSZE* NA przekroj.pl



1. Koleżeński układ z seksem • Agata Jankowska

Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczuć. Kto złamie zasady układu *fuck friends*, wypada z gry. I z łóżka

2. 77 rzeczy, dla których warto żyć w 2010 roku

Myślicie, że 2010 rok będzie taki sam jak poprzednie lata? To macie trochę racji, bo na pewno – jak poprzednie lata – będzie wyjątkowy. Nie wiemy o nim wszystkiego, ale już to, co wiemy, wystarczy, żeby szczerze go wam polecić

3. Ostatnia doba samobójcy • Milena Rachid Chehab

Zanim skończysz czytać ten tekst, na świecie osiem osób popełni samobójstwo. Co się z nimi działo przez ostatnie 24 godziny?

4. Agent prawie prorok • Sylwia Piechowska

Kiedyś był zwykłym cherlakiem, potem menedżerem znanej grupy rockowej, później pomógł anulować biednym krajom milionowe długi. Dziś Aaron Cohen tropi tych, którzy wykorzystują niewolników. I pomyśleć, że gdyby nie jeden przypadkowy telefon, dziś byłby zwyczajnym narkomanem

5. „Parnassus” – opowieść naprawdę niesamowita • Ola Salwa

„Parnassus”: Gdy Terry Gilliam narzeka na współczesny świat, widzowie świetnie się bawią

BRACIE, GDZIE JESTEŚ?

Kim był? O czym myślał? Czy nas kochał, czy raczej się bał? Jak zginął? Jesteśmy o krok od wyjaśnienia tajemnicy naszych stryjecznych braci – neandertalczyków. Zaledwie kilka dni temu dowiedzieliśmy się, że przejazdem byli kiedyś w Polsce

NEANDERTALCZYK OLGA WOŹNIAK

W tej historii jest wszystko, co powinno się znaleźć w dobrym kryminale: zwłoki (dużo zwłok), mylące poszlaki, podejrzenie o seks w najbliższej rodzinie, kaniibalizm i przypuszczalne morderstwo. Po latach śledztwa coraz lepiej znamy tożsamość zaginionego. Ba, mamy nawet jego całkiem niezły portret.

Wysłani w trop za nim detektywi odnajdują jego ślady w różnych rejonach Europy i Azji. Najlepsi specjaliści tworzą profil psychologiczny. Stąd wiemy, że był sentymentalny. Choć na początku uważano go za gbura, dziś przypuszczamy, że potrafił się wzruszać. Dlaczego powinny nas obchodzić jego losy? Bo wiele wskazuje na to, że jesteśmy spokrewnieni. Więcej, niewykluczone, że znajdujemy się w wąskim kręgu podejrzanych o jego zabójstwo. Aha, jeszcze jedno – w ostatnich dniach w sprawie pojawił się polski wątek. Dochodzenie nabrało rumieńców.

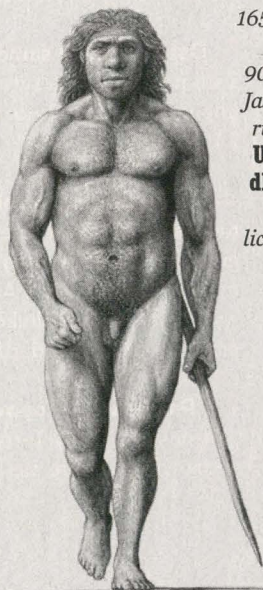
Zapraszam na rekonstrukcję sprawy człowieka neandertalskiego. Dla znajomych po prostu neandertalczyka.

Odcinek pierwszy: ciało

Jeśli gdziekolwiek przechowuje się oryginalne akta dotyczące człowieka neandertalskiego, to te najstarsze pokrywa gruba warstwa kurzu.

W końcu mają już ponad 150 lat. Mniej więcej tyle lat temu przez Europę i zachodnią Azję przetoczyła się fala sensacyjnych odkryć. Podobne zagadkowe szczątki znajdowano, grzebiąc w ziemi w Niemczech, Belgii, we Włoszech, Francji, na Gibraltarze, na terenach dzisiejszych Chorwacji i Izraela. To nie był przypadek. Więc co?

Niedźwiedź jaskiniowy, szkielety Kozaków z czasów wojen napoleoń-



Wzrost:
165 centymetrów,
waga:
90 kilogramów.
Jasna karnacja,
rudawe włosy.
**Uroda raczej
dla konesera,
ale przecież
liczy się wnętrze**

skich, lekko upośledzony Celt. Pomysłów było wiele. Trudno się dziwić, skoro znalezione kości na pierwszy rzut oka odbiegały od tych, które stanowią o wyglądzie współczesnych ludzi. Krótkie nogi, potężna, szeroka klatka piersiowa. Do tego jeszcze ta głowa – duża, wydłużona z tyłu, z przodu pochylone czoło, ścięty podbródek i kostne waly nad oczami. Szeroki nos. Gdyby nie żuchwa, mielibyśmy do czynienia z kompaktową wersją (około 165 centymetrów wzrostu) boksera Nikołaja Wałujewa. Wyobraźcie go sobie, jak stoi obok was w autobusie. Jaki iloraz inteligencji przypisałibyście temu osobnikowi? A ile razy wam powtarzano, że nie osądza się człowieka po wyglądzie?

Pierwszym odkrywcą neandertalczyka mówiono to chyba dosyć rzadko, skoro ich rekonstrukcje nie pozostawiały złudzeń. Oto nowy gatunek rodzaju ludzkiego: *Homo neanderthalensis* – oświadczyli po namyśle i pokazali rysunki. Znajdował się na nich włochaty, przygarbiony małpud z bardzo małym rozumkiem.

Kim był? Kiedy żył? Jak zginął? Portret pamięciowy z początku śledztwa nie ułatwiał odpowiedzi. Sprowadzał dochodzenie na manowce, utrzymując wszystkich w przekonaniu, że poszukiwany obywatel to zwykła małpa.

Odcinek drugi: dusza (a w każdym razie rozum)

Lata mijają, a zwłok przybywało – dziś archiwum sprawy zawiera opisy kilkuset. Same kości. Łączą je te same cechy morfologiczne, obszar występowania (Europa i zachodnia Azja) i szacowany wiek od 130 tysięcy do 30 tysięcy lat.

Zwrot w dochodzeniu nastąpił, gdy – opierając się na nowych wynikach badań – niemal 50 lat temu po raz kolejny zrekonstruowano neandertalczyka. Wciąż patrzył na nas osobnik jakby lekko opuchnięty, ale już zdecydowanie człowiek. Godnie wyprostowany, ubrany na miarę swoich czasów, gładkoskóry. Do tego (jak stwierdzili trzy lata temu naukowcy z Uniwersytetu w Barcelonie) blady i (przynajmniej w pewnym stopniu) ryżawy. Te ostatnie odkrycia – opisane w piśmie „Science” – to wynik badania DNA pobranego ze szczątków dwóch neandertalczyków. Przy okazji odkryto u nich też tak zwany gen mowy FOXP2, a w każdym razie taką jego mutację, która miała pomóc ludziom w rozwinięciu swobodnej konwersacji.

I tak neandertalczyk przemówił. Nie żeby od razu do wszystkich. Wśród badaczy wciąż jest wielu sceptyków. Entuzjaści jednak argumentują: jego mózg był wystarczająco duży, by mógł osiąść taką zdolność, znaleziona przy jednym ze szkieletów kość gnykowa (do niej przychepione są mięśnie języka, żuchwy i krtani) jest taka sama jak nasza. No i wiemy, że neandertalczyk polował, wytwarzał narzędzia, uprawiał sztukę (choć na tle artystycznych osiągnięć *Homo sapiens* był raczej przedstawicielem prymitywizmu, a złośliwi twierdzą nawet, że wszystko, co zrobił, to plagiat), opiekował się starszymi i chorymi. To niemożliwe, by robił te wszystkie skomplikowane społecznie rzeczy i nie umiał się dogadać. Spory trwają. Na tego, kto je raz, a dobrze rozstrzygnie, czeka nawet nagroda pieniężna.

Machina jednak ruszyła. Współcześnie już nikt nie odmawia neandertalowi praw do wyższych uczuć. Skoro bowiem zdolny był grzebać zmarłych, posypywać ich zwłoki kwiatami, obkładać je zwierzęcymi kośćmi i rogami, to znaczy, że współbracia (i siostry) coś dla niego znaczyli. Choć trzeba tu wstydliwie przyznać, że w chwilach głodu i może z powodów rytualnych nie pogardzał również ich mięsem. No, ale niech rzuci kamieniem ten *Homo sapiens*, który jest pewien, że żaden jego przodek nigdy nie poznał smaku ludziny!

Zimno, ciemno,
wieje. Jedzenia
coraz mniej.
A w dodatku
w sąsiedztwie
zamieszkały jakieś
podejrzane typki



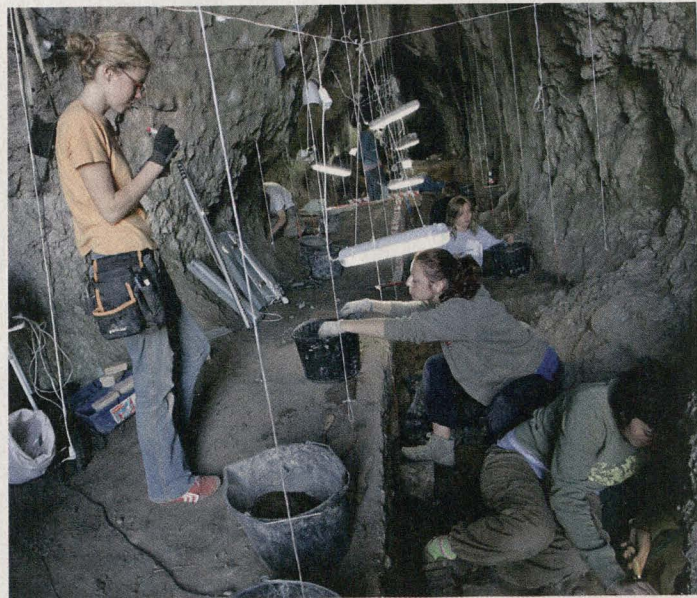
Cała ta wiedza sprawiła, że neandertalczyk zyskał grono rzeczników. Od lat 60. XX wieku wielu naukowców do nazwiska (imienia?) *Homo neanderthalensis* dodaje przydomek *sapiens* – myślący.

Odcinek trzeci: spotkanie

Myślący czy nie, jedno jest pewne – neandertalczyk nie był typem światowca. Ten Europejczyk z pochodzenia nie odbywał dalekich podróży, choć klimat w jego miej-

scu zamieszkania raczej go nie rozpieszczał. Czasy, na które datuje się występowanie człowieka neandertalskiego, to w Europie epoka lodowcowa. Neandertalczyk pojawił się na naszym kontynencie jakieś 175 tysięcy lat temu. Stopniowo opanował też zachodnią Azję. Skąd się tu wziął? Wyewoluował z archaicznego człowieka, który milion lat temu przywędrował z Afryki. Mylili się jednak ten, kto szukałby w jego historii korzeni

Studenci w jaskini Stajnia w żmudny sposób odkrywają kolejne warstwy ziemi. Nie chcą przegapić ani jednej kosteczki



TRZY ZĘBY Z GŁĘBI CZASU: ROZMOWA O ODKRYCIU POLSKICH ARCHEOLOGÓW

Świat naukowy huczy o znalezisku, jakiego panna zespół dokonał w jurajskiej jaskini. Jak do niego doszło?

Mikołaj Urbanowski: – Pierwszy raz pojechaliśmy do jaskini Stajnia w 2006 roku. Wandale i złodzieje rozkopywali jej dno, szukając skarbów lub kości, które sprzedawali turystom. Miejsce trzeba było zabezpieczyć. A to, co znaleźliśmy, przerosło nasze oczekiwania.

Trzy zęby neandertalczyka to taka sensacja?

– W Polsce do tej pory znajdowaliśmy jedynie ślady działalności neandertalczyków. Nie było jednak szczątków ich samych nigdzie na obszarze między zachodnimi

Niemcami a Ukazem i na północ od Karpat. W innych częściach Europy w jaskiniach znajdowano kości *Homo sapiens neanderthalensis*. A tutaj nic. Jaskinia Stajnia jest wyjątkiem i nadal nie wiemy dlaczego. Czy szczątki są elementem pochówku? Czy też zęby trafiły tam przez przypadek? **Może to zwierzęta przywlekły je do jaskini?**

– To niemożliwe. Pamiętajmy,



że neandertalczycy byli górą nawet w starciu z największymi zwierzętami epoki lodowcowej. Poza tym każdy z tych trzech zębów należał do innej osoby. Wśród nich na pewno było i dziecko, i mniej więcej 20-letni mężczyzna, co potwierdziło badanie DNA. Liczymy, że znajdziemy więcej kości i rozwiążemy tę zagadkę. **Dużo można wyczytać z trzech zębów?** – Wiele. Już dziś wiemy na przykład, że w paleolicie w użyciu były wykałaczki. **A czy od razu było wiadomo, że to kości neandertalczyków, a nie zwierząt albo ludzi prehistorycznych?** – Musieliśmy to oczywiście potwierdzić, ale w badanej warstwie znajdowały

współczesnych Europejczyków. Gdyby próbować określić stopień pokrewieństwa *Homo sapiens* i neandertalczyka, chyba najlepszym stwierdzeniem byłoby – stryjeczni bracia. Przed 600 tysiącami lat mieliśmy bowiem wspólnego dziadka, prehistorycznego Afrykanina (*Homo erectus*). Ale drogi naszych ojców się rozeszły. Jeden przez pewien czas został w ciepłej Afryce, drugi ruszył na spotkanie przygody i stad tłustych mamutów do Europy. Potem nagle ci z Afryki też zaczęli wędrować i tak sto tysięcy lat temu natknęli się na neandertalczyków. Było to najpewniej gdzieś na Bliskim Wschodzie. Jak widać, ten region od dawna skazany jest na konflikty. Bo że do takich dochodziło, nie ma wątpliwości. Spotkanie nie wyszło neandertalczykowi na dobre. Jeszcze z 10 tysięcy lat mieszkał u boku swego kuzyna (i wtedy właśnie – jak twierdzą sceptycy – ścigał od niego rozmaite zwyczaje, w tym sztukę), po czym niespodziewanie słuch po nim w Europie zaginął.

Odcinek czwarty: zagłada

Czy doszło do krwawej tragedii? Kainowej zbrodni? Źródła milczą. Jedyne, co nam pozostało, to kopalne ślady i dywagacje. Możliwych scenariuszy jest kilka, w tym przynajmniej jeden romantyczny.

Po pierwsze, neandertalczyków było niewiele. Może nieco ponad kilkadziesiąt tysięcy. Czasy były trudne. Zdobycie jedzenia i schronienia wymagało wysiłku. Aż tu nagle na europejski kontynent wpada ewolucyjny fafarza: rzutki, mądry, rozgadany, przekonany o własnej niesamowitości i lepiej rzucający oszczepem. Wszędzie go pełno. Wybija tygrysy szablozębe jak swoje i do tego przywleka choroby. Mniejsza różnorodność genetyczna neandertali oznaczała zaś gorszą odporność na infekcje (zwłaszcza nowe) i niezdolność do adaptacji w zmieniających się warunkach. Neandertalczyk krócej żył, jego dzieci były mniej odporne i więcej ich umierało. Zginął.

się tylko narzędzia z krzemienia i kości zwierząt (resztki po polowaniu i kłaczki) sprzed 80–100 tysięcy lat, czyli epoki neandertalczyków. Znaleźliśmy też składowisko krzemienia na zapas. Neandertalczycy musieli wielokrotnie wracać do tej jaskini.

Dlaczego tak im przypadła do gustu?

– To miejsce dobrze nasłonecznione, dające schronienie przed deszczem. Przy tym przewiewne, bez wilgoci. I ze świetnym widokiem.

Neandertalczycy kontem-plowali przyrodę?

– Raczej obserwowali mamuty albo nosorożce, by wybrać odpowiedni moment na polowanie.

not. Urszula Dąbrowska



Doktor Mikołaj Urbanowski z Zakładu Archeologii Uniwersytetu Szczecińskiego, szef grupy badawczej, która w 2008 roku znalazła w Jurze Krakowskiej – Częstochowskiej pierwsze na terenie Polski kości neandertalczyków. Przełomowe odkrycie ogłoszono na początku 2010 roku

FOT. SPL/EAST NEWS, JAVIER TRUEBA/SPL/EAST NEWS, MAREK SZCZEPAŃSKI, MAREK BARCZYŃSKI/SE/EAST NEWS, DAREK GOLIK/FOTORZEP, PAWEŁ SOCHA

Scenariusz drugi: tuż po opanowaniu Europy przez *Homo sapiens* zaczęło się coś, co uczenie nazywa się rewolucją górnego paleolitu. Człowiek rozumny staje się jeszcze rozumniejszy. Wymyśla coraz bardziej wyrafinowaną sztukę, coraz bardziej uduchowioną religię. Wytwarza skomplikowane narzędzia. Proces przekazu kulturowego przyspiesza. I choć neandertalczyk potrafi już zachowywać się kulturalnie, nie nadąza. Zostaje na drugi rok w ewolucyjnej klasie, aż w końcu wyrzucają go ze szkoły jako nierokującego nadziei. Ginie bez wieści, staczając się w biologiczny niebyt.

I na koniec scenariusz trzeci – dla idealistów. Któregoś lata, gdy mróz nieco odpuścił i można było spod skór pokazać trochę ciała, pewien *Homo sapiens* i pewna *Homo sapiens neanderthalensis* zakochują się w sobie. Mają dzieci, żyją długo i szczęśliwie. Ich kuzyni, widząc, że to nie megalians, idą w ich ślady. Po pewnym czasie geny nielicznych w końcu neandertalczyków – być może wcale nie takie różne od naszych – „rozpluwają się” w ludzkich. Tak przynajmniej chcieliby to widzieć ci antropolodzy, dla których neandertalczyk nie jest innym gatunkiem człowieka, lecz zaledwie jego „rasą”. Gdzie leży prawda?

Epilog

Być może odpowiedź przyniosą nam już niedługo badania paleogenetyków. Pracują oni bowiem nad odtworzeniem genomu neandertalczyka. Pierwszy etap, podczas którego opisano blisko 60 procent DNA człowieka neandertalskiego, zakończył się w lutym 2009 roku. Jego wyniki ogłosił profesor Svante Pääbo z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej imienia Maksa Plancka w Lipsku. Jak dotąd jego zespół nie znalazł dowodów na krzyżowanie się obu gatunków człowieka. *Homo sapiens* prawdopodobnie więc nie „pochłoniął” neandertalczyka, lecz bezczelnie go wyparł. No cóż, poczekajmy. Poważne trudności wiążą się na razie z pozyskiwaniem DNA naszych prabraci. Trudno je wyekstrahować ze szczątków, bo w większości uległo zanieczyszczeniu lub degradacji. Są także naukowcy, jak choćby Alan Templeton z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, którzy, badając DNA współczesnych ludzi, nie mają wątpliwości, że się mieszaaliśmy.

Wobec tych kłopotów i sporych kosztów metody genetycznej tym większą radość sprawiają odkrycia paleolityczne. Takie jak choćby to ostatnie z Polski. Naukowcy z uniwersytetów Szczecińskiego i Wrocławskiego odnaleźli pierwsze na terenach naszego kraju biologiczne ślady neandertala. To ewenement – do tej pory bowiem uważano, że *Homo sapiens neanderthalensis* nie zapuszczał się zbyt daleko na tę stronę Karpat. Bo i po co? Wyobraźcie sobie zimę taką jak teraz, bez widoków na koniec. Wszędzie białe. Zimno. Ziemia skuta lodem. Żadnych atrakcji.

Komu by się chciało snuć w takim krajobrazie? A tu proszę! Okazuje się, że byli! Siedzieli, jedli, ogień palili. Wyraźnie zabawili na dłużej. A skoro wciąż mogą nas zaskakiwać, to może – kto wie? – dowieemy się kiedyś, że w każdym z nas drzemie odrobina neandertalczyka?

To by dopiero było zakończenie tej historii! Suspens godny mistrza kryminału. A jak wiemy z lektury tych ostatnich, najciemniej bywa pod latarnią. Może więc nie porzucamy rozwiązania, które na pierwszy rzut oka wydało nam się najbardziej nieprawdopodobne, i... poszukajmy swych braci w sobie.

Konsultacja naukowa: doktor Katarzyna Kaszycka z Instytutu Ekologii Populacyjnej Człowieka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

KLASKANIE W MROKU,

CZYLI JAK NIEZWYKŁE ROZTARGNIENIE JĘZYKOWE MOŻE PRZYWIEŚĆ DO SŁAWY



Olga Woźniak

Wujek chłodek, tenis w porcie, aś banalny, korba w troku... Ile razy zabawialiście się grą półsłówki? Może czas wreszcie poznać ojca chrzestnego tej zabawy i prawdziwego jej mistrza Williama Archibalda Spoonera.

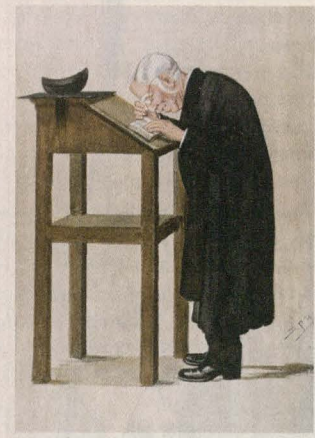
Nie można powiedzieć, że by był żądny sławy czy zaszczytów. Wręcz przeciwnie, był to człowiek niezwykle skromności, gościnności i grzeczności, a niezależna od jego woli skłonność do zabawnych przejęczyń była dla niego powodem prawdziwego utrapienia. Nie lubił związanego z tym rozgłosu, jakim cieszył się wśród studentów i kolegów profesorów. Co jednak zrobić, kiedy angielski uczony (a przy okazji anglikański pastor) był niesłychanie roztargnionym człowiekiem.

William Spooner wykladał na Oksfordzie historię starożytną, filozofię i teologię. Dziś, 80 lat po śmierci profesora, jego życiorys obrósł taką legendą, że trudno oddzielić apokryfy od faktów. Jedno jest pewne: nie bez powodu przejęczyenia polegające na zamianie miejscami głosek w wyrazie lub początkowych głosek w grupie wyrazów językoznawcy nazywają spuneryzmami.

Sala w czasie wykładów Spoonera zawsze była pełna – ba! Przybywali tam nawet wagarowicze, bo każdy z nich li czył, że to właśnie on usłyszy od nauczyciela uwagę: *You hissed my mystery lecture* (pan wygwizdał mój sekretny wykład), co oczywiście należało odebrać jako: *You missed my history lecture* (pan opuścił mój wykład z historii). Słuchacze przyciągani rosnącą sławą wykładowcy oczekiwali smakowitości choćby na miarę słynnego toastu, który wznosząc na jednym z uniwersyteckich przyjęć, duchowny tak oto poplątał, mówiąc: *Let us toast to the queer old dean* (wznieśmy toast za dziekana, starego pedała), choć w poprawnie powinno to brzmieć: *Let us*

toast to the dear old queen (napijmy się za dobrą królową). Co gorsza, roztargnienie Spoonera nie ograniczało się wcale do języka. Było nie tylko przyczyną towarzyskich gaf, ale też utrudniało mu codzienne funkcjonowanie. Przykładem niech tu będzie sytuacja, w której duchowny cały dzień szukał kiedyś restauracji Dulhama w Greenwich, gdzie – jak był przekonany – umówił się ze znajomym. Poszukiwania nie mogły przynieść rezultatu, skoro miejscem spotkania okazał się bar u Greenhama w Dulwich.

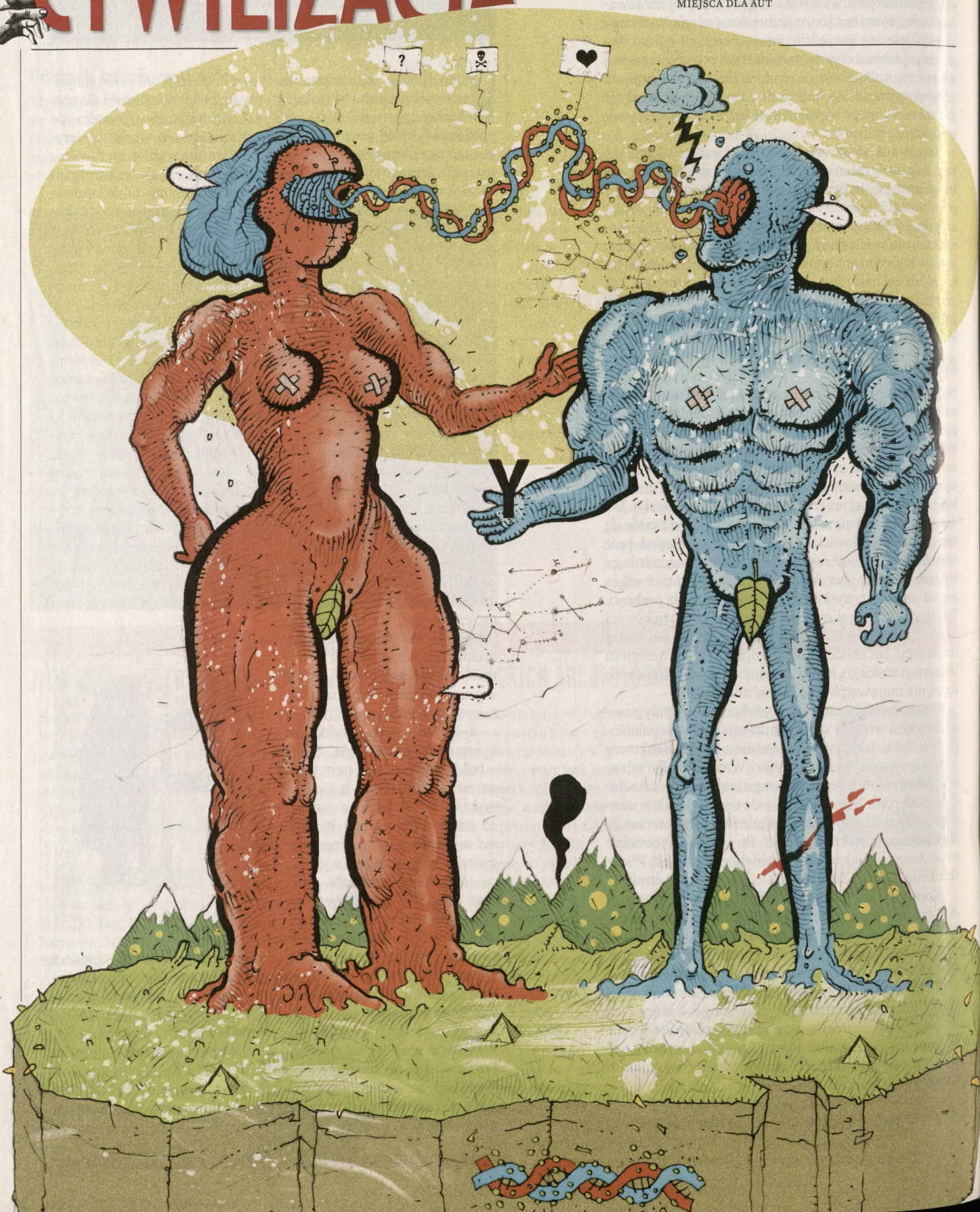
Nawet wygląd miał ojciec William niezwyklejny – był albinosem, niskim człowieczkiem o słabym wzroku i za dużej głowie. Miał za to wielkie serce. Z czasem pogodził się z tłumami na wykładach, z łagodną rezygnacją stwierdzając za każdym razem: „Wiem, że nie przyszedli państwo posłuchać opowieści o Arystotelesie, ale jesteście tu, by usłyszeć te... rzeczy, które mi się przytrafiają”. W pewnym



momencie wielbny Spooner przestał nawet dementować przypisywane mu słowne lapsusy. Swoje i nie swoje – wszystkie firmował własnym nazwiskiem.

Na pamiątkę tego człowieka jedną z sal w New College na Oksfordzie nazwano The Rooner Spoom (zamiast The Spooner Room).

W tym tygodniu:
ZASTANAWIAMY SIĘ, CO WSPÓLNEGO MA
OBRZĘZANIE Z MAŁĄ ŻUCHWĄ, I ZACHWYCAMY SIĘ
KOMUNIKACJĄ PRZYSZŁOŚCI, W KTÓREJ NIE MA
MIEJSCA DLA AUT



KULTURA I GENY TEKST PIOTR KOSSOBUDZKI, ILUSTRACJA VICTOR SOMA

Zachowuj się, ewolucja patrzy!

Mili państwo, czas wziąć losy ludzkości w swoje ręce. Okazuje się, że nasze zachowania wpływają na ewolucję człowieka. I mogą zostać zapisane w genach

OTO PIERWSZY BOHATER TEJ HISTORII. Choć jego imię nie brzmi tak, by od razu zapadło w pamięć, nie sposób go pominąć. To gen LCT. Pomyśl o nim ciepło za każdym razem, gdy będziesz nalewać sobie mleka do płatków śniadaniowych, kawy czy kakao. Właśnie dzięki niemu mleczna przyjemność nie skończy się dla ciebie rozstrojem żołądka. Jeśli oczywiście masz odpowiednią mutację tego genu. Ale nie martw się: jeżeli jesteś Europejczykiem, masz na to dużą szansę.

W ciągu ostatnich siedmiu-ośmiu tysięcy lat doszło bowiem do lawinowego upowszechnienia się takiej odmiany genu LCT, która dorosłym pozwoliła trawić cukier mleczny – laktozę. Wcześniej zdolność tę posiadały tylko dzieci, bo u starszych enzym, który to umożliwia, nie był wytwarzany. Sytuacja zmieniła się około 10 tysięcy lat temu, kiedy człowiek udomowił bydło i owce, a do naszej diety weszło ich mleko. Ci nieliczni, którzy mieli mutację w genie LCT i trawili laktozę przez całe życie, wygrali los na ewolucyjnej loterii – zyskali stały dostęp do cennego źródła białka, energii oraz witamin. Z czasem mutacja rozpowszechniła się i dziś ma ją w genach 90 procent Europejczyków.

To chyba najbardziej przekonujący dowód na to, że w naszym DNA zachodzą procesy, które są reakcją genów na wytwory cywilizacji i kultury. Czyli na czynniki, które zależą niemal wyłącznie od nas samych (bo rozpoczęcie hodowli bydła i picia jego mleka to nasz wybór, a nie zjawisko w rodzaju epoki lodowcowej czy powstania nowego wirusa). Wygląda na to, że w pewnym stopniu człowiek może sterować swo-

ją własną ewolucją. Fajnie, nie?

Obrzezanie kontra HIV

Przez lata uważano, że nasz gatunek zatrzymał się w rozwoju. Nauczyliśmy się leczyć choroby i rozwinęliśmy rolnictwo, więc geny zapewniające ciało zdrowie i odporność na głód przestały mieć znaczenie. Dzięki technice coraz rzadziej musimy się obawiać na przykład zimna czy suszy. Selekcja naturalna przestała na nas działać – i po ewolucji.

Ale to nieprawda. W ostatnim czasie odkryto przynajmniej kilkadziesiąt genów człowieka, które intensywnie się zmieniają. Widać to w skali nawet kilku tysięcy lat, więc jak na ewolucję – w piekielnie krótkim czasie.

Wróćmy do udomowienia zwierząt, które niestety naraziło też człowieka na choroby odzwierzęce. Ryzyko zakażeń dodatkowo zwiększyło życie człowieka w coraz większych skupiskach, we wsiach i w miastach. Nic więc dziwnego, że odpowiedzią na osiadły tryb życia był spory ruch w genach układu odpornościowego. Ci, którzy mieli duże stada zwierząt, a jednocześnie załapali się na geny pomagające skutecznie zwalczać choroby, byli o krok do przodu. I to ich geny z większym prawdopodobieństwem były przekazywane kolejnym pokoleniom.

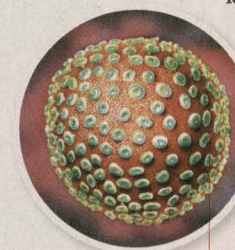
Przejście od łowiectwa i zbieractwa do rolnictwa również nie przeszło bez śladu w naszym DNA. W populacji częściej zaczęły występować wersje genów pozwalające trawić skrobię, podstawową substancję energetyczną zbóż. Do tego zaczęliśmy gotować i piec jedzenie. To osiągnięcie sprawiło, że osobnicy pozbawieni ge-

nu MYH16 przeżyli, zamiast szybko wyginać. Czemu? Bo brak MYH16 oznaczał dramatyczne zmniejszenie mięśni żuchwy. Dla każdego zwierzęcia byłaby to ewolucyjna katastrofa. Ale człowiek już wtedy wykorzystywał w kuchni ogień i mógł sobie na taką mutację bimbać – jako jedyny w linii człowiekowatych. Co więcej, drobniejsze mięśnie żuchwy ułatwiały mówienie. Kombinacja obu tych czynników spowodowała, że *Homo sapiens* nie jest już posiadaczem genu MYH16. Wszystkie powyższe przykłady dowodzą, że kulturowe (niewymuszone przez środowisko) wzorce mogą odcisnąć piętno na kierunku rozwoju naszego gatunku.

Oprócz kilku dowodów pozostaje jeszcze mnóstwo związków między ewolucją a kulturą, których możemy się jedynie domyślać. Na świecie spotyka się już na przykład mutacje zapewniające nieco większą odporność na wirusa HIV. Ale udomowiono też, że skuteczne w tym zakresie jest... obrzezanie. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wręcz zaleca pozbawianie mężczyzn napletka jako jedną z metod zahamowania epidemii. Przy dłuższym okresie masowego zagrożenia wirusem obrzezanie mogłoby stać się czynnikiem zwiększającym przeżywalność mężczyzn. Czyli zwyczajem, który wynika wyłącznie z kultury, a który mógłby wywrzeć wpływ na ewolucję człowieka.

Kto jest sexy?

Podobne przypadki można mnożyć. Jesteśmy po prostu częścią procesów, które – choć nie mamy świadomości tego – wpłyną na naszych odległych potomków. Przykład? Ależ proszę: w świecie zwierząt szansę na rozród ma zazwyczaj samiec większy, silniejszy, ładniej ubarwiony lub obdarzony lepszym głosem, czasem wyposażony w absurdalne wręcz ozdoby utrudniające mu poruszanie się (jak gigantyczny ogon pawia czy poroże jelenia). →



→ Ale jego właściciel udowadnia w ten sposób, że geny ma na tyle dobre, iż nawet z takim balastem udaje mu się przeżyć. A co z człowiekiem? Jacy mężczyźni podobają się kobietom?

Do niedawna wszystko wydawało się układać, jak należy. Wzięciem cieszyli się siłacze, wojownicy i ci, którzy mieli władzę. Ewolucja promowałaby więc u mężczyzn z grubsza te same cechy co u samców zwierząt. Jednak naukowcy postanowili sprawdzić, czy oprócz walorów biologicznych istotnej roli w doborze w pary nie odgrywają też czynniki kulturowe.

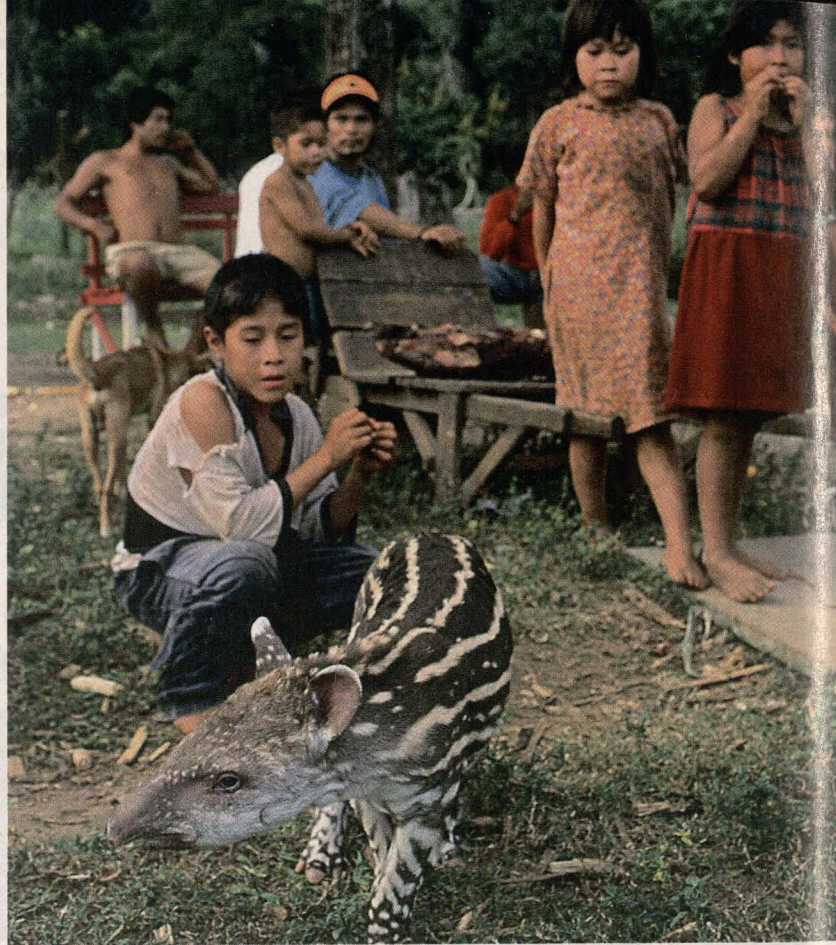
Psycholodzy przeprowadzili dość prosty eksperyment. Kobietom pokazywano zdjęcia mężczyzn i proszono je o ocenę atrakcyjności panów. Uwaga: mężczyźni nie różnili się wyłącznie typem urody. Każdemu towarzyszyły na fotografii kobiety, które albo się uśmiechały i okazywały mężczyźnie zainteresowanie, albo wiało od nich chłodem.

Okazało się, że uczestniczkom eksperymentu najbardziej spodobał się ci, który... podobali się innym kobietom. Pal diabli urodę – najważniejsze, czy kandydat intrygował inne. Manipulując zestawami pokazywanych zdjęć, wykazano, że w różnych grupach etnicznych i społecznych przemożną rolę odgrywa wpływ bliźnich. Co to oznacza?

W czasach przedtelewizyjnych zbiorowe uwielbienie mogło otaczać na przykład myśliwego z danej wioski, a później miejscowego władcę albo barda. W skali świata mielibyśmy więc najróżniejsze typy idealnych partnerów w zależności od lokalnych upodobań. Mężczyźni o podobnym wyglądzie i zachowaniu mieliby większą łatwość hm... przekazywania swoich genów następnym pokoleniom. Jednak w dobie globalnego kreowania gustów i idoli można sobie wyobrazić, że kobiety masowo dołączają do grona fanek jednego aktora albo piosenkarza. I wszystkim nagle zaczyna się podobać na przykład wychudzony emo z czarnymi włosami i pesymistycznym światopoglądem. Albo niedogolony, mocno zbudowany blondyn. Jeśli tylko taka moda potrwałaby wystarczająco długo, geny odpowiadające za pożądane cechy mogłyby się rozprzestrzenić w populacji. W pewnym momencie zdominowałyby pozostałe i ukształtowały nowy typ wyglądu i zachowania mężczyzny. Na szczęście mody zmieniają się tak szybko, że ewolucja działająca w skali dziesiątek pokoleń nie zdąży ich nawet odnotować.

Igrek trzyma się mocno

Jednak coś na mężczyzn wpływa, coś ich zmienia. I wygląda na to, że to... seks. Najlepiej dowodzi tego historia męskiego chromosomu Y. Długo uważano, że nie ulega on już żadnym zmianom, co najwyżej



Paragwajscy Indianie Ache wierzą, że **dziecko może mieć kilku ojców**. I to biologicznie!

degeneruje, tracąc działające geny. Snu-to nawet wizję, że w przyszłości będziemy się obchodzić bez „igrek”. Tymczasem w ubiegłym miesiącu na łamach tygodnika „Nature” opublikowano porównanie fragmentu chromosomu Y człowieka i szympansa. Fragmentu, w którym zebrane są geny odpowiedzialne za płęć męską.

Naukowcy nie mogli otrząsnąć się z szoku. Nasze gatunki rozdzieliły się prawie sześć milionów lat temu i po takim czasie niezależnej ewolucji różnica między całym DNA człowieka i szympansa nie przekracza jednego procentu. Tymczasem w badanym fragmencie chromosomu Y różnica była 30 razy większa! Tyle dzieli człowieka od kury, z którą ewolucyjne ścieżki rozeszły się nam 310 milionów lat temu. To znaczy, że przez ostatnie kilka milionów lat chromosom Y podlegał niezwykle intensywnym zmianom. Genetycy stwierdzili, że od czasów naszego ostatniego wspólnego przodka „igrek” człowieka zdobył kilka nowych genów, a u małego krewniaka stracił.

Ekspertki tłumaczą to między innymi różnicami w obyczajach rozrodczych obu gatunków. W przypadku szympanсів wiele samców wielokrotnie kopuluje z jedną samicą w okresie płodnym. Kluczową

sprawą dla tego, kto zostanie ojcem i przekaże geny, jest ilość wytwarzanej spermy. Najwyraźniej sprzyja temu mniejsza liczba genów na chromosomie płciowym samców. Podejście do seksu samców człowieka jest nieco odmienne (a może raczej podejście ludzkich samic preferujących monogamicznych partnerów), stąd ewolucja ludzkiego chromosomu Y podąża w innym kierunku.

Płód wzmacniany nasieniem

Jak ukształtowałyby się nasze geny, gdybyśmy przy budowaniu rodziny podążyli drogą szympanсів? Okazuje się, że wcale nie jest to takie niemożliwe. Wystarczy przyrzeć się niezwykłym zwyczajom niektórych ludzkich plemion.

Większość białych ludzi z zachodniego świata uważa pewnie, że do ciąży i urodzenia dziecka potrzeba dwojga rodziców. Oczywiście w prawdziwym życiu relacje dzieci-rodzice komplikują rozstania par, adopcje, zapłodnienie in vitro, samotne rodzicielstwo, surrogatki i tak dalej. Ale co do biologicznych rodziców, to sprawa wydaje się nam jasna. Tyle że równanie „dziecko = 1 matka + 1 ojciec” nie na całym świecie uważa się za prawdziwe.

Wśród kilku plemion z Ameryki Południowej panuje przekonanie, że matka jest wprawdzie jedna, ale ojców (i to tych biologicznych) może być kilku. Prawdopodobnie po raz pierwszy zetknęli się

z tym antropologami badającymi wenezuelskie plemię Bari. Ci żyjący na nizinach Indianie utrzymują, że ojcem jest ten, kto w okresie płodnym i podczas ciąży uprawia seks z matką dziecka. Ale jeżeli ciąża ma jednocześnie kilku partnerów, będą oni dodatkowymi ojcami noworodka. I to oficjalnie, za zgodą męża. Dlaczego? Bo wedle obowiązującej wśród Bari koncepcji rozwijający się płód wymaga do rozwoju okresowego wzmacniania męskim nasieniem. I czasami wygodniej jest, by zadbało o to kilku mężczyzn.

Podobnie traktuje ciążę nie tylko kilkanaście plemion południowoamerykańskich (między innymi brazylijscy Canela czy Ache ze wschodniego Paragwaju), ale także niektóre ludy Azji. Ta strategia przynosi zresztą spore korzyści wszystkim zainteresowanym.

Koniec bójek o kobiety

Wieloletnie obserwacje profesora Stephena Beckermana z Pennsylvania State University wskazują, że wśród mężczyzn Bari właściwie nie występuje zazdrość o partnerki. Dzięki temu spada liczba konfliktów, a to z kolei wydłuża życie. Do czego prowadzą bójkę o kobiety, można poczytać w mitologii greckiej. Gdyby Menelaos, Parys i Helena pochodzili z plemienia Bari, ładnych parę tysięcy ludzi żyłoby długo i szczęśliwie.

Wracając do Wenezueli: oprócz mniejszej liczby sporów mężczyzn w tym ciekawym układzie zyskują też lepsze zabezpieczenie dla potomstwa. Jeśli bowiem coś stanie się pierwszemu ojcu, opiekę nad dziećmi (i matką) przejmuje jeden z ojców dodatkowych. Kobiety również dobrze na tym wychodzą – dodatkowi partnerzy przynoszą jedzenie. A i dzieci korzystają na zwielokrotnionym ojcostwie. Badania wykazały, że te urodzone w związku z wieloma mężczyznami mają o 16 procent większą szansę dożycia 15. urodzin. W przypadku Bari tłumaczy się to lepszym odżywianiem ciężarnych, a później matek i dzieci. U Ache – mniejszym ryzykiem agresji ojców wobec potomstwa. Notabene wedle statystyk optymalna liczba ojców wynosi dwa.

Opisywane wyżej plemiona są pod względem środowiska życia, języka i demografii niemal identyczne ze swo-

Jest coś, co na mężczyzn wpływa, coś, co ich zmienia. I wygląda na to, że to... seks

imi sąsiadami kulturowymi obyczaj posiadania jednego ojca. Koncepcja wieloojcostwa przechodzi więc z pokolenia na pokolenie wyłącznie ze względów kulturowych. Ale – jak widać – może mieć wpływ na liczbę przeżywającego potomstwa. A to przecież podstawowy wskaźnik ewolucyjnego sukcesu każdego gatunku. Nie byłoby zatem wcale dziwne, gdyby u Bari, Ache i innych plemion zaczęły się rozpowszechniać i utrwały geny ułatwiające dzielenie się ojcostwem, na przykład łagodzące agresję i wspomagające budowanie więzi społecznych.

Coraz więcej argumentów przemawiających za udziałem czynników kulturowych i cywilizacyjnych w naszej ewolucji zmienia perspektywę naukowców. Nie tylko przestają oni mówić o zastojach ewolucyjnym człowieka, ale także dopuszczają do tego procesu jeszcze jednego ważnego gracza. Tak powstała teoria koewolucji genetyczno-kulturowej, według której na kształt gatunku wpływa zarówno to, co dziedziczymy w DNA, jak i to, co przekazujemy jako zwyczaje, wierzenia i zdobycze cywilizacji.

Geny kultury? Właściwie czemu nie? □



Kawiarnia Naukowa PRZEKRÓJ NAUKI

ZAPRASZA NA DYSKUSJĘ

„ZNAJDŹ W SOBIE PRZODKA, CZYLI PRAPOCZĄTKI ŻYCIA”

Nie zachowały się żadne skamieniałości, dzięki którym moglibyśmy zobaczyć, jak wyglądały pierwsze żywe komórki. Jednak w DNA żyjących dziś organizmów można znaleźć ślady historii ewolucji od najdawniejszych czasów. Badając to, jak zorganizowane są współczesne komórki, możemy sobie wyobrazić, jak funkcjonowali ich najdawniejsi przodkowie w epoce zwanej światem RNA.

Spotkanie Kawiarni Naukowej
15 lutego 2010 r. o godz. 18
Skwer – Filia Centrum Artystycznego
„Fabryka Trzciny”,
ul. Krakowskie Przedmieście 60a



Gościem będzie dr Paweł Golik
z Instytutu Genetyki
i Biotechnologii Wydziału Biologii UW

Wstęp wolny

Transmisja na żywo w **lookr.tv**



W muzeum techniki
stoją najstarsze
inteligentne wagoniki.
Te pochodzą z 2010 roku
– pierwsza bezkolizyjna linia
ruszyła wtedy w Londynie

FUTURYSTYKA IGOR RYCIĄK

Auta stop

Rok 2110 ogłoszono Świętem Wagonika. To nie do wiary, ale zaledwie sto lat temu rozpoczęto usuwanie aut z miast. Dziś nie wiemy, co to korki. W 2010 roku była to przerażająca codzienność*

Lyk kawy, przelotne spojrzenie w okno. Widok z 30. piętra apartamentowca może oszołomić, lecz nie wtedy, kiedy za późno się wstało i na dotarcie do pracy jest 18 minut. Ale nie ma tragedii. Powinien zdążyć. To przecież tylko 16 kilometrów.

Metropolia jak kopiec mrówek

Zamówienie na przejazd wysłał między parzeniem kawy a założeniem koszuli. Kilka kliknięć: „Jestem przy Czwartej na poziomie piątym. O 9.00 chcę być w siedzibie Globalnego Zarządu Surowcami Poziemskimi”. System odpowiada w ułamku sekundy: „Kabina będzie czekać na wybranej rampie od 8.42 do 8.44. Prosimy o punktualność”.

Windą na parter. Kilkanaście metrów chodnikiem. Na przystanku (rampa to oficjalna nazwa, ale kto by używał oficjalnych nazw) stały już cztery wagoniki. Jeden dla

niego, pozostałe dla sąsiadów. Ten nijał w szarym znoszonym garniturze i z ziemią pod paznokciami jedzie na południowe przedmieścia, gdzie pracuje w centrum ogrodniczym. Chudzielec nazywany Bociem ruszy na zachód do swojej księgarni (nieliczni wciąż wolą archaiczny papier niż poręcznego e-booka). Sąsiadka w wieku nieokreślonym, bo zakonserwowanym wysokimi odsetkami z lokat, zmierza do centrum – jak zwykle na zakupy.

W każdym wagoniku umieszczono ekran wyświetlający hasło, które nadał pasażer, zlecając przejazd. Nijaki wsiadł do „BeingThere”, księgarz rozpoznał swe pośpieszne „F451”, borykająca się z shopoholizmem i dysleksją sąsiadka, polykając litery, wpisała: „Sandtheciti”. Jego wagon podjechał ostatni. Dwa symetryczne okna z przyciemnianego pleksi wyglądają jak oczy owada, biała obudowa kabiny jak głowa, a reflektory na dachu jak czułki. Dlatego jego hasło zawsze brzmiało „Mrówka”.

Napędzany elektrycznym silnikiem wagon wykonano z twardego plastiku odpornego na wszelkie przejawy inwencji wandal. Zero tapicerki, nie do wyszarpania lub oderwania. Tylko dwa siedzenia z profilowanego plastiku i masywny uchwyt, na którym można się wesprzeć przy wsiadaniu.

Ruchem steruje centralny komputer miejski (CKS) – by krążące wagoniki nie wpadły na siebie, by sprawnie mijaly się na skrzyżowaniach. Już kilkadziesiąt lat temu torowiska ze sztucznych tworzyw wpisały się w miejski krajobraz. Oplatają główne arterie i wąskie uliczki.

W mroźny poranek 8 lutego 2110 roku oglądane z lotu ptaka miasto wygląda jak mrowisko. Tysiące samobieżnych kabin bezustannie krążą po tysiącach kilometrów torów. Nie stoją na światłach, ruch jest bezkolizyjny. W 11 minut można dostać się do centrum nawet z odległych przedmieść. Szybko, wygodnie, cicho i bez spalin. Sto lat temu – nie do pomyślenia.

Pionierska kolejka

– Autobusy, tramwaje czy metro nie będą alternatywą dla samochodów w miastach – mówił „Przekroju” w lutym 2010 roku Jerzy Pomianowski z Instytutu Transportu Samochodowego oraz prezes fundacji Zapobieganie Wypadkom Drogowym. – Przecież wielkie aglomeracje to tysiące firm, których podstawą działalności jest mobilność pracowników. A tę zapewniają wyłącznie samochody.

Pasy ruchu przeznaczone dla aut zajmowały wtedy od 15 do 17 procent powierzchni europejskich aglomeracji. Za oceanem – w Detroit, Chicago i Los Angeles – ponad 50 procent. Korki jednak nie zniknęły. – Bo samochody to przecież nieefektywne środki transportu. Osoba jadąca autem zajmuje kilkadziesiąt metrów przestrzeni publicznej. Zamiana silników lub paliwa na ekologiczne to oczywiście mniejsza emisja spalin, ale problemu korków nie rozwiąże – wyjaśniał Marcin Harembiński, koordynator Biura Zrównoważonego Transportu przy Polskim Klubie Ekologicznym.

– Samochody można zastąpić jedynie pojazdami o podobnej mobilności – dodawał Jerzy Pomianowski. Czyli takimi, które kursowałyby nie tylko od stacji do stacji, ale i pod konkretny adres.

Pierwszy krok w stronę spełniającej te warunki kolejki postawił w czerwcu 2010 roku Londyn (to dlatego w 2110 roku obchodzimy Święto Wagonika). Uruchomiony wtedy Personal Rapid Transport System – Osobisty Szybki System Transportowy – liczył niecałe cztery kilometry. Bezzałogowe kabiny krążyły między nowym terminalem lotniska Heathrow a parkingiem. Budowa pionierskiej kolejki kosztowała samorząd 25 milionów funtów, czyli ponad 6,5 miliona za kilometr. Za tyle samo budowano wówczas jeden kilometr autostrady o nieporównywalnie większej przepustowości.

A jednak jeszcze przed uruchomieniem londyńskiej kolejki wykonawcę, brytyjską firmę Advanced Transport Systems, zasypały zamówienia.

Wszystkie informacje dotyczące roku 2010 są zgodne z faktami lub odnoszą się do konkretnych zapowiedzi. Opisana przyszłość jest wysoce prawdopodobna. Jedno wątpliwości nie ulega: w 2110 roku „Przekrój” będzie obchodził 165-lecie

Autobusy, tramwaje czy metro nie będą alternatywą dla samochodów, bo nie są dostatecznie mobilne



Jazda osobistą
kolejką
jest zbyt
spokojna.
W korku nasi
przodkowie
mogli
przynajmniej
przetrwać

Na początku 2010 roku do budowy szykowały się amerykańskie miasta San José, Santa Cruz i Alameda. Trwały rozmowy z władzami kilku państw arabskich, a także z prywatnymi inwestorami. Na przykład ze współzałożycielem wpływowej wtedy korporacji Google działającej na rynku Internetu (poprzednik naszego totalnetu). Larry Page dziwną fascynację transportem tłumaczył wtedy traumą z dzieciństwa – z ojcem profesorem mieszkał w kampusie Uniwersytetu Michigan i nie znosił widoku samochodów i autobusów zablokowanych w kilometrowych, ciągnących się aż do centrum korkach.

Na 2018 rok Page zaplanował budowę pierwszej dużej, inteligentnej sieci automatycznych wagoników. Najpierw liczące 70 tysięcy mieszkańców Mountain View, nieformalną stolicę Doliny Krzemowej, opleciono prawie 14 kilometra-

mi torowisk z 24 rampami. W 2024 roku system wydłużono do 24 kilometrów i 40 przystanków.

Dziś wjazd samochodów zakazany jest w największych miastach Stanów Zjednoczonych Obu Ameryk, Zjednoczonego Imperium Europejskiego oraz Sojuszu Azjatyckiego ze stolicą w Pekinie. Swoje kolejki ma też 1341 mniejszych miast i aglomeracji na całym świecie. Tradycjonalistyczny ruch ProCar zszedł do podziemia, a jego zwolennicy każdego roku w Dzień Świętego Krzysztofa palą opony z tęsknoty za korkami.

Wysiadka

„Koniec trasy, proszę wysiąść” – zabrzmiał wygenerowany przez komputer kobiecy głos. Wstał, drzwi się rozsunęły i natychmiast zasunęły za jego plecami. Kabina z cichym szumem gumowanych kół ruszyła po następnego pasażera. □

Zawieszone nad dachami

Oblicze wielkich miast zmieniło się dzięki wysiłkom naukowców. Niestety, starania niektórych idą na marne, bo ich pomysły są zbyt drogie lub niebezpieczne

NA POCZĄTKU XXI WIEKU amerykańska agencja kosmiczna NASA stworzyła koncepcję SkyTrain, która z grubsza przypomina górskie kolejki gondolowe. System budowany byłby ponad dachami miasta, a gondole poruszałyby się po przewodach,

które wytwarzałyby silne pole magnetyczne, dzięki czemu na częściach nośnych nie wystąpiłoby tarcie. System magnetyczny opatentowano już w roku 1990, ale koszty takiej budowy okazały się bardzo wysokie – przekraczały sześć

milionów dolarów za kilometr. Inne pomysły nie wyszły poza fazę testów. Tak było z poduszkowcami i małymi pojazdami lotniczymi lub z latającymi plecakami – są zbyt dużym zagrożeniem dla życia i zdrowia użytkowników.

KORZYSTAJ

BLOGI
E-MAILE
ZDJĘCIA
FILMY
KOMÓRKI

INTERNET PIOTR STANISŁAWSKI

Po prostu pisz

Jeśli chcesz pisać blog, ale jakoś nie możesz zacząć – pomożemy. Oto cztery cudownie proste sposoby

Blogi stały się tak ważnym elementem przepływu informacji i wymiany opinii, że drżą przed nimi nawet najpotężniejsi tego świata. Dowodem choćby kompletna blokada niemal wszystkich serwisów blogowych, jaka obowiązuje w Chinach.

Nie zawsze jednak naszym blogiem chcemy zmieniać świat – czasem potrzebujemy po prostu pochwalić się zupełnie nowym synem, na bieżąco relacjonować przebieg podróży po In-

diach lub poprowadzić internetowy pamiętnik.

W takich przypadkach rozbudowane systemy blogowe w rodzaju Bloggiera czy WordPressa bardziej szkodzą, niż pomagają – mnogość opcji przytłacza i zamiast na treści skupiamy się na detalach technicznych. Z kolei Twitter to za mało, by opowiedzieć jakąś historię.

Gdzieś pośrodku leżą serwisy mikroblogowe – tu możesz zacząć pisać w ciągu minuty i prowadzić swój blog latami.

WSZYSTKO NA LINII



Plurk.com to system najbliższy Twitterowi – długość jednego wpisu (zwanego plurkiem) to 140 znaków. Największą różnicą jest sposób przedstawiania naszych plurków, które układają się na poziomej osi czasu, co pozwala łatwo śledzić historię jednego użytkownika.

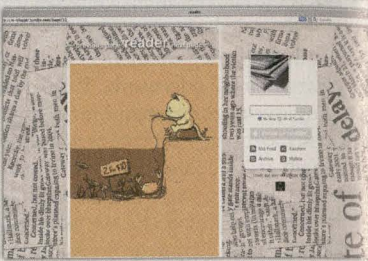
Komórkowa wersja Plurka dostępna jest przez przeglądarkę telefonu. Są też programy na iPhone'a, androida i blackberry.

Zaawansowane funkcje pozwalają dostosować wygląd swojej osi czasu i śledzić wpisy danego użytkownika.

WIELKIE MOŻLIWOŚCI

tumblr.

Tumblr.com daje niemal nieograniczone możliwości tworzenia blogów, jednocześnie zachowując doskonałą prostotę obsługi. Po krótkiej rejestracji możemy rzucać się w wir pisania, ale też wybierać spośród kilku gotowych projektów graficznych strony. To niewątpliwie najładniejszy z opisywanych serwisów. Jego wielką zaletą jest też prostota i szybkość dodawania nawet mocno rozbudowanych wpisów. Potężne narzędzie.

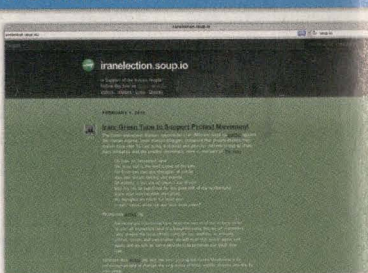


Silą Tumblra jest mobilność. Serwis ma własny program na iPhone'a i możliwość wysyłania rozbudowanych, multimedialnych wpisów e-mailem.

Dla wymagających dostępna jest integracja z Facebookiem i Twitterem, zaawansowane galerie zdjęć czy własny wygląd blogu.

soup.io

ZUPA Z OBRAZKAMI



Soup.io podobnie jak Tumblr pozwala prowadzić duże blogi, ale serwis ten wyróżnia się rozbudowanymi funkcjami ułatwiającymi tworzenie społeczności. Można tu zakładać grupy tematyczne (jest nawet grupa miłośników Marka Raczkowskiego) i współpracować ze znajomymi. Soup.io stawia w dużym stopniu na multimedia, upraszczając ich dodawanie do wpisów. Wadą jest niejasny interfejs i trudny dostęp do części funkcji.

Mobilnie „zupa” nie przedstawia się najlepiej. Brakuje specjalnych programów na komórki, jest możliwość wysyłania wpisów e-mailem.

Ciekawą funkcją jest Soup TV pokazująca materiały wideo wrzucone przez ciebie i twoich znajomych w formie ciągłego programu telewizyjnego.

ZACZNIJ Z BIEGU

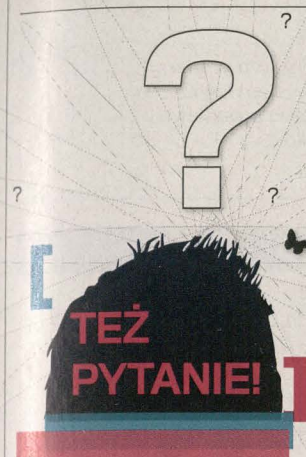
posterous



Posterous.com to serwis stworzony z myślą o przysyłaniu kolejnych wpisów e-mailem. Nie musisz tu zakładać żadnego konta – wystarczy wysłać pierwszą wiadomość na adres post@posterous.com, by automatycznie został utworzony blog. Kolejne listy wysyłane z twojego e-maila będą się pojawiały jako następne wpisy. Ten system to wymarzone miejsce na tworzenie blogu z podróży do miejsc, gdzie jest ograniczony dostęp do sieci.

Każdy telefon mogący wysyłać e-maile jest kompatybilny z Posterousem. Są jednak programy na iPhone'a i androida ułatwiające przygotowanie wpisów.

Automatycznie utworzony blog wygląda nieźle, ale można ręcznie zmodyfikować jego wygląd oraz spersonalizować adres.



TEŻ PYTANIE!
Zaskakujących pytań ciąg dalszy! Czekamy na więcej! Jeśli coś ciągle cię nurtuje, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

URSULA DĄBROWSKA

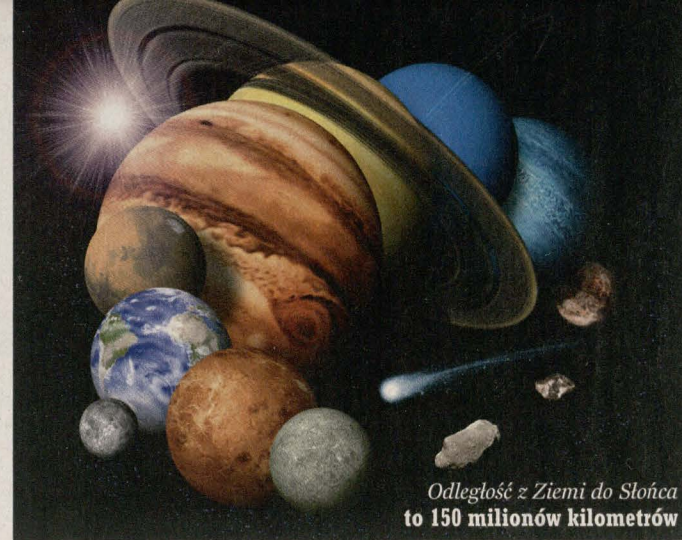


1. DLACZEGO OKTOBERFEST ŚWIĘTUJE SIĘ WE WRZEŚNIU?

Suto zakrapiane piwem festyny są w Niemczech tak stare jak produkcja tego zycznego trunku. Zarówno dziś, jak i przed wiekami przypadły na początek jesieni. Rozpoczęły nowy sezon browarniczy (październik-marzec), a służyły zlikwidowaniu zapasów z poprzedniego okresu. Czas ten nazwano Oktoberfestem (z niem. październikowym świętem) dopiero na początku XIX wieku. Wtedy to książę Bawarii Ludwik zorganizował imprezę dla całego Monachium, aby uczcić swój ślub z księżniczką Teresą von Sachsen-Hildburghausen. Choć dokładna data ślubu to 17 października 1810 roku, świętowanie uroczystości trwało kilka tygodni. Podobnie jest i dziś. Rozpoczęcie Oktoberfestu we wrześniu ma również aspekt praktyczny. W końcu gdy noce są ciepłe i skłaniają do wielogodzinnej zabawy, piwo smakuje znacznie bardziej.

2. JAK SIĘ MIERZY ODLEGŁOŚĆ DO KSIĘŻYCA, SŁOŃCA, GWIAZD?

Najprościej jest z Księżycem. Do tego celu misje Apolla zostały na powierzchni Księżyca specjalne lustra. Możemy do nich strzelać z laserów. Znając prędkość światła i mierząc czas jego powrotu na Ziemię, wyliczamy odległość. Już w latach 70. XX wieku dzięki regularnym pomiarom udało się ustalić, że Księżyc „ucieka” od Ziemi z prędkością wynoszącą cztery centymetry na rok. Słońce to większe wyzwanie. Najpierw musimy poznać dystans dzielący nas od Wenus, i to nie było kiedyś, bo w chwili, gdy Ziemia, Wenus i Słońce tworzą trójkąt prostokątny, w którym kąt prosty znajduje się przy Wenus. Moment ten ustala się na podstawie obserwacji krańca obu planet wokół Słońca. By zmierzyć dystans do Wenus, zamiast światła wykorzystuje się fale radarowe. Technika ta jest mniej dokładna, ale za to dużo łatwiejsza. Odległość Ziemia-Wenus i kąt między Wenus a Słońcem (patrząc z Ziemi) plus podstawowe wzory trygonometryczne wystarczają, by uzyskać poszukiwany wynik. Natomiast odległość do gwiazd



Odległość z Ziemi do Słońca to 150 milionów kilometrów

oznacza się, wykorzystując zjawisko paralaksy, czyli pozornego przesunięcia obrazu względem tła. Doświadczamy tego, gdy patrzymy raz jednym, raz drugim okiem na wyciągnięty przed nosem palec. Podobnie astronomowie obserwują gwiazdy. Oczywiście nie przymykają oczu, lecz patrzą na nią z dwóch punktów we Wszechświecie: na przykład raz w styczniu i drugi raz w lipcu. Wyznaczają kąt, o jaki przesunęła się gwiazda (względem tła, czyli nieba), i używając odpowiednich wzorów,

wyliczają odległość. Zadanie nie jest łatwe, bo nawet dla najbliższej gwiazdy różnice są tak małe, jakbyśmy obserwowali krawędzie na jednogroszówce z odległości czterech kilometrów. Trygonometria to potężne narzędzie. Dowiódł tego Hiparchos z Nikei, który już w II wieku przed naszą erą obserwował zaćmienie Słońca z dwóch różnych punktów, wykorzystując paralaksę. Dobrze obliczył wtedy odległość z Ziemi do Księżyca i nie przeszkodził mu w tym nawet geocentryzm.

3. CZY ROŚLINY MAJĄ RAKA?

Specjaliści nazywają rakiem jedynie złośliwy nowotwór tkanki nabłonkowej. My zwykle używamy tej nazwy na określenie każdego złośliwego guza, którego komórki atakują kolejne części ciała chorego. W tym drugim sensie rośliny nie mają raka. Zdarzają się guzy, czasem liczne, najczęściej rozwijające się w pniach. Powodem ich powstawania są grzyby, wirusy oraz bakterie, w tym najbardziej znana *Agrobacterium tumefaciens*. Bakterie i wirusy (inne niż roślinne) też mogą powodować nowotwory u zwierząt, ale przeważająca większość guzów to po prostu wynik kilku mutacji w DNA komórki. To roślinom też się przytrafia, ale nie powoduje nowotworu. Również rozwój roślinnych guzów przebiega zupełnie inaczej niż u zwierząt. Najważniejszą różnicą jest to, że przedstawiciele flory nie mają układu krwionośnego ani limfatycznego. Komórki nowotworowe nie mogą więc wywędrować z jednego guza, by powodować przerzuty.



Na czas rozrodu samice tworzą specjalne kolonie. Bez samców

5. JAK RODZĄ SAMICE NIETOPERZA?

Oczywiście wisząc. Możliwe są dwie pozycje porodowe: jedne gatunki wiszą głową w dół i lapią młode w skrzydła. Inne – głową do góry (zahaczone na skrzydłach, a właściwie na ściągach wystających ze skrzydeł) i przechwytyują młode w rozpiętą między podkurczonymi nogami błonę. Samice rodzą zazwyczaj jednego potomka, czasem bliźnięta, ciążę mnogie są niezwykle rzadkie. Młode nietoperze podczepiają się zębami do piersi mamy, by co godzinę ssać pokarm. I zostają tak na wiele tygodni. Samice niektórych gatunków potrafią nawet latać z młodym przyczepionym do sutka – do czasu, aż osesek się usamodzielnia lub niechący odpadnie.

4. CZY RYBY PUSZCZAJĄ BAKI?

Większość ryb nie puszcza. Gazy, które powstają w ich organizmie w czasie trawienia, przechodzą wraz z krwią do skrzelii (dwutlenek węgla) lub są wydalone wymieszane z odchodami (metan). Część ryb wypuszcza jednak bąble z kloaki, czyli ujścia jelita i cewki moczowej. Na przykład niektóre rekiny łapią przy powierzchni wody powietrze i wypuszczają je tyłem, gdy chcą opaść na dno. To wyjątek, bo zwykle ryby regulują głębokość, na której pływają, za pomocą pęcherza pławnego. Gaz w nim zebrany pochodzi z przemian biochemicznych i nie jest wydalany. Istnieje jednak rodzaj ryb, które puszczają bąków co niemiara. Są to śledzie. Ich nieeleganckie zachowanie służy ważnym celom. Nagle wypuszczone powietrze maści wodę i odstrasza drapieżnika. Przy spokojnym odgazowywaniu kloaka wydaje specjalne dźwięki, dzięki którym śledzie porozumiewają się wewnątrz ławicy.



Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzyć, choć nie potrafimy tego dowiedzieć”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

→ W tym tygodniu:

MORETTI TRIUMFUJĄCY, MELVILLE WIELKI, MACHULSKI WAMPIRYCZNY, ROTH SPRZED LAT, JARZYNA PRZEPYTANY ORAZ NIESAMOWITE ZWIERZAKI JÓZEFA WILKONIA

FRYDERYK O SKOŚNYM SPOJRZENIU

SHOPAN W JAPONII, **XIAO BANG** W CHINACH, **SYO-PAENG** W KOREI POŁUDNIOWEJ – OGROMNA POPULARNOŚĆ CHOPINA W AZJI JEST KULTUROWYM FENOMENEM. ALE NA PYTANIE, DLACZEGO AZJACI TAK MOCNO KOCHAJĄ KOMPOZYTORA ZNAD WISŁY, W KAŻDYM KRAJU USŁYSZYMY INNĄ ODPOWIEDŹ

CHOPIN SUPERSTAR TEKST MARIUSZ HERMA, ILUSTRACJA JOANNA SAFRANOW

W LUTYM W JAPONII ODBĘDZIE SIĘ OKOŁO 70 koncertów, w których programie pojawi się nazwisko Chopina. W marcu będzie ich jeszcze więcej. Chiński wirtuoz fortepianu Lang Lang na cały rok większość miejsc w swoim repertuarze oddał Polakowi, podobnie jak wiele innych gwiazd, które w tym roku planują koncerty w Azji. Nazwisko, a raczej nazwiska naszego kompozytora aż do grudnia będą królować na afiszach sal koncertowych w Japonii, Chinach czy Korei Południowej. Dlaczego Azjaci zapalali do Polaka miłością tak wielką, że często mogliby nią zawstydzić jego rodaków?

Kruchy i molowy

– Muzyką Chopina zachwyciłem się jako 13-latek. Już wtedy, na początku lat 60., jego muzyka była w Japonii niezwykle popularna – wspomina Tsuneo Okazaki, wieloletni wykładowca w Zakładzie Japonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. – Nasza filozofia każe nam identyfikować się z uczikanymi. Gdy oglądamy, dajmy na to, pojedynek, chętniej współczujemy przegranemu, niż zachwycamy się zwycięzcą. Melodie Chopina wywołują w nas te same uczucia, bo słuchając ich, myślimy o dramatycznych losach kompozytora i jego ojczyzny – tłumaczy Okazaki.



W raporcie dotyczącym obchodów Roku Chopinowskiego przygotowanym dla japońskiego radia porównał on niedawno muzykę Polaka do „Opowieści Heike”, jednej z najsłynniejszych, ale i najsmutniejszych sag Kraju Kwitnącej Wiśni: – Tradycyjne japońskie pieśni zawsze były utrzymane w tonacji molowej, nawet gdy ich treść była bardzo radosna. W tę stonowaną muzyczną głębię unikającą zbyt jaskrawych kolorów Chopin wpisuje się znakomicie – potwierdza Masako Ezaki, japońska pianistka znana z promocji polskiej muzyki w swoim kraju (Chopin, Szymanowski). – *Wabi-sabi*, czyli tradycyjne japońskie pojęcie piękna, oprócz elegancji kryje w sobie niezwykłą delikatność, kruchość, krótkotrwałość. A to w zasadzie krótka charakterystyka muzyki Chopina – dodaje.

Chopina Japończykom przedstawiono wraz z Bachem, Beethovenem, Mozartem i Schumannem pod koniec XIX wieku, gdy zakończyła się 300-letnia izolacja kraju. Był więc jednym z pierwszych europejskich kompozytorów, którzy w ogóle dotarli do Tokio. Zachwycone zagraniczną kulturą władze Japonii słały delegacje do krajów Europy i Ameryki, a te po kilku latach wracały, przywo-

żąc wiedzę militarną i nowinki techniczne. Byli jednak i tacy, dla których największym odkryciem okazała się muzyka klasyczna. Wkrótce w stolicy pojawili się europejscy instrumentalisci i dyrygenci, głównie jako nauczyciele. – Japończycy wciąż mają wielki apetyt na absorbowanie nowości, a zarazem bardzo wyrobiony smak – mówi Jadwiga Rodowicz, ambasador Polski w Tokio. – Począwszy od przełomu cywilizacyjnego z końca XIX wieku, intensywnie uczyli się historii i kultury Zachodu.

Młody i cyfrowy

Popularność Chopina – i klasyki w ogóle – to zasługa świetnej japońskiej edukacji muzycznej. Jest prowadzona na dużo wyższym poziomie niż w Polsce i nie kończy się wraz z opuszczeniem szkolnych sal. – Oprócz typowych recitali Japończycy uwielbiają formę łączącą koncert z lekcją, kiedy nie tylko słucha się utworu, ale także poznaje jego historię oraz sylwetkę kompozytora. – U Japończyków sposób odbioru natury czy sztuki ma w sobie coś z wrzliwosci dziecka – wyjaśnia Jadwiga Rodowicz. – W ich narodowym charakterze jest coś niezwykłego, co pozwala im choćby tak uważnie słuchać muzyki klasycznej. To jeden z powodów, dla których tamtejsze sale koncertowe są zawsze wypełnione. A Chopin z jego ukrytą prostotą i niechęcią do wielkich form sprawdza się tutaj idealnie.



→ Często spotykana hipoteza, jakoby dzieła Chopina kojarzyły się Azjatom z ich tradycyjną muzyką opartą na skali pentatonicznej*, okazuje się wyssana z palca, ale warto przyrzeć się tamtejszemu... językowi. Na podobieństwa między stylem polskiego kompozytora a mową Japończyków wskazuje Jarosław Drzewiecki (ojciec Stasia Drzewieckiego), pianista, który wielokrotnie nagrywał Chopina dla tokijskich wytwórni: – Chopin bardzo Japończykom odpowiada, ponieważ przypomina im ich własną formę wyśławiania się, a więc i myślenia. Podejrzewam, że właśnie w budowie, frazowaniu zdań tkwi sekret rozumienia przez nich tej muzyki. Coś, co sprawia, że wydaje im się swojska.

Kto wie, czy w tej szalonej z pozoru teorii nie kryje się ziarenko prawdy – w końcu Japończycy mogliby równie gorącym uczuciem darzyć Schumanna, Griega, Mendelssohna czy Mozarta, tymczasem to akurat Chopin ze swoją śpiewnością i melizmatami szczególnie przypadł im do gustu.

To jemu poświęcają wydawany od trzech dekad miesięcznik „Shopan”. Polski kompozytor jest też stałym bohaterem programów radiowych czy telewizyjnych, a trzy lata temu ukazała się nawet gra komputerowa „Eternal Sonata”. Gracz wciela się w niej w postać młodego Fryderyka, a ścieżkę dźwiękową opartą na motywach chopinowskich przygotował Stanisław Bunin, triumfator konkursu chopinowskiego z 1985 roku.

Japończycy niekiedy odnoszą wrażenie, że ceną polskiego kompozytora bardziej niż jego rodacy: – Polacy znają muzykę Chopina jako tło programów radiowych czy telewizyjnych, jako rzecz codzienną – tłumaczy Okazaki. – Dla Japończyków jest ona czymś specjalnym.

Elitarny i efektowny

Zupełnie odmienna droga doprowadziła Chopina na szczyty popularności w Chinach. Tam pierwsza fala szerszego zainteresowania jego muzyką była zasługą w zasadzie jednej osoby – Fou Ts'onga. Pochodzący z Szanghaju pia-



Szanghaj, marzec 2007 roku. **Setka chińskich miłośników Chopina gra** podczas ceremonii odsłonięcia jego pomnika w śródmiejskim parku Zhongshan

nista w 1955 roku zdobył III nagrodę oraz wyróżnienie specjalne za najlepsze wykonanie mazurków na V Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym imienia Fryderyka Chopina, co w jego ojczyźnie odbiło się szerokim echem. Otrzymał stypendium Państwowego Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, artysta na kilka lat osiadł w Polsce. Sytuacja powtórzyła się w 2000 roku, gdy po 15 latach powściągliwości jury konkursu chopinowskiego zdecydowało się wreszcie przyznać główną nagrodę. Zaledwie 18-letni Li Yundi odebrał także wyróżnienie za najlepsze wykonanie poloneza, a swój płytowy debiut nagrał dla prestiżowego Deutsche Grammophon naturalnie poświęcił Chopinowi. Dziś, gdy jego gwiazda nieco już zbladła, największym ambasadorem twórczości polskiego kompozytora stał się słynny Lang Lang, którego udział w promocji Roku Chopinowskiego – nie tylko w Państwie Środka, bo wszak to on zainaugurował obchody w Polsce – trudno przecenić.

– Dla Chińczyków nauka gry na fortepianie zawsze była zajęciem elitarnym – mówi Marcin Jacoby, koordynator projektów azjatyckich Instytutu imienia Adama Mickiewicza i wykładowca kultury chińskiej na Uniwersytecie Warszawskim. O ile bowiem w całej Azji gra na tym instrumencie łączy się ze stylem życia i jest synonimem luksusu, o tyle w Chinach – szczególnie od końca lat 70., czyli po tym, jak rozpoczął się okres reform i otwarcia – umiejętność ta stopniowo stawiała się bezpośrednim wyznacznikiem pozycji społecznej. – Począwszy od lat 90., posyłanie dziecka na lekcje gry jest właściwie obowiązkowe dla rodziców, którzy chcą zapewnić mu solidną edukację – dodaje Jacoby.

Jego słowa potwierdza statystyka: gry na tym instrumencie uczy się dzisiaj kilkadziesiąt milionów chińskich dzieci, a tak zwany

Wykorzystuje zawsze pięć dźwięków z oktawy. Przykład takiej skali to pięć wciśniętych kolejno czarnych klawiszy fortepianu

FOT. CHINA PHOTOS/GETTY IMAGES/FLASH PRESS MEDIA

Chopin level (poziom Chopina) to marzenie każdego zaczynającego przygodę z klawiszami: – Jeśli fortepian i jeśli kunszt, to któż, jeżeli nie on? Jest efektowny, wymagający technicznie, a w krajach azjatyckich na technikę kładzie się bardzo duży nacisk. Zarazem bywa dość łatwy w odbiorze. To, że Chińczycy dobrze radzili sobie w konkursach chopinowskich, bo często zajmowali także miejsca tuż za podium, dodatkowo sprzyjało zainteresowaniu Chopinem – mówi Jacoby.

Choć są i tacy, którzy uważają, że Chopin jest w Chinach znany z dużo bardziej prozaicznych powodów. Jak przyznaje w rozmowie z „Przekrojem” Ge Weyue, student dyrygentury w Shanghai Conservatory of Music, wielu jego rodaków nigdy nie słyszało ani jednego utworu Chopina. Kojarzą za to jego nazwisko, bo... łatwo je wymówić i zapamiętać – w przeciwieństwie do choćby Musorgskiego albo Czajkowskiego.

Okladkowy i promocyjny

Co Fou Ts'ong uczynił dla Chopina w Chinach, to w Korei Południowej powtórzyli niedawno bracia Lim: Dong-Hyek oraz Dong-Min. W 2005 roku w konkursie chopinowskim uplasowali się ex aequo na trzecim miejscu, ulegając tylko Rafałowi Blechaczowi. Po raz pierwszy pianiści z Korei zaszli tak daleko w konkursie. Nic więc dziwnego, że stali się sławami w swoim kraju. A razem z nimi Chopin. O popularności Polaka niech świadczy choćby obecność jego wizerunków na okładkach podręczników do muzyki. Podobnie zresztą jak pośpiech Koreańczyków, którzy obchody Roku Chopinowskiego zainaugurowali już w listopadzie (sic!) ubiegłego roku pierwszą edycją Międzynarodowego Konkursu Fryderyka Chopina Regionu Azji i Pacyfiku. Co zabawne, obecnie większość zapytań kierowanych do polskiej ambasady w Seulu dotyczy... właściwej daty urodzin naszego wirtuoza, bo Koreańczycy nie wiedzą, czy powinni obchodzić ich rocznicę pod koniec lutego, czy może na początku marca. Coraz rzadziej za to trzeba ich wyprowadzać z błędu i tłumaczyć im, że Chopin nie był Francuzem.

– Chopin to doskonały punkt wyjścia, klucz, który może nam otworzyć w Chinach niezliczoną liczbę drzwi. Nawet jeśli sami bywamy nim znużeni, jest naszym ogromnym atutem – mówi Jacoby. Z kolei polska ambasada w Tokio codziennie otrzymuje przynajmniej kilka próśb o patronat nad wydarzeniami związanymi z Rokiem Chopinowskim. Gros japońskich imprez rocznicowych to inicjatywa samych Japończyków: – Polska dysponuje czymś, z czego dopiero zaczynamy sobie zdawać sprawę, a mianowicie *soft power*, czyli wartościami duchowymi i sztuką – wyjaśnia Jadwiga Rodowicz. – Japończycy przeważnie znają tę smutną część historii Polski, czyli wojny i rozbiory. Sformułowanie „postkomunistyczny” utrwała ten zły stereotyp, a przecież to tylko 40 lat na tle wielowiekowej historii naszego kraju – dodaje. Ile wiedzy o Polsce zdążyliśmy przekazać Azjatom w ciągu zaledwie 12 miesięcy świętowania w rytmie Chopinowskich polonezów? Oby jak najwięcej, bo na drugą taką okazję będziemy musieli poczekać, bagatelą, sto lat.



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Jak roczniki '70 odkryły seks na stronie 96

LITERATURA FANTASY MOŻE i odpowiada na fantazje, ale z całą pewnością nie te seksualne. Mówię wam to jako reprezentant roczników, które pod koniec lat 80. załapały się na rynkowy wysyp baśni dla dorosłych. No właśnie: dla jakich dorosłych? Tolkien, choć Anglik, był dobrym katolikiem w życiu i twórczości. Pozamałżeńskie seksu próżno więc u niego szukać. Ale i z małżeńskim krucho. Główne wątki zakładają wprawdzie istnienie żon krasnoludów – problem w tym, że nie wiadomo, gdzie są i jakie są. Piękna (jak to u Tolkiena) była opowieść o żonach entów (ludzi drzew), lecz chodziło w niej o to, że uciekły wieki temu, bo nie interesowało ich życie w lesie. Zresztą schadzkę pod drzewem jestem sobie w stanie wyobrazić, ale schadzkę ludzi – Éowiny do Aragorna – wydaje się pożądaniem na zawołanie, bo dziewczyna chce ocalić swoje podupadające królestwo, a facet wydaje się wystarczająco zdrowy, silny i koronowany. Zresztą z całego związku nici. Zostają hobbyty, które wprawdzie chcą mieć dzieci, ale nie za cenę rezygnowania z piwa i fajki. No i elfy, które są wieczne, czytają:

rozmnażanie przestało je interesować wieki temu. Może z wyjątkiem Arweny, tyle że jej związek z Aragornem na kartach „Władcy pierścieni” nie zostaje skonsumowany. W komiksach za PRL-u też nie było słodko. Popularny „Kajko i Kokosz” – komiczna słowiańska fantazy – wśród bohaterów miał dwie pary: zbójca Łamięgnata, który miał wprawdzie pociągającą profesję i wielką maczugę, ale za to żonę wiedźmę, no i wiecznie zdolowanego Mirmila z małżonką Lubawą z czterokrotnie wyższej kategorii wagowej. Wszystko tak, żeby nawet nie myśleć o seksie. Dlatego komiks „Szninkiel” Grzegorza Rosińskiego i Jeana Van Hamme'a wywołał w roku 1988 rewolucję. Miał w fabule Tolkiena wymieszanego z „2001 – Odyseją kosmiczną” Kubricka i szczyptę Biblii. Bohater – mały, brzydki, z wielkim pryszczatym nosem – miał zbawić świat. Teoretycznie bez szans na pikantne sceny. Tymczasem strona 96 przeorała morale generacji: J'on, wciąż w misji ocalenia świata, musiał udać się do jasnovidzki Volgi i zamieniony uprzednio w supermężczyznę zaspokoić ją seksualnie – tak by swoją przepowiednię wykrzychała w chwili orgazmu.

Ważne było nie tylko to, jak to zostało narysowane. Bo o ile takie wizualne fantazje przemawiają, zdaje się, głównie do dorastających chłopców, o tyle dziewczyny też były zainteresowane, pewnie także treścią, sensem tego seksu, który w istocie był pokazem damskiej dominacji. Dowody tego zainteresowania znalazłem później w rozmowach mojej żony z jej koleżankami. Szał trwał całe lata. Komiks stał się białym krukiem na rynku wtórnym, choć był wyjątkowo sponiewierany, nierzadko spersonalizowany – mój kolega próbował na przykład dla większego realizmu pokolorować rysunki. Na początku XXI wieku ukazał się w wersji trzyczęściowej, ale kolorowej, co kompletnie pozabawiło go sentymentalnych walorów. I wreszcie teraz, w styczniu, wyszedł znów w czarno-białym oryginale i jednym tomie. Tylko strona 96 się przesunęła i teraz jest bardziej stroną 100, co wydawać się mogło chyba nadrobić okładkową ceną ustaloną na okragle 69 złotych. W każdym razie kupiłem. Oczywiście dla żony.

„Szninkiel”, scenariusz Jean Van Hamme, rysunki Grzegorz Rosiński, Egmont

ANKIETA
FRYDERYK
JAK GO
WIDZĄ AZJACI

Mówimy:
muzyka,
myślimy:
Chopin

RAKESH MEHTA
przedsiębiorca, Indie, New Delhi

CHOPINA ZNA KAŻDY WSKSZTAŁCONY HINDUS. Jego muzyka kojarzy nam się ze świeżością i z chłodem. Gdy słucha się jej w gorący indyjski wieczór, nie trzeba włączać klimatyzatora. Jest spokojna, wycisza złe emocje, łagodzi wszelki ból duszy. Poza tym kompozycje Chopina bardzo przypominają nam utwory grane na tradycyjnym indyjskim instrumencie strunowym o nazwie santur, trochę podobnym do lutni. Kto zna i lubi santur, kocha również fortepianowe utwory polskiego kompozytora.

XIE QIUZHEN
pielęgniarka, Tajwan, Tajpej

TAJWAŃCZYCY POZNAJĄ NAZWISKO Chopina już w szkole podstawowej, na lekcjach muzyki. Wszyscy wiedzą, że był jednym z największych kompozytorów na świecie. Ja brałam lekcje gry na pianinie, więc ćwiczyłam również polonezy, mazurki i nokturny. Nie lubiłam muzyki Chopina, bo jest bardzo smutna. Wywoływała u mnie nieokreślony żal i tęsknotę, a na tętniącym życiem, nowoczesnym Tajwanie to nie są mile widziane uczucia. Aby mnie przekonać do Chopina, nauczycielka kazała mi czytać chińskie komiksy o jego życiu i twórczości.

YANG HAO
aktor tradycyjnej opery pekińskiej, Chiny, Pekin

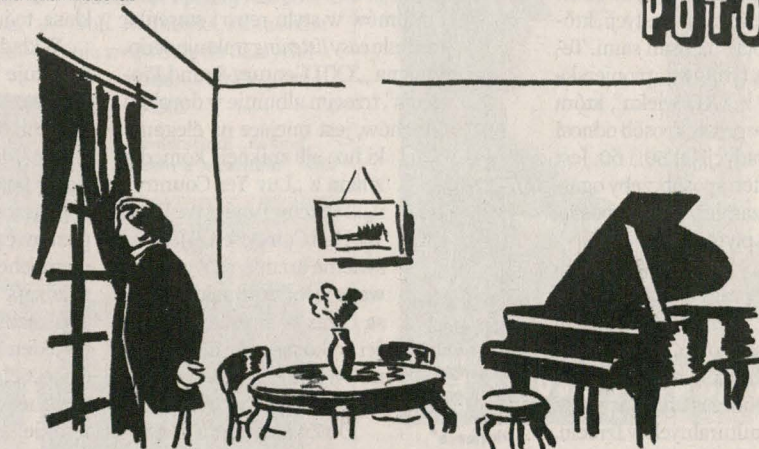
GOŚCIE JEDNEGO Z LICZNYCH PEKIŃSKICH BARÓW mogą usłyszeć muzykę Fryderyka Chopina. To dlatego, że Chińczycy bardzo lubią muzykę klasyczną, więc właściciele barów często puszcza ją jako podkład. Utwory Chopina lubimy za ich spokój i prostotę. Za to, że ich brzmienie jest podobne do tradycyjnej muzyki chińskiej, dostojnej i pięknej. Gdy w Pekinie odbywają się konkursy chopinowskie, stolica jest oblepiona plakatami informującymi o tej imprezie.

– rk

FOT. BOGDAN KRZEL

POTOK

RYŚ. MARCIN MACIEJOWSKI



TU MOŻE MARZYĆ I KOMPONOWAĆ.
CHOPIN RAD BYŁ Z POSIADANEGO OSOBNEGO SALONU.

+++++ BARTEK CHACIŃSKI

Mitchostwo świata Zwariowana grupa Mitch & Mitch, choć głupio to zabrzmiało, zasłużyła na bardzo poważne komplementy



Mitch & Mitch i ich tajemniczy znak rozpoznawczy. Macio Moretti drugi, a Bartek Magneto siódmy od lewej

Nieziemnie łączą tańce chwytliwych kiczowatego retro z kapitalnym poczuciem humoru i małpią sprawnością. I tylko ojców sukcesu z roku na rok przybywa. Macio Moretti i Bartek Magneto, którzy znają się z grupy Starzy Singers i do niedawna tworzyli „pięcioosobowy duet”, dziś są „duetem dziewięcioosobowym”, co z kategorii nieprawdopodobnych przeniosło ich w krąg zjawisk niemożliwych. Do niedawna grali niby-cudze piosenki z różnych stron świata i różnych tradycji, które w istocie napisali sami. Teraz grają tytułową „pionierską muzykę z XXII wieku”, która jednak w prosty sposób odnosi się do tradycji lat 50. i 60. Jest tylko jeden sposób, żeby ogarnąć to zamieszanie – posłuchać ich płyty.

Tych, którzy w świecie kultury pragną jakiegoś porządku, hierarchii wartości, niech uspokoi to, że zespół ten z powodzeniem reprezentował Polskę podczas oficjalnych sezonów kulturalnych w Izraelu, Niemczech i Wielkiej Brytanii.



Mitch & Mitch with their Incredible Combo „XXII Century Sound Pioneers”, Lado ABC

I jest dziś bliżej międzynarodowego sukcesu niż wszystkie nasze Górnicki i Piaski. Może dlatego, że w swojej kategorii niewiele ma na świecie konkurentów. Owszem, jest Senor Coconut and His Orchestra, oczywisty punkt odniesienia dla Mitchów, ale po znakomitym pomysle nagrania piosenek Kraftwerk w latyno-amerykańskiej rytmice ten zespół niemieckiego perkusisty Uwe Schmidta spoczął na laurach, grając coraz bardziej oczywiste covery kolejnych wielkich przebojów pop. Nasi tymczasem podążają raczej ścieżką guru nowojorskiej awangardy Johna Zorna, który muzykę do filmów w stylu retro i stareńką formułę *easy listening* traktuje serio. I tak na „XXII Century Sound Pioneers”, trzecim albumie w dorobku Mitchów, jest miejsce na elegancję, ale zniknęła komedia znana z „Luv Yer Country” i „12 Catchy Tunes (We Wish We Had Composed)”. Jest też świetne brzmienie wypracowane w łódzkim studiu Toya, są coraz wyższe umiejętności wykonawcze i aranżacyjne – a jednego i drugiego nie da się oszukać żartem.

Do Zorna i jego The Dreamers odnosi się tu rozbu-

dowana kompozycja „Volcano”, jedyna z kilku, które dają okazję do popisów wibrafonistów i sekcji dętej. Zornowską wirtuozerią błyszczy też „Dinomatendo” utrzymane w rytmice merengue. „Older than You” i „A Little Scratch” to klasyczne *easy listening*, które mogłoby się stać ilustracją do któregoś z filmów z lat 60. „1-2-3-4-5, Combo!” przywołuje na myśl klimat „Pulp Fiction”, z kolei „Greek Wedding” mogłoby trafić na ścieżkę dźwiękową Ennio Morricone. Ale wszystko razem, podlane szczyptą egzotyki znanej z nagrań Martina Denny’ego z lat 50. i podane z taką klasą, to już tylko Mitch & Mitch.

Wkładka płyty tradycyjnie oszukuje i znów wszyscy – włącznie z cenionym wiolonczelistą Andrzejem Bauerem i organistą Marcinem Maseckim – mają kaniulaż w postaci Mitcha w nazwisku, co zresztą pozostaje znakiem rozpoznawczym grupy. Moim zdaniem chodzi o to, że M&M nie zgadzają się na bycie kimś. Chcą być każdym. Nie zgadzają się też na jeden styl. Chcą grać wszystko. Co jest planem dość realnym, jeśli ten duet dalej będzie rósł w takim tempie. A do XXII wieku zostało jeszcze sporo czasu... □

Na to idziemy

KONCERTY

Wielka gwiazda kontra mały smok

Depeche Mode
i co potem

Wcześniej zaczyna nam się w tym roku sezon koncertowy (o ile w ogóle zdążył się skończyć). Nadrobiąc zaległości z ubiegłego roku, kiedy to wokalista Dave Gahan wyładował w szpitalu i część europejskiej trasy odwołano, przyjeżdża do nas brytyjska megagwiazda Depeche Mode. Zagrają aż dwa koncerty z rzędu i... do ich obejrzenia właściwie nie trzeba nikogo zachęcać, bo bilety (w sumie ponad 25 tysięcy!) dawno zostały wyprzedane. Wypada tylko pozazdrościć szczęśliwcom i rozejrzeć się za interesującą alternatywą. Ot, choćby Little Dragon. Kto przegapił ich występ na ubiegłorocznym festiwalu Free Form, ma okazję zmazać swe grzechy. Kto zaś widział, na pewno zechce zobaczyć jeszcze raz. Uroczą wokalistka Yukimi Hagan i jej szwedzcy towarzysze to świetny przykład tego, jak można połączyć matematykę electro z (nu) jazzową swobodą. – jsz

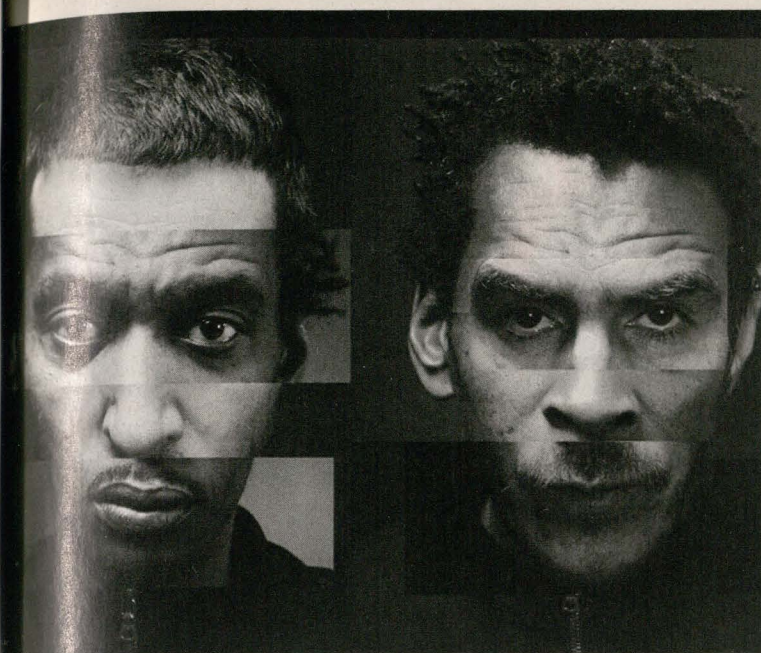
Depeche Mode,
– 10-11.02 Łódź, Atlas Arena

Little Dragon,
– 12.02 Poznań, Eskulap,
14.02 Katowice, Hipnoza,
13.02 Warszawa, Powiększenie

6 nagród Grammy zdobyła za jednym zmachem

Beyoncé.

To rekord wśród kobiecych solistek. Poprzedni (5 statuetek) ta sama Beyoncé dzieliła z innymi wokalistkami



+++++ MARIUSZ HERMA

Już to słyszeliście

Nowe Massive Attack: dobra płyta, ale tylko w połowie

Dawali ostatnio liczne dowody zagubienia: weźmy choćby tuziny gości odwiedzających studio 100 Suns – wśród nich Elizabeth Fraser i Mike’a Pattona – z których ślad na „Heligoland” pozostała ledwie garstka. Albo utwory, które nie trafiły na płytę, bo Massive Attack zdążyli się znudzić ich graniem na koncertach. Nic dziwnego, skoro ukończenie płyty zajęło im siedem lat. Owszem, ich niegdysiejsi konkurenci z Portishead ostatnią płytę montowali przez lat jedenaście, ale za to „Third” zdefiniowało ich na nowo – a na piątej płycie Massive Attack nie ma brzmień, których nie słyszeliście wcześniej.



Massive Attack
„Heligoland”,
JEMI Music
Poland

Jeśli „Mezzanine” było festiwalem rytmów, a „100th Window” symfonią brzmień, to na „Heligoland” 3D i Daddy G szlifują kompozycje. Przeszła im fascynacja technologią studyjną, a album miał przypominać granie na żywo. Tyle że z pierwszej połowy wieje nudą. Dopiero gdy ją przeczekacie, usłyszycie Guya Garveya z Elbow wcielającego się w Davida Sylviana, Hope Sandoval tańczącą w rytmie okłasków i Damona Albarna w najpiękniejszej piosence, z jaką miał do czynienia od lat. Gdyby „Heligoland” kończyło się w połowie, byłoby porażką. A gdyby się tam zaczynało – arcydziełem. □

+++++

Muzyczny slow food

„Mamy cały czas tego świata” – to tytuł wczesnej piosenki Tindersticks. Po latach wciąż brzmi, jakby codzienny pośpiech ich nie dotyczył

NIECH WAS NIE ZWIEDZIE senna aura ich muzyki. Pierwsze minuty tytułowego „Falling Down a Mountain” – hipnotyczny rytm, niepokojące szmery klawiszów, śpiew zniekształcony mantryczną manierą – świadczą o tym, że choć pozornie nie dzieje się nic, wszystko może się zdarzyć. Pozostałe utwory nie są już tak zaskakujące. To jazz-rockowy chillout, pozornie

jednorodny, ale rozpisany na wiele instrumentów i głosów, ze wskazaniem na niepodrabialny, miękki baryton Stuarta A. Staplesa. Tindersticks są muzycznym odbiciem kulinar- nego slow foodu. Nie da się ich przełknąć w pośpiechu,

w drodze do pracy. Złożone ze składników najwyższej jakości kompozycje trzeba przeżuwać i przeżywać powoli. To muzyka, która sama nie wejdzie się do naszych domów. Trzeba ją zaprosić. – jsz

Tindersticks „Falling Down a Mountain”, 4AD



Maja Sikorowska i Andrzej Sikorowski

MAJA SIKOROWSKA, ANDRZEJ SIKOROWSKI



sprawa rodzinna

sprawa rodzinna

czyli muzyczny dialog słynnej krakowskiej rodziny

gościnnie wystąpili:
Sonia Bohosiewicz
i Grzegorz Turnau



Music from EMI

album już w sprzedaży!

Classic

RZECZPOSPOLITA

PRZEKROJ

Gala

DZIENNIK POLSKI

INTERIA.PL

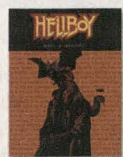
Moja bujna wyobraźnia podpowiada mi, że gdyby Mike Mignola, ojciec Hellboya, przyszedł na świat w średniowiecznej Europie, tworzyłby gotyckie ołtarze albo rysował miniatury. Zamiłowanie do perfekcyjnej kompozycji i nastroju to jego wizytówka, na tym polu nie ma sobie równych w amerykańskim komiksie „superbohater-skim”. Udała mu się rzecz rzadka: działając w głównym nurcie, stworzył autorską serię mającą niezwykle rozpoznawalny styl. Popularną, ale niebanalną. Jeszcze kilka lat temu trudno było wyobrazić sobie, że ktokolwiek inny mógłby zrobić choćby jedną planszę przygód czerwonego demona. Sytuacja zmieniła się w chwili, gdy komiksy zaczął pracować nad ekranizacją serii („Nasienie zniszczenia”, 2004). To wtedy z artysty przeistoczył się w dyrektora artystycznego i menedżera zarządzającego własną marką Hellboy™. Antologia „Opowieści niesamowite” (2004), która po polsku ukazuje się dopiero teraz i zbiera dwie części cyklu w jednym tomie, była pierwszą jaskółką (obok filmu, rzecz jasna) tychże zmian.

Jak to w antologiach komiksowych bywa, we wstępie dowiadujemy się, że oto najlepsi z najlepszych oddają hołd ulubionemu bohaterowi. Ów benefis Hellboya nie wypadł jednak najlepiej: autorzy ślepo podążyli za fabularnymi pomysłami Mignoli. Ten bawił się jednak mitologicznymi odniesieniami, dbał o detale i nastroj. Naśladowcy tego daru nie mają – a na dodatek kilku z nich na siłę próbuje imitować jego kreskę. Ów brak pomysłów jest o tyle zaskakujący,



+++ SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Benefis bez błysku „Opowieści niesamowite” to hołd złożony Hellboyowi. Szkoda, że na kolanach



„Opowieści niesamowite”, różni autorzy, Egmont, Warszawa 2010, s. 216, 89 zł

że w biografii Hellboya znajdziemy sporo luk, a także wątków wartych pociągnięcia. Jedynie Andi Watson w nowelce „Nieproszony gość” postanowiła podążyć kwestię tożsamości pochodzącego wszak z piekła bohatera. W całym tomie znajdziemy tylko cztery udane historie (na dwadzieścia parę). Poza Watson na wysokości zadania stanął Eric Powell (autor serii „Zbir”) oraz gwiazdy komiksowej sceny niezależnej – Craig Thompson (znany z „Blankets”)

i Scott Morse. Pierwszy z nich przygotował żartobliwe „Moje wakacje w piekle” wykorzystujące biblijną symbolikę. Morse natomiast w lirycznej i prostej opowieści pokazał zmęczonego herosa pragnącego chwili wytchnienia. Szkoda, że twórców poszukujących ciekawego kontekstu znalazło się tu mniej, niż ślepych wyznawców kultu Hellboya. Fanatycy za niewłaściwe relacje z diabłem zapłacili artystyczną bezpłodnością.



+++

Antybohater w kolorze

Jeśli jakimś cudem nie znacie „Wilq”, nadróbcie zaległości CZTERY PIERWSZE ODCINKI SŁYNEGO KOMIKSU UKAZAŁY SIĘ WŁAŚNIE (z bonusowymi materiałami!) w jednym tomie i do tego w ko-

lorze. Oryginalne czarno-białe historie z przygodami Wilq'a drukowane były w magazynie „Produkt”, a potem w osobnych zeszytach. Tytułowy bohater to prowincjonalny superman „na miarę naszych możliwości”: znerwicowany, narwany, toczący walki z najgłupszymi z możliwych potworami – na przykład wielką łapą z ciasta. Bracia

Minkiewiczowie tworzyli rysunki programowo nieładne, jakby nieudolne. W opowieściach szargali świętości i drwili z polskich kompleksów. Ich słowotwórczy talent do coraz wymyślniejszych obelg, lekceważenie politycznej poprawności i abstrakcyjne poczucie humoru przyczyniły się do niebywałej w skali polskiego komiksu

Bartosz Minkiewicz (scenariusz, rysunki), Tomasz Minkiewicz (scenariusz), „Wilq superbohater – 1234 Album”, BM Vision, Opole 2009, s. 130, 119 zł

popularności (ich zeszyty sprzedawały się nawet w 10 tysiącach egzemplarzy, podczas gdy średnia sprzedaż prac innych autorów to dwa tysiące). Na palcach jednej ręki można policzyć tych, z których nie zadrwiono na łamach „Wilq’a” – dostało się nawet „Przekrojuwi” [była to zemsta komiksyarzysty za negatywną recenzję. Dlatego teraz piszemy dobrze – przyp. red.]. Nie ma lepszego leku na ciężki, nerwowy dzień niż lektura „Wilq’a”. W wersji kolorowej smakuje jeszcze lepiej. Frustrować może tylko cena albumu. Czyżby to kolejny żart – tym razem z rynku komiksowego i jego obsesji na punkcie ekskluzywnych wydań kolekcjonerskich?

Sebastian Frąckiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6)

+++++ KAROLINA PASTERNAK

Diablo dobry serial W TVN debiutują „Wszystkie wcielenia Tary”. Nie przegapcie żadnego!

Jeśli jesteście fanami amerykańskich seriali, pokochacie „Wszystkie wcielenia Tary” – z tych samych powodów, dla których zarzywalicie noce, śledząc kolejne odcinki „Sześciu stóp pod ziemią” czy „Dextera”. Jeśli oglądaliście kinowe „Juno”, rozpoznacie w nich cięty i ironiczny język scenarzystki Diablo Cody. A jeśli serialowa gorączka jakimś cudem jeszcze was nie dopadła, „Wszystkie wcielenia Tary” i tak musicie zobaczyć, choćby po to,

by zrozumieć, czemu świat zwariował na punkcie

amerykańskich seriali. Oryginalny scenariusz, postaci, wśród których każdy znajdzie swoją ulubienicę/swojego ulubieńca (a może nawet dojrzy kawalek siebie) i żadnej ukrytej działalności „misyjnej” – „Wszystkie wcielenia Tary” to nie zajęcie z przygotowania do życia w rodzinie (czym bywają często polskie seriale), ale po prostu piekielnie inteligentna rozrywka.

Twórcy serialu Steven Spielberg i Diablo Cody (kolejne hollywoodzkie gwiazdy, które zdradziły duży ekran z małym) przenoszą nas w świat przedmieść Overland

Toni Collette jako Buck, Alice, T. i Tara. Za rolę w tym serialu zdobyła Złoty Glob i nagrodę Emmy



„Wszystkie wcielenia Tary”, TVN, czwartki, godz. 23.00

Park w stanie Kansas. Krajobraz niby dobrze znany z dziesiątek produkcji o amerykańskiej młodzieży: szkoła, po szkole praca w fast foodzie, wieczorne wykradanie się z domu. Tyle że zamiast perfekcyjnej matki na 14-letniego (homoseksualnego) Marshalla i 15-letnią (przeżywającą okres burzy i naporu) Kate czeka w domu cierpiąca na rozdwojenie jaźni Tara. Czasem jest frywolną nastolatką T., innym razem żywym przeniesioną z lat 50. idealną amerykańską panią domu Alice, a niekiedy ordynarnym Buckiem – mężczyzną, który brak penisa uważa za pamiątkę z wojny w Wietnamie.

Z każdym kolejnym odcinkiem poznajemy kolejne wcielenia Tary i krok po kroku odkrywamy przyczyny jej choroby. I podobnie jak było z seryjnym mordercą Dexterem Morganem (bohaterem „Dextera”), dopóki tajemnica Tary nie zostanie wyjaśniona, dopóty z trudem będziecie odchodzić od ekranu.

Ale „Wszystkie wcielenia Tary” nie zawiódą i tych, którzy zamiast rozwiązywać zagadki, po prostu wolą się pośmiać. Nie przypadkiem oryginalny tytuł serialu brzmi „United States of Tara”: drugi plan to zjadliwa satyra na współczesną Amerykę. Zobaczycie tu i kościelne przedstawienia, podczas których nastolatki wypędzają z grzesznych rówieśników homoseksualne popędy, i fast foody, w których wsiska się ludziom do głowy, że jeśli tylko się przyłożą, zostaną następnym Dickiem McDonalodem, i cudowne preparaty, dzięki którym będziemy żyli długo i szczęśliwie. Takie rzeczy to tylko w United States of America, przepraszam: „United States of Tara”. In Showtime We Trust. Od 11 lutego w TVN.

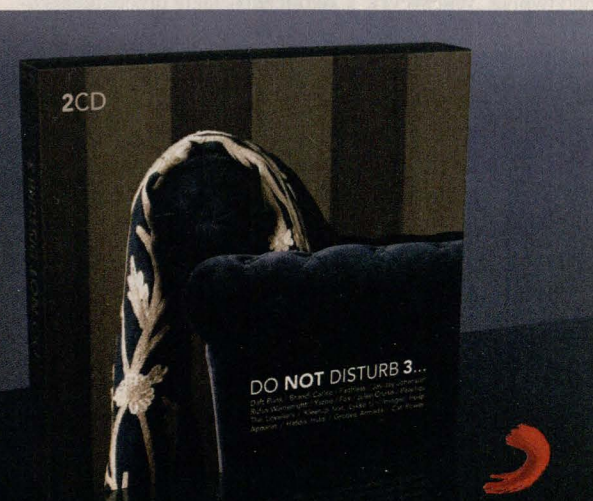
REKLAMA

PO PROSTU ZANURZ SIĘ...

DO NOT DISTURB 3...

Daft Punk / Brandi Carlile / Faithless / Jay-Jay Johanson
Rufus Wainwright / Yazoo / Fox / Julee Cruise / Peaches
The Loveliers / Kleerup feat. Lykke Li / Imogen Heap
Apparat / Hafdis Huld / Groove Armada / Cat Power

2CD OD 1 LUTEGO
W DOBRYCH SKLEPACH MUZYCZNYCH





++++ MICHAŁ BURSZTA

Krwiopijcy z Mazur

Juliusz Machulski pokusił się o nakręcenie polskiej „Rodziny Adamsów”. Miało być strasznie śmiesznie, jest tylko dość zabawnie

Polakom horror raczej nie wychodzi, za to komedie – przynajmniej kiedyś – i owszem. Co prawda niemal wszystkie rodzime filmy grozy śmieszyły do rozpuku (niedoścignionym mistrzem jest tu oczywiście Marek Piestrak, twórca „Wilczyce”), ale niekoniecznie zgodnie z reżyserskim zamiarem. Naprawdę bawić się (i nas przy okazji) filmowymi gatunkami potrafi w Polsce Juliusz Machulski, dlatego stał się naturalnym kandydatem do nakręcenia udanego komediowego horroru. Czy „Kołysanka” nim jest? Połowicznie.

Oglądamy historię wampirzej rodziny Makarewiczów, która postanawia osiedlić się w zapadłej mazurskiej wiosce. Są podejrzanymi bladzi i wyglądają jak karykatury postaci z obrazów XIX-wiecznego pejzażysty Johna

Constable’a, niemniej nie budzą w mieszkańcach wsi większego niepokoju, tak jak nie budzi go nagłe zniknięcie poprzedniego właściciela chaty. Niestety, na nim się nie kończy i już wkrótce w tajemniczych okolicznościach przepadają kolejne osoby.

Brzmi groźnie i na początku rzeczywiście tak jest. Jednak reżyser dość szybko wyjaśnia zagadkę i przechodzi do czystego pastiszu. Wampiry Machulskiego to zbieranina przeciętniaków znudzonych wielowiekową tułaczką i marzących o chwili świętego spokoju na zacisznej prowincji. Nie ma w nich krzty demonizmu, za to dręczą ich nieustające prozaiczne problemy w rodzaju: jak ssać krew, nie mając zębów? Na nieśczęście filmu „jadalospis” Makarewiczów stanowi zbiór sztampo-

„Kołysanka”,
reż. Juliusz
Machulski,
Polska 2010,
Monolith
Films, 95',
premiera
12 lutego

wych postaci: pazerny ksiądz (Michał Żeleński parodiujący polityków w programie Szymona Majewskiego), gamoniowaty policjant czy znużona reporterka telewizyjna. Pęknięcie w scenariuszu powstaje właśnie tam, gdzie udany pastisz horroru zderza się ze średnio śmieszną, opartą na schematach komedią. Dowcipne scenki jak ta, w której najstarszy wampirzy syn próbuje dowiedzieć się, kto jest jego prawdziwym ojcem, porównując fotografię Roberta Więckiewicza i wizerunek diabła z obrazów Hansa Memlinga, sąsiadują z kiepskimi grepsami. Czy naprawdę ktoś skona ze śmiechu, widząc, jak niemiecki biznesmen parady w hełmie Wehrmachtu? Podobne sytuacje ratują na szczęście aktorzy ze wspomnianym Robertem Więckiewiczem, Januszem Chabiozem i Przemysławem Bluszczem na czele. Czwarta gwiazdka tylko dla nich. □

Berlin znów zachodni

I znów bez Polaków
w konkursie

TEGOROCZNY MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL Filmowy w Berlinie będzie wyjątkowy. Nie tylko dlatego, że to jubileuszowa 60. edycja i organizatorzy przygotowali masę atrakcji (między innymi plenerowy pokaz arcydzieła Fritza Langa „Metropolis”), ani dlatego, że premierę będzie miał tu „Autor widmo” Romana Polańskiego. Będzie wyjątkowy, bo po latach promowania egzotycznej kinematografii berlińscy selekcjonerzy zwracają się ku Zachodowi. Na 20 walczących o Złotego Niedźwiezia filmów połowa została wyprodukowana w Europie, a cztery w USA. Z hołubionych dotąd reżyserów z Dalekiego Wschodu w konkursie swoje filmy pokażą tylko Chińczycy Wang Quan’an i Zhang Yimou oraz Japończyk Koji Wakamatsu. Tradycyjnie najbardziej wyczekiwane są wielkie nazwiska, czyli nowe filmy Martina Scorsese „Wyspa tajemnic” czy Michaela Winterbottoma „The Killer Inside Me” i dramat o młodym Allenie Ginsbergu „Howl” w reżyserii Roberta Epsteina. Emocje budzi też premiera „Na drodze”. Jasmini Żbanić, reżyserka głośnej „Grbavicy”. Polacy na Berlinale nie walczą o nagrody. Xawery Żuławski zasiada w jury konkursu krótkich metraży. Jerzy Skolimowski w ramach obchodów jubileuszowych pokaże „Start” (1967 rok), natomiast pochodząca z Chorzowa niemiecka aktorka Hanna Schygulla (muza Rainera Wernera Fassbindera) odbierze Złotego Niedźwiezia za całokształt twórczości.

Karolina
Pasternak

60.
Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
w Berlinie,
11–21 lutego



Amerykanin w Paryżu

Dziela jednego z najciekawszych autorów kina Jeana-Pierre’a Melville’a ukazały się na DVD. Czapki z głów! To znaczy – kapelusze

MAŁGORZATA SADOWSKA

Wprawdzie to tylko sześć z trzynastu nakręconych przez niego filmów i wprawdzie nie ma wśród nich „Samuraja” (1967 rok) uchodzącego za najważniejsze dzieło Melville’a (1917–1973), ale każdy, kto zaczyna przygodę z francuskim reżyserem, musi pokochać uczucie niespełnienia. Towarzyszy ono bowiem wszystkim bohaterom jego opowieści: gangsterom szykującym skok życia, znużonym komisarzom, członkom ruchu oporu, księżom czy wdowom.

Wszyscy grają wyznaczone im role w teatrze życia. Samotni, wyobcowani, świadomi, że zawisł nad nimi miecz przeznaczenia... No i proszę, jak styl Melville’a udziela się piszącym! Zamiast popadać w patos i melancholię, przytoczę przykład – niesamowitą scenę zabójstwa z „Armi cieni” (1969). Oto kilkoro członków ruchu oporu ma wykonać wyrok na młodziutkim zdrajcy. Gdy okazuje się, że ktoś może usłyszeć strzały, postanawiają zamordować w inny sposób. Przez długą chwilę dyskutują, czy posłużyć się kuchennym nożem, czy chłopca udusić. On sam z rozpaczą w oczach stoi pod ścianą, nie wyrywa się, nie ucieka. „Trudne zadanie” zostaje wykonane bez jednego krzyku. Los zdrajcy się dopełnił. Teraz pora na jego zabójców.

Do sejfów z napisem „kino Melville’a” pasuje więc szyfr egzystencjalny. Treneczowe płaszcze i kapelusze, nieodłączny strój gangsterów i policjantów, okazują się tylko kostiumem, a zbrodnie, aresztowania i ucieczki – rytuałem. Społeczną, obyczajową, kulturową konwencją, która raz na zawsze uniemożliwia ludziom przeżycie prawdziwej przyjaźni i miłości, za to otwiera pole do zdrady. Bohaterowie Melville’a chętnie spoglądają w lustro, choć widok ich własnych twarzy wyrażnie ich niepokoi: to jedyny moment, gdy widzą prawdziwych siebie.

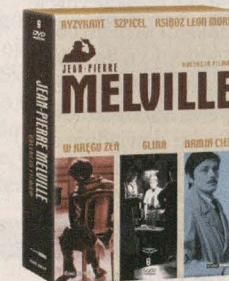
Ale wspomniany sejf można próbować otwierać bez końca. Jean-Pierre Melville był wielbicielem amerykańskiego czarnego kina i Ameryki w ogóle. Jego bohaterowie piją wyłącznie whisky, noszą stetsony, tu i ówdzie przebijają neon coca-coli. Nigdy jednak reżyser nie był zwykłym naśladowcą, zaczerpnął formę i motyw, lecz napisał je atmosferą powojennej Europy.

Podczas gdy on pilnie uczył się u Johna Hustona, Johna Forda, Roberta Wise’a, na jego kinie wychowały się ko-



Alain Delon jako tytułowy „Glini” nasłuchuje, co dzieje się w mieście

REKLAMA



DVD „Jean-Pierre Melville. Kolekcja filmów” („Glini”, „W kręgu zła”, „Armia cieni”, „Rzykant”, „Szpicel”, „Ksiądz Leon Morin”), Kino Świat

CINEMA CITY
TWÓJ NAJLEPSZY SPOSÓB NA FILM

PARTNEREM ARCH. WALENTYNOWEJ JEST:

Paradis



CHCESZ UNIKNĄĆ WALENTYNKOWEGO FOCHA?
NIE STÓJ W KOLEJCE DO KINA.



KUP BILET NA 14 LUTEGO WCZEŚNIEJ!

WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE CINEMA CITY
NA FACEBOOK I WYGRAJ SKUTER ZIPP!

WIECEJ INFORMACJI NA: WWW.CINEMA-CITY.PL



Cokolwiek by myśleć,
Philip Roth zawsze
pomyśli to lepiej

Jak Żyd z Żydem W „Operacji Shylock” Philip Roth dokonuje cudów filoantysemizmu

+++++ TADEUSZ NYCZEK

Za najbardziej kłopotliwą sztukę Szekspira uchodzi „Kupiec wenecki”. Otóż jednym z głównych bohaterów jest Żyd Shylock, postać dosyć wredna nie tylko dlatego, że lichwiarz i nienawistnik, ale też że po prostu Żyd. Odtąd – zauważa Philip Roth – „dla światowych widzów Shylock stanowi uosobienie Żyda na podobny sposób, na jaki Wuj Sam uosabia dla nich ducha Stanów Zjednoczonych”. Ale skoro tak, mówi najsławniejszy dziś pisarz Żyd zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, zmierzmy się z symbolem Żyda ustanowionym przez Szekspira. Skutek jest ten, że ponad 500-stronicowa „Operacja Shylock” to najzabawniejsza, najprzekorniejsza i najokrut-

niejsza z wszelkich powieściowych diatrib dotyczących żydostwa jako fenomenu.

Wcześniej Roth napisał co najmniej parę książek, w których jeździ po żydostwie, własnym, cudzym i ogólnym, jak po tyłej kobyli. Ale „Operacja Shylock” przewyższa wszystko, co dotąd na ten temat fabularnie nie tylko on na-

go sobowtóra, ale mentalne przeciwieństwo. „Prawdziwy” Roth cierpi oto w Nowym Jorku na halucynacje wywołane środkami przeciwbólowymi. Uświadomiony co do źródła halucynacji odstawia medykament. Niby nic, ale pewnego styczniowego dnia 1988 roku dowiaduje się, że w Izraelu na procesie niejakiego Iwana Demianiuka, byłego ukraiń-

Perypetie obu Rothów wzbo-gacone wątkami sensacyjno-szpiegowskimi to osobna przygoda czytelnicza, więc śledzenie ich zostawmy ciekawskim. Powiedzmy tyle, że owo podwołanie ma swoje konsekwencje na różnych poziomach powieści. Choćby sprawa wspomnianego Demianiuka: sądzony w Jeruzolimie starszy pan, obecnie spokojny ogrodnik z Cleveland, twierdzi, że wcale żadnym eksoprawcą nie jest i mylą go z jakimś innym Demianiukiem... Co dla niektórych brzmi prawdopodobnie i jest osobnym przedmiotem wieloletniej już wojny oskarżycieli z obrońcami. Sprawa Demianiuka trwa notabene do dziś i jest już rozciągnięta między sądami w USA, Niemczech, a nawet w Polsce.

Na dobry ład nie wiadomo, kim jest ów sobowtór Rotha. Podszuwającym się pod pisarza oszustem czy jego halucynacją? Roth pisarz wprowadził go w pewnej chwili uśmierca (obdarowując rakiem), ale może to tylko chytry zabieg pisarski? Cała książka roi się od dwuznaczności, sprzecznych stanowisk, mylnych tropów, mieszanek prawdy z fikcją. Nie wiadomo, które z poglądów należą do Rotha pisarza, bohatera własnej książki, które do Rotha sobowtóra, a jeszcze które do autora „Operacji Shylock”, twórcy obu tamtych Rothów. Może wszystkie? Niektóre wyglądają na aberrację, inne brzmią racjonalnie. Ale co w historii Żydów jest racjonalne? I gdzie leży prawda?

Roth nie ma złudzeń. „Dlaczego Żydzi muszą pozostawać w konflikcie z samymi sobą? (...) Czy jest na całym świecie bardziej wieloraka osobowość? Nie mówię podzielona. Podzielona to jeszcze nic. Podzieleni są nawet goje. Ale w każdym Żydzie jest tłum Żydów. Dobry Żyd, zły Żyd. Nowy Żyd, stary Żyd. Wielbiciel Żydów, nienawidzący Żydów. Przyjaciół goja, wróg goja. Zarozumiały Żyd, zraniony Żyd. Pobożny Żyd, lajdacki Żyd. Szorstki Żyd, łagodny Żyd. Buntowniczy Żyd, łagodzący Żyd. Żydowski Żyd, odżydzony Żyd. Mam kontynuować?”

one step* cena 44,99 zł/
/kod: miasto221

Wiersze z antypodów Peter Skrzynecki pisze w Australii po angielsku, ale o polskim dzieciństwie

+++++ TADEUSZ NYCZEK

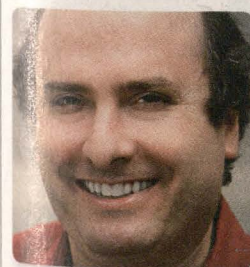
Pamiętacie Toma Hanksa, agenta pocztowego z filmu „Cast Away – Poza światem”? Po katastrofie samolotu znalazł się na bezludnej wyspie sam na sam z przyrodą i paroma paczkami, których już nie miał komu dostarczyć. W jednej z nich znalazł piłkę. Domalował jej oczy i nos i nazwał ją Wilson. Gdyby nie Wilson, do którego gadał jak do kumpla, zbliżowałby o wiele bardziej.

Człowiek pozbawiony swojego miejsca na ziemi i wrzucony w obce środowisko bardzo się przywiązuje do drobiazgów. Także do pamięci o „tamtych czasach”. Znają ten syndrom więźniowie i emigranci. Ci ostatni, nawet gdy już bardzo wrosną w nowe środowisko, wciąż traumatycznie wracają do przeszłości, która ich ukształtowała. Mitologizują ją oczywiście i po długim czasie nawet najgorsze przeżycia wydają im się dobre i pozytywne.

Peter Skrzynecki, dziś 65-letni, urodził się podczas wojny w Niemczech. Matka, Ukrainka z naszych dawnych Kresów, z czasem zmieniła się w Polkę z wyboru. Ojca biologicznego nigdy nie poznał. Prawdziwym ojcem stał się dla niego ojczym Feliks Skrzynecki, Polak zesłany na roboty do Niemiec. W 1949 roku wszyscy wyładowali na emigracji w Australii. Rodzice, prości ludzie, po dziesiątkach lat ciężkiej



Rowerek musiał być dla Piotrusia Australijczyka wielką frajdą



+++++

Znój i tortury

W „Zaginionym mieście Z” odnajdziecie ducha dawnych odkryć

„NIE JESTEM ODKRYWCĄ ani poszukiwaczem przygód. Nie chodzę po górach ani nie poluję, nawet nie lubię spać w namiocie” – deklaruje w „Zaginionym mieście Z” David Grann, reporter,

który mimo powyższych zastrzeżeń podąża drogą Percy’ego Harrisa Fawcetta. To właśnie Fawcett na początku XX wieku kilkakrotnie zapuszczał się w głąb amazońskiej dżungli, by badać zupełnie wówczas nieznane pogranicze boliwijsko-brazylijsko-peruwiańskie. Fizycznie niezniszczalny (nie miał się go tropikalne choroby), perfekcyjnie przygotowany – również na spotkania z Indianami, dla których żywił rzadki w tamtych czasach podziw i szacunek – skrupulatnie gromadził dowody na istnienie miasta Z. Bajecznego królestwa starożytnej cywilizacji, miasta skarbów

i skarbnicy wiedzy, kolejnej wersji mitycznego Eldorado. Pasja z czasem stała się obsesją, a Fawcett zaczął przypisywać Z rolę kosmicznego centrum, nowej Atlantyd. Wizja duchowej kolebki ludzkości pochłonęła go. I to dosłownie. W 1925 roku w towarzystwie syna i jego przyjaciela po raz ostatni wyruszył do dżungli. Nigdy więcej ich nie widziano. „Zaginione miasto Z” jest wnikliwą biografią Fawcetta, człowieka, który łączył zamięłowanie do nauki z udziałami w seansach spirytystycznych. Ale opowieść o „naukowym maniaku” spleta się u Granna z reporta-

żem (w końcu i on dał się skusić mitowi Z), historycznym komentarzem, refleksją nad czasami ostatnich eksploratorów i nad obsesją odkrywania w ogóle. Autor przemycił mnóstwo fascynujących faktów (tylko tu dowiecie się, jakim sposobem podstępne *Trypanosoma cruzi* zyskały przydomek „całujących robaków”) i cytatów z listów („Znój w dzień, w nocy tortury – oto życie odkrywcy. A gdzie cały romantyzm?” – rozpaczal pogryziony przez insekty towarzysz Fawcetta). Najważniejsze

jednak, że tę naszpikowaną wiedzą książkę pochłania się jak najlepszy kryminał. I tylko mi żal, gdy przeglądam imponującą bibliografię, że dotąd na język polski przetłumaczono zaledwie kilka pozycji i nie ma wśród nich żadnej książki Fawcetta. Czytać „Zaginione miasto Z” to jak stać u ujścia Amazonki ze świadomością, jak wiele jest jeszcze do odkrycia. Ja się piszę na tę wyprawę. A wydawcy? – Małgorzata Sadowska

David Grann „Zaginione miasto Z”,
tłum. Dominika Cieśla-Szymańska, W.A.B.,
Warszawa 2010, s. 442



pracy niespecjalnie się dorobili, ale jedynemu synowi zapewnił porządne życie i wychowanie. Chłopiec został pisarzem i wykładowcą literatury na Uniwersytecie w Sydney. Wydał kilkanaście książek wierszem i prozą. Po angielsku. Ale obsesje emigranta zostały w nim na zawsze. W ostatnich latach dwie z tych książek – „Bezdomne psy” i „Wróble ogród” – wyszły po polsku i każda dotyczy dzieciństwa małego Polaka na antypodach. Skrzynecki wciąż opisuje parę zaharowanych rodziców, przydomowy ogród, w którym ojciec spędzał cały czas wolny, swoje szczenię zabawy i zabawki, szkołę, powolne wrastanie w australijską rzeczywistość, prawie dlań wtedy księżycową.

Opowiadania są w najlepszym gatunku, niektórych nie powstydziliby się Jan Józef Szczepański i Kornel Filipowicz. Teraz ukazał się dwujęzyczny wybór wierszy. Mówią dokładnie o tym samym. Są właściwie lekko upoetyzowanymi refleksjami australijskiego pisarza spłacającego dług polskiemu pochodzeniu – ale i ziemi australijskiej, która Skrzyneckich przyjęła, skądinąd nie bez zgrzytów. Nawet mało wprawieni w wierszoczytanie nie będą mieli trudności z lekturą. Co bardziej sentymentalni przypomną sobie, że z podobnym wzruszeniem czytali kiedyś Wierzyńskiego, Hemara, Balińskiego. □



Philip Roth
„Operacja Shylock”, przeł.
Lech Czyżewski,
Czytelnik,
Warszawa 2009,
s. 532

one step* cena 48,99 zł/
/kod: operacja121

Kup
teraz!

Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji
na nr 70500, koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

one
step

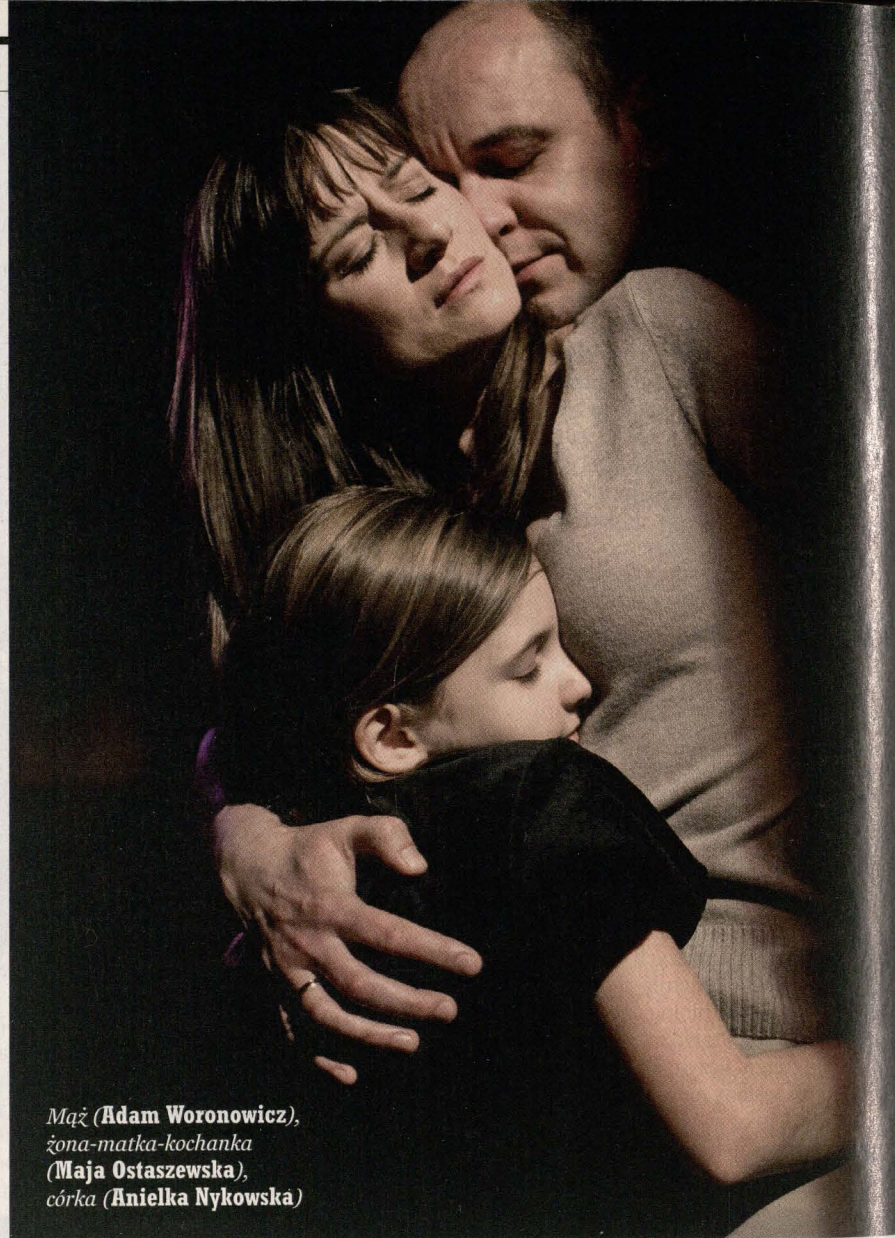
Wyślij SMS my oddzwonimy
zapłacisz przy odbiorze

Straszne baty zdążył już dostać Artur Urbański za ten spektakl – przynajmniej od stołecznej krytyki. „Wiarołomni” są bowiem jak wszystkie ostatnie przedstawienia z TR: nieefekciarscy, skupieni na problemie, podsuwający widzom nie tezy, ale spekulacje. Po raz kolejny testuje się wielkie wartości – wierność, odpowiedzialność, miłość. Nie ma już typowych dla dawnych Rozmaitości „skoków w ciemność”, pokazywania ludzkich mroków i dewiacji. Są za to studnie udręczenia zbudowane z psychologicznego, niemal tradycyjnego aktorskiego grania. Młodszy widzowie wychowani nie tyle na spektaklach z czasów duetu Jarzyna – Warlikowski, ile na pokoleniowej legendzie tego miejsca, mogą czuć się pogubieni. Bo dla Jarzyny, który dojrzewał razem z własną pierwszą publicznością Rozmaitości, już nie estetyka jest ważna, tylko etyka [nasz wywiad z reżyserem i zarazem szefem tej sceny znajdziecie na str. 60]. Rozumiem widzów, którzy odrzucają taki zwrot wizerunkowy w działalności TR, ale żal mi przedstawienia Urbańskiego, bardziej może ze względu na temat, jaki podejmuje, niż przesłonięty nim teatr.

Ten czterogodzinny thriller obyczajowy o trójkacie przyjacielsko-miłosnym, w który uwikłani zostają aktorka Marianna (Maja Ostaszewska), jej mąż, ceniony dyrygent Marcus (Adam Woronowicz), oraz przyjaciel domu, awangardowy reżyser David (Redbad Klijnstra), skupia się przede wszystkim na rozszyfrowywaniu poziomów narracji. O czym życiu jest to opowieść? Czy wchodzimy do głowy samego Bergmana destylującego własne doświadczenia? A może przyglądamy się losom jakiejś konkretnej kobiety? Albo uczestniczymy w wymyślaniu czyjegoś życiorysu na próbie teatralnej?

Urbański tego nie precyzuje, poziomy „prawdy” migoczą w jego spektaklu, zasłaniają się wzajemnie. Przynajmniej to wiadomo: Bergman, stary dziad, który wypróbował na sobie każdą odmianę męsko-damskiej relacji, zdradzał, był zdradzany, rozwodził się, flirtował, cierpiał i zadawał cierpienie. Jego późne scenariusze to summa doświadczeń, synteza wielu związków, jakie stworzył i zniszczył oświadczenie. „Wiarołomni” nie mogą być w takim razie ani moralitetem, ani kroniką zakazanej miłości. Nie są też nawet odpowiedzią na pytanie, dlaczego zdradzamy. Urbański pyta wyłącznie o realne skutki zdrady. Nie ocenia, nie poucza. Bohaterowie „Wiarołomnych” udowadniają, że zdrada jest zawsze świadoma. Wiedzą, że pociągną za sobą jakieś konsekwencje, ale odsuwają czas kary w nieokreśloną przyszłość. Robią krok w przepaść i podczas spadania zawsze patrzą w dół. Nie chcą ani na chwilę zamknąć oczu. Jakby wierzyli, że dna tak naprawdę nie ma.

Losy Marianny i Marcusa pokazują, że w miłości i życiu wszystko, nawet najmniej-



Mąż (Adam Woronowicz),
żona-matka-kochanka
(Maja Ostaszewska),
cóрка (Anielka Nykowska)

++++ LUKASZ DREWNIAK

W śmiertelnym zwarciu Bergman w TR Warszawa – zdrada i kara

szy gest, ma swoją cenę. Bergman analizuje tu kwestię hamartii, czyli „złędzenia” z tragedii greckiej. Czym jest wina tragiczna Marianny, która burzy swój spokój i szczęście, zdradzając męża? Maja Ostaszewska stawia akcent na jej pragnienie, żeby pełniej doświadczyć drugiego człowieka. Jeśli David jest jak brat i jest jej z nim cudownie, to co by było, gdyby został jeszcze kochankiem? Ciekawość, czy będzie inaczej, prowadzi do podmianny braterstwa na cielesność. Jest w tym geście cień uzurpacji, że swoją miłością, ciałem, dobrocią można się podzielić z innymi – żeby im pomóc, ocalić przed samotnością i niezdarnością.

Spektakl jest prawie doskonale asekualny. Nie ma w nim zmysłowości dojrzałego Bergmana z „Persony”, „Milczenia”, „Godziny wilka”. Nie czuje się zatracca oszalamiającą cielesnością, tętno nie skacze kochankom jak sza-

lone. Marcus Woronowicz – rzekoma ofiara grzechu Marianny, bo sam przecież zdradzał – jest oszczędny, wyciszony, schowany. Jakby chciał, żeby wszystko, co o nim mówią była żona i jej kochanek, okazało się prawdą. Kluczem do tej postaci jest opowiadanie Pirandella o mężczyźnie, który posiadał kobietę w niezrozumiałym ataku pożądania, a potem popełnił samobójstwo. Zrozumiał, że jego kobieta mogła w tym samym czasie zrobić to samo... Grzech drugiego człowieka jest lustrem, w którym przeglądają się nasze grzechy.

Bergman nie jest moralistą. Nie mówi: ludzie, nie róbcie tego czy tamtego. On tylko przypomina o skutkach naszych wyborów. □

„Wiarołomni” Ingmara Bergmana, reżyseria Artur Urbański, scenografia Magdalena Maciejewska, kostiumy Anna Nykowska, muzyka Hanna Kulenty, światło Jacqueline Sobiszewski, TR Warszawa

Kosmos z opowieścią „Mass Effect 2” polecamy, choć okropny polski dubbing może odebrać sporo przyjemności z gry

Najtrudniej o dobrą historię. Twórcy gier wiedzą o tym lepiej niż ktokolwiek inny. W filmie, książce i teatrze widz dostaje gotową, dobrą lub złą opowieść. Kupuje ją lub nie, ale nie marudzi, nie rozgrzebuje paluchem, nie przestawia. Tymczasem w grze, zwłaszcza RPG (czyli *role playing game*), chodzi właśnie o rozbabrywanie starannie ułożonej przez scenarzystów fabuły. Jeśli gracz zbyt szybko się w tym rozpędzi, to cała zabawa rozsypie się na mnóstwo niepowiązanych wątków.

Twórcy „Mass Effect 2”, ludzie z Bioware, nie są jednak nowicjuszami i potrafią zapanować nad niesfornymi graczami. Metoda jest prosta – trzeba ich traktować jak dzieci. Mądrze wychowywane dzieci. Mają zdążyć ku wyznaczonemu przez scenarzystę celowi, lecz po drodze trzeba im pozwolić się wyhasać, ale tak, by przy okazji niczego nie zepsuli.

To akurat zrealizowano w grze po mistrzowsku. Jako pan Shepard, wskrzeszony ogromnym nakładem sił przez tajemniczą organizację Cerberus, masz za zadanie (oczywiście) uratować ludzkość. Brzmi straszliwie schematycznie, ale na szczęście szczegóły okazują się tak wciągające, że wzniosły cel nie przeszkadza. Większość rozgrywki to realizowanie krótkich misji – epizodów poszukiwania kolejnych członków drużyny. Dostajemy więc zlecenie udania się w określone miejsce i odnalezienia kogoś. Oczywiście możemy też polecieć na drugi koniec galaktyki i zająć się czymś zupełnie innym, jednak trzeba wówczas pamiętać, że nie przybliży nas to do końca rozgrywki.

„Mięsem” „Mass Effect 2” są rozmowy – to z nich dowiadujemy się kolejnych sensacji o działalności Cerberusa i to one podtrzymują napięcie. Do rozmowy trzeba godnego partnera, dlatego dobrze skonstruowani bohaterowie to kolejny kluczowy element gry.

W „Mass Effect 2” mamy mnóstwo zróżnicowanych postaci, jednak pomyśl na przydanie im psychologicznej głębi jest iście hollywoodzkie. Otóż każdy członek elitarnej grupy uderzeniowej ma jakiś problem: jest smutny, sfrustrowany, nie kocha go żona lub zdechł mu chomik. Aż chce się powiedzieć: leżeć na kozetce, a nie latać w kosmos!

Nie mogło zabraknąć walki, a to kolejny mięski punkt RPG. Trzeba bowiem wielkiego wyczucia, żeby z gry mającej być opowieścią nie uczynić zwykłej strzelanki. Bioware dość typowo zdecydował się na uczynienie z potyczki serii scen podzielonych przezwami. Mało to dynamiczne, ale to rzecz gustu.

Na koniec sprawa przykra – polski dubbing, za który zabieramy jeden punkt (sama gra zasługuje na piątkę). Jest paskudny. Sztuczny. Niewiarogodny. Słychać to zwłaszcza w zestawieniu z oryginalnym. Aktorzy są dobrzy (między innymi Łukasz Nowicki i Sonia Bohosiewicz), więc w czym problem? Zapewne w procesie produkcyjnym. Podczas nagrywania dźwięku Polacy nie widzieli akcji, tylko czytali kwestie z kartki. Efekt, niestety, oplakany.

Czas więc na decyzję, czy kupuję tę historię, czy nie. No cóż, pomarudziłem trochę, ale wezmę. To jednak kawał soczystej, gęstej zabawy osadzonej w świetnie skonstruowanym świecie. Znowu trzy nieprzespane noce. □



„Mass Effect 2”, Bioware, Electronic Arts,
PC/Xbox 360, cena 130–200 zł

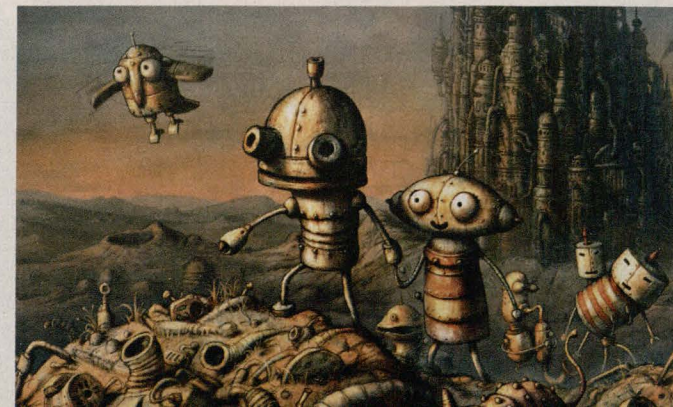
+++++ Bajka ze świata robotów

Drugiej tak pięknej i wciągającej gry po prostu nie ma – „Machinarium” to zakup obowiązkowy!

JEŚLI TWORZENIE GIER MOŻE być sztuką, to „Machinarium” jest dziełem wybitnym. Przygodówka niewielkiego czeskiego studia bez użycia słów opowiada historię miłości dwóch robotów w świecie przyszłości rodem z prozy Lema. Wyrzucony na złomowisko robot powraca do miasta, by odnaleźć porwaną ukochaną. Po drodze spotyka masę przyjaznych (bądź

nie) maszyn – dla jednych wykonuje zadania, inne musi w sprytny sposób ominąć. Gra zawiera też ogromną liczbę łamigłówek logicznych, których rozwikływanie jest niezwykle

frajdą dla umysłu. Całość urzeka wykonaniem. Znakomicie animowane postaci żyją w futurystycznym świecie, które powstało przy użyciu ręcznie wykonanych szkiców.



Obrazu dopełnia wyśmienita muzyka łącząca klasykę, jazz i nowe brzmienia. „Machinarium” to produkcja niezależna, niewspierana przez wielkie koncerty, przez co (lub dzięki czemu) dostępna wyłącznie przez Internet. Czas poświęcony na użycie karty kredytowej i pobranie gry na dysk nie jest jednak stracony. Można przecież bez dodatkowego oczekiwania pograć w darmową wersję demo i wpaść po uszy w przepiękny świat.

– Marcin Traczyk

„Machinarium”, Amanita Design, www.machinarium.net, PC/MAC, ok. 60 zł



LEKTURA

Katarzyna Janowska



NIE MÓGLBYM JUŻ ZROBIĆ „HAMILETA”

Na okładce albumu ze zdjęciami z twoich spektakli „Jarzyna: Teatr” siedzisz półnagi w pieleszach. Kiedy się patrzy na to zdjęcie, nie bardzo wiadomo, czy widzimy chłopca, czy już mężczyznę. Czy ty wiesz, kim jesteś?

– Zdjęcie zostało zrobione w ubiegłym roku. Właśnie się budzę i jestem nieprzytomny, jak zwykle rano. O tej porze nigdy nie wiem, kim jestem.

A kiedy zaczynasz wiedzieć?

– Mniej więcej około południa. A tak serio, to pytanie pojawia się, kiedy zaczynam pracować, gdy zbliżam się do teatru. Kiedy muszę wejść w rolę reżysera, dyrektora – sporo jest tych ról do odegrania.

W albumie umieściłeś zdjęcia ze wszystkich swoich przedstawień: od debiutanckiej „Iwony, księżniczki Burgunda” Gombrowicza po „Między nami dobrze jest” według Doroty Masłowskiej. Fotografie z jednej strony łapią chwilę, z drugiej są zapisem umierania nie tylko spektakli, ale i emocji, więzi, uczuć. Zamknąłeś w tych zdjęciach swoją młodość i młodość pokolenia, które dojrzało z TR. Nie za wcześnie na podsumowanie?

– Bałem się trochę publikacji tego albumu. Kiedy zobaczyłem zdjęcia zebrane razem, poczułem nostalgię. Nagle przemijanie jest na wyciągnięcie ręki. Nie przypuszczałem, że tak mocno to przeżyję. Ale cieszę się, że mam co podsumowywać. Zebrałem fotografie ze wszystkich spektakli bez wyjątku, z tych, które lubię, które były sukcesem, ale i zdjęcia pokazujące gorsze momenty.

Jako młody reżyser zrobiłeś sławny spektakl „Bzik tropikalny” (1997) według Witkacego rozbudowany o elementy z „Nowego wyzwolenia”. To był przełom estetyczny. Spektakl namalowany światłem, pulsujący obrazami, muzyką; w wersji telewizyjnej zmontowany naszym film był opowieścią o nienasyceniu. Był manifestem pokolenia, które wyruszyło na poszukiwanie siebie w świecie. Potrafiłbyś sobie wyobrazić, kim by byli dzisiaj?

– Brzechajłowie, polska rodzina – nawet nie konserwatywna, tylko tradycyjna z ograniczonymi horyzontami – dziś pewnie prowadziłaby jakiś mały interes. Podróżowaliby po świecie, staliby się dobrze osadzoną klasą średnią. Nie sądzę, żeby Jack, ich syn, który jako nastolatek szukał tajemnicy, przeżyć wyższej rangi, pozostał idealistą. Myślę, że dziś mógłby być profesjonalistą z dobrą pracą i lekki-

NIE PRZYPUSZCZAŁEM, ŻE TAK TRUDNO BĘDZIE PRZEŁOŻYĆ MARZENIA NA KONKRET – OPOWIADA **GRZEGORZ JARZYNA** W ROZMOWIE O DAWNYCH SPEKTAKLACH, BYCIU W TEATRZE I W ŚWIECIE, O WITKACYM I PASOLINIM ORAZ PLANOWANEJ NA 27 MARCA PIERWSZEJ CZĘŚCI „ODYSEI” W JEGO REŻYSERII W TEATRZE W ESSEN

mi odlotami w weekend. Wszystko pod kontrolą. Przykład młodego Polaka, który umie się znaleźć na salonach, dobrze się czuje za granicą. Wreszcie wyrachowana Ellinor manipulująca mężem i kochankami. Chyba dalej gra w te swoje gierki, choć nie mają one już tej temperatury co dawniej, bo aby wybrzmiały, potrzebny jest jej partner, który się nimi naprawdę przejmie, ideowicie.

Czyli Sydney Price? Co by się z nim działo, gdyby nie popełnił samobójstwa z miłości?

– Sydney Price odszedł. Chciałbym go wskrzesić, ale dziś, z perspektywy mojego wieku i doświadczeń wiem, że jego powrót jest niemożliwy. Tak czysty, otwarty, niepodejrzliwy człowiek nie przetrwałby w świecie.

Więc koniec złudzeń. Idealisci nie mają szans. W jakimś wywiadzie mówiłeś, że kiedy 13 lat temu przyjechałeś do Warszawy, byłeś naiwnym chłopcem, marzycielem. Tego chłopca już nie ma? Nie przetrwał?

– Nie przypuszczałem, że tak trudno będzie przełożyć marzenia na konkret.

Album, w którym zebrałeś swoje spektakle, pokazuje, że jednak się udało. Cena była wyższa, niż myślałeś?

– To jest chyba normalne, że człowiek przed trzydziestką wyobraża sobie, że będzie wiódł takie życie jak wcześniej, to znaczy kręcące się wokół marzeń. Na dodatek w tym okresie dużo się dostaje od innych ludzi, można z nich czerpać, uczyć się od nich, zachwycać się nimi. Po trzydziestce trzeba zacząć spłacać rachunki. Nauczyć się, że aby coś dostać, trzeba najpierw dać. Nagle okazuje się, że nie tylko ja mam marzenia, że inni też je mają i chcą się na nie otworzyć, bo to jest czas, kiedy albo się coś uda zrobić, albo nie. I w przestrzeni robi się ciasno od ludzi i ich pragnień. Na to wszystko nałożyła się dodatkowa trudność: sytuacja społeczno-ekonomiczna w Polsce, która nie sprzyja realizacji artystycznych wizji. →



Danuta Szaflarska i Aleksandra Popławska w „Między nami dobrze jest”

→ **Miałeś szczęście do ludzi?**

– O tak. Jako chłopiec byłem introwertyczny, ale zawsze znalazł się ktoś, komu udało się do mnie dotrzeć. W liceum miałem świetną polonistkę, która stawiała mi dwóję, bo notorycznie zawałałem bieżące rzeczy, ale jednocześnie chwaliła moje lektury, mobilizowała do aktywności. Na studiach zajęcia z estetyki miałem ze świetnym Piotrem Mrozem, z którym wspólnie wyruszyliśmy na wyprawę śladami Malinowskiego i Witkacego do Azji i Papui-Nowej Gwinei. Z wykładowcy przemienił się w kompana podróży, co też było bardzo ciekawe. Później pojawił się Krystian Lupa. Zawsze miałem kogoś, kogo podziwiałem, stawałem na piedestale.

Zastanawiam się, skąd miałeś tyle odwagi, żeby w wieku dwudziestu paru lat przyjąć propozycję zostania dyrektorem Teatru Rozmaitości?

– Myślę, że nie odważyłbym się na to, gdybym był jedynakiem. Miałem bardzo silne oparcie w domu, poczucie więzi z bliskimi, a szczególnie z bratem. Cokolwiek się działo, wiedziałem, że brat będzie po mojej stronie, w momentach kryzysowych zawsze mogłem na niego liczyć. Co nie znaczy, że jest wobec mnie bezkrytyczny.

Poza tym dzięki niemu zyskałem przekonanie, że nie ma rzeczy niemożliwych. Starszy brat torował drogę. Wyznawał zasadę, że jak się czegoś naprawdę chce, to można to osiągnąć. Pierwsze wyprawy

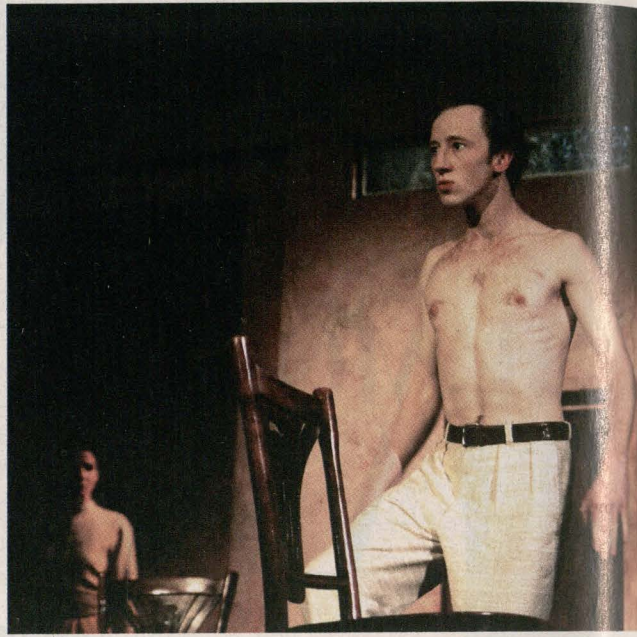
do Azji organizowaliśmy wspólnie. Chcieliśmy jechać na Islandię, to jechaliśmy. Chcieliśmy samochodem terenowym zwiedzić Skandynawię, to zwiedzaliśmy. Okupione to było różnymi wyrzeczeniami, ale udawało się. Z tamtego czasu wyniosłem przekonanie, że wiele rzeczy udaje się zrobić, jeśli ma się koło siebie drugiego człowieka. Za szaleństwa młodości często płaci się wysoką cenę, a tymczasem mnie udało się przejść przez ten czas stosunkowo łagodnie dlatego właśnie, że w wielu trudnych sytuacjach byliśmy we dwóch.

Mógłbyś dziś zrobić taki spektakl jak „Magnetyzm serca” według „Ślubów panieńskich” Fredry, opowieść o pierwszej, dziewiczej miłości?

– Pewnie już nie. Tak jak nie mógłbym dziś zrobić „Hamleta”. Nie czułbym rozedrgania, napięcia, które jest w tej sztuce.

Przynależy do młodości, ale potem też gdzieś w nas tkwi, tylko jest bardziej ukryte.

– Trzeba dużego rozwibrowania, żeby takie emocje z siebie wydobyć. Wracając do pytania o to, dlaczego zdecydowałem się kierować Rozmaitościami: propozycja wyszła od zespołu, z którym zrobiłem dwa spektakle. Uznałem, że jest okazja, żeby zrealizować swoje idealistyczno-utopijne marzenia. Dzięki temu nie musiałem czekać, aż dyrektor jakiegos teatru zaprosi mnie do zrobienia spektaklu, mogłem działać. Miałem scenę, akto-



Cezary Kosiński jako Sydney Price w „Bziku tropikalnym”

rów, którzy mi ufali. Ale szczerze mówiąc, myślałem, że inaczej to będzie wyglądało. Tymczasem nie mając żadnych narzędzi, zderzyłem się ze wszystkim, co wiąże się z prowadzeniem instytucji. Nie wyobrażałem sobie, że aż tyle energii będę musiał oddać temu przedsięwzięciu.

Kiedy przegląda się album, widać wyraźnie słabsze artystycznie lata, w których bardziej niż w sztukę byłeś zaangażowany w instytucję. Warto było?

– Z jednej strony musiałem oddać temu miejscu bardzo dużo energii, ale z drugiej miałem solidną bazę, która dodaje reżyserowi pewności, stanowi fundament, na którym można budować. Jak pewnie każdy artysta zawsze się bałem, że po latach twórczych przyjdą okresy posuchy, kiedy nie bardzo wiadomo, co ze sobą zrobić. A widzę po swoich kolegach, jak trudno im po czasie niemocy wrócić do pracy. Myślę, że gdyby nie stały zespół i to miejsce, zdecydowanie mniej udało mi się osiągnąć. Ludzie mnie inspirowali, przypominają o sobie i pewnie także dlatego mam ciągle poczucie rozwoju, świat mi się coraz bardziej rozszerza. Widzę rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałem, dotykam spraw, które jeszcze niedawno były dla mnie niedostępne.

Grzegorz Jarzyna, 42 lata, reżyser, dyrektor naczelny i artystyczny TR Warszawa. Rozgłos i miano rewolucjonisty radykalnie odnawiającego polski teatr przyniosły Jarzynie już pierwsze spektakle: „Bzik tropikalny” według Witkacego (1997), „Iwona” Gombrowicza (1997), „Niezidentyfikowane szczątki ludzkie” Fräsera (1998) i „Magnetyzm serca” według Fredry (1999). Ostatnio zrealizował „T.E.O.R.E.M.A.T.” na podstawie Pasoliniego (2009) i „Między nami dobrze

jest” Masłowskiej. Jego przedstawienia gościły na wielu scenach zagranicznych. W roku 1999 i 2009 otrzymał Nagrodę imienia Konrada Swinarskiego dla najlepszego polskiego reżysera. Nakładem Agory i TR Warszawa ukazał się właśnie album „Jarzyna: Teatr/Theatre” dokumentujący wszystkie spektakle artysty.



Czego wcześniej nie widziałeś?

– Teraz, po czterdziestce, mam poczucie, że sztuka robi się coraz bardziej totalna, że poszerza się spektrum tematów, które mogą poruszyć. Wcześniej uważałem, że jestem ograniczony miejscem i przestrzenią, którą widzę i w której żyję. Teraz wierzę Witkacemu, który mówił, że jesteśmy częścią wielości i że dzięki temu otwiera się przed nami nieograniczony ocean myśli. Za granicą ciekawią mnie rozmowy z ludźmi, którzy opowiadają o swoich korzeniach, o tym, jak widzą jakieś zjawiska. Kiedy jako bardzo młody człowiek podróżowałem po Azji, kochałem inność, ale to była dla mnie wówczas inność metafizyczna. Wszystko, co tam widziałem, było tak odległe, że jawiło mi się jako dowody na istnienie absolutu. To uczucie z czasem zniknęło. Tańce obrzędowe, którymi przed laty zachwyłem się na Bali i które tak bardzo mnie inspirowały, przestały na mnie działać. Uznałem, że może z czasem stałem się mniej podatny na tego rodzaju trans. Ale obejrzałem stare kasyety VHS i okazało się, że kiedyś te tańce były lepsze technicznie. Tancerze z wielką precyzją wykonywali swoje ruchy. Chodziło im o coś więcej niż tylko taniec. Mam wrażenie, że dziś się to skomercjalizowało, ześwieczyło, a co za tym idzie – tajemnica wyparowała. Dlatego nie wystarcza mi już poszukiwanie inności, teraz chciałbym ją poznawać. Interesuje mnie człowiek i jego bardzo różne sposoby odnajdywania się w świecie. Przez długi czas wydawało mi się, że jesteśmy zaprogramowani przez tradycję, kulturę, która nas ukształtowała. Teraz wiem już, że człowiek jest o wiele bardziej nieprzewidywalny.

Urodziłem się w 1968 roku. Wtedy też powstał film Pasoliniego „Teoremat”, w którym odbija się czas rewolucji końca lat 60. Od dziecka mam poczucie rozszerzania się granic wolności w świecie, w którym przyszło mi żyć. Cieszę się, że nie urodziłem się na Zachodzie, o czym wszyscy – jak wiemy ze sztuki Doroty Masłowskiej – w pewnym momencie marzyliśmy. Tam wszystko od lat jest dane, a co za tym idzie – panuje rodzaj

Przygotowując swoje spektakle, nigdy nie kierowałem się myślą, że chcę powiedzieć to lub tamto. Moje sztuki rodziły się z poczucia niewygody, z chęci opisania jakiegoś zjawiska

GRZEGORZ JARZYNA

bezpiecznej stagnacji. U nas przeciwnie. Rzeczywistość to nieustanne *work in progress*.

Czujesz się artystą zaangażowanym? Wychodziłeś z TR w miasto, w twoim teatrze odbywały się dyskusje prowadzone przez szefa „Krytyki Politycznej” Sławomira Sierakowskiego. Jan Klata pokazał u ciebie „Szewców” Witkacego, przedstawienie z bardzo wyraźnymi akcentami politycznymi.

– Moje sztuki rodziły się z poczucia niewygody, z chęci opisania jakiegoś zjawiska. Tak było z „Niezidentyfikowanymi szczątkami ludzkimi” Fräsera, nie najlepszym tekstem, którego nie lubiłem, bo był odległy od tego, co myślałem, ale jednocześnie zmuszał do refleksji, do zauważenia problemu, który był nienazwany.

Co prawda film Pasoliniego powstał w 1968 roku, ale moim zdaniem dziś dobrze przylega do pol-

skiej rzeczywistości. Mówi o tym, że wszyscy tkwimy po uszy w konsumpcji, we wszechwładnym systemie, od którego jesteśmy uzależnieni. Jedyna według Pasoliniego droga ucieczki to powrót do myślenia sakralnego, do czasów, kiedy jeszcze bogów nie wynaliliśmy z naszego życia i świata. To nie jest odkrywczą myśl, ale warto się z nią zmierzyć. Sam mam poczucie, że doszedłem w swoim życiu do granicznego momentu. Teraz już wiem, w którą stronę patrzeć, z kim rozmawiać, co przeczytać, jakie ruchy wykonać, żeby osiągnąć cel. Wcześniej to wszystko było, ale nie poukładane, chaotyczne.

To się nazywa dojrzałość. Śmiesz się, ale jak to inaczej określić? Album nosi tytuł „Jarzyna: Teatr”. Twoje życie to tylko teatr?

– Nie chciałbym, żeby tak było, ale ostatnich kilkanaście lat po brzegi wypełnił mi teatr. Każda osoba, która miała ze mną coś wspólnego prywatnie, musiała być jakoś z teatrem związana. Mam klapki na oczach, widzę tylko teatr, nawet jak chcę zobaczyć coś innego, to teatr gdzieś i tak się pojawia.

Mężczyzna po czterdziestce mógłby już być ojcem. Nie brakuje ci tego?

– Chyba do tej pory nie byłem na tyle dojrzały, by podejmować tak poważne decyzje życiowe. Teraz zaczynam na to patrzeć inaczej. Czterdziestka była w moim życiu ważnym progiem. Mówi się, że 33 lata to wiek, który mężczyzna jakoś szczególnie przeżywa – chrystusowe lata. Dla mnie ten moment był znaczący, ale z innego powodu. Wtedy, w dniu moich urodzin, zmarł mój ojciec. To mnie całkowicie wybiło z wcześniejszego rytmu. Ojciec był osobą, do której zawsze mogłem się odwołać, by usprawiedliwić swoje błędy, znaleźć wymówkę dla niepowodzeń. Wystarczyło powiedzieć: „Ojciec tak chciał. To jego wina”.

Z czasem uświadomiłem sobie nie tylko to, jak wiele mam z ojca, ale też, że nie ma wyraźnego podziału na mnie i na niego. Jest jakaś ciągłość, smuga, która trwa dalej.

Przygotowujesz dla teatru w Essen opowieść o Odyszeuszu. Twój spektakl stworzy duży teatralny projekt. Kim będzie twój Odys?

– Na pewno nie będzie bohaterem powracającym z wojny w glorii i chwale. Jest przegrany człowiekiem, który po latach tułaczki wraca do domu z utopijnymi wyobrażeniami bogów i świata, którego już nie ma. W swoim przedstawieniu nawiązuję do sztuki Wyspiańskiego „Powrót Odysa”, która wydaje mi się aktualna. W rodzinne strony powraca człowiek obciążony winą, a wina ta ma swoje korzenie w jego nierozliczonych relacjach z ojcem. Wyspiański nazywa to klątwą, w mitologii greckiej mówimy o fatum, które ciąży i z którym bohater nie ma siły się skonfrontować. Ucieczka od fatum pociąga za sobą tragiczne konsekwencje, bo przechodzi ono z ojca na syna. Odys jest jednocześnie synem Laertes i ojcem Telemacha, którego nie widział 20 lat. Musi poznać swojego syna w ciągu kilku dni. Te spotkania są dla mnie nie do wyobrażenia.

A ty czujesz się wolny? Czy może masz poczucie, że jakaś siła kieruje twoim życiem?

– Mam przekonanie, że fatum wisi nad życiem każdego człowieka, ale jednocześnie towarzyszy mi chrześcijańskie przekonanie, że możemy zmieniać nasze przeznaczenie, że powinniśmy rozmawiać z losem. Przemawia do mnie biblijna przypowieść o talentach. Każdy z nas został w nie wyposażony. Pytanie, co z nimi zrobimy? □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

OTWÓRZ
oczy

Ubiegłoroczna
„Księga dżungli”
Kiplinga (Media
Rodzina, nowy
przekład Andrzeja
Polkowskiego)
z ilustracjami
Wilkonia zrobiła
prawdziwą furorę

MENAZERIA WILKONIA



NA JEGO ILUSTRACJACH WYCHOWAŁO SIĘ KILKA POKOLEŃ POLAKÓW I ZNÓW WYCHOWUJĄ SIĘ KOLEJNE. MISTRZ **JÓZEF WILKOŃ WŁAŚNIE KOŃCZY 80 LAT**. I NIE PRZESTAJE RYSOWAĆ

To Wilkoń ma 80 lat? A to mnie pan zaskoczył! – mówi Magdalena Kłos, szefowa Wytwórni, jedna z wydawczyń książek Wilkonia. Rzecz jasna, pamiętała o urodzinach, ale myślała, że artysta jest o wiele młodszy. Zresztą nie tylko ona, bo Józef Wilkoń mimo słusznego wieku nie prowadzi życia cichego staruszka. Ciągłe bywa na swoich wystawach i targach książki, uwielbia spotkania z małymi czytelnikami, w żaden sposób nie stroni od mediów i nieraz beszta publicznie książki dla dzieci, które mu się nie podobają. Nie żyje przeszłością, wciąż tworzy nowe rzeczy. Jest niepokorny i pełen energii, co zresztą widać w jego pracach.

Ilustracje Wilkonia łączą w sobie fascynację sztuką Wschodu, malarskie zamiłowanie do odważnego, dynamicznego operowania plamą i kolorem z graficzną prostotą. Najczęściej maluje przyrodę i zwierzęta, które lubi wprawiać w ruch ekspresyjnymi i zdecydowanymi pociągnięciami pędzla. Nie idealizuje i nie ugrzecznia natury: jeśli maluje dżunglę, to mroczną, niebezpieczną i tajemniczą, a nie wesołą i kolorową. Jego wilki ma-



Ilustracje do „Don Kichota” to wciąż nieukończony projekt, nad którym artysta pracuje z przerwami od lat 60.

ją nieprzewidywalną naturę i nieokiełznaną powierzchowność. Nawet na pozor miły kotek na rysunkach Wilkonia nieraz sprawnie ucap i zdusi mniejsze stworzenie. To prace pełne życia w całym jego dramacie, bywa, że i śmierci. Tak jak w niewydanej jeszcze w Polsce książce „Pani Drozdowa” (opublikował ją szwajcarski Bohem Press) opowiadającej o dwóch ptakach, a w istocie o Wilkoniu i jego zmarłej żonie. Twórca podkreśla, że nie znosi infantyilizacji natury, która panuje w książkach dla dzieci, jak również infantylnego obchodzenia się z najmłodszymi.

– Zawsze traktowałem dzieci bardzo poważnie. Nie sędzę, by należało im upraszczać świat, bo i tak za chwilę spotkają się z rzeczywistością. Nie zamierzam tworzyć „strawnych potraw”. Nie cierpię także całego tego szczebiotania i sytuacji, gdy starsi dostosowują się do języka maluchów. Owszem, tworzę dla nich, ale jednocześnie mam swoje wymagania artystyczne. Wierzę, że dzieci są wrażliwe na sztukę, bo mają nieskrępowaną wyobraźnię – mówi „Przekroju” Józef Wilkoń. Zaznacza wprawdzie, że człowiek w ogóle go nie interesuje (bo nie potrafi właściwie ko-

rzystać z rozumu), lecz często personifikuje swoich czworonożnych bohaterów. Trzyma się przy tym jednej zasady:

– Nie używam postaci zwierząt zgodnie z tradycją La Fontaine’a. Nigdy nie wykorzystuję ich do przedstawienia jednej ludzkiej cechy, zwłaszcza negatywnej.

Z ludźmi Wilkoń się nie patyczkuje. Gdy spojrzymy na ilustracje do „Pana Tadeusza” (Arkady, 1973), zauważymy, że mistrz nie poświęcił postaciom wiele uwagi, to przyroda odgrywa pierwszoplanową rolę. Podobnie jak w „Baśni o rumaku zaklętym” Bolesława Leśmiana (Oficyna Olszynka, 2006), gdzie człowiek stanowi dodatek do dynamicznego i rozbrykanego wierzchowca oraz przebogatego wschodniego krajobrazu. Wilkoniovi ludzie, w przeciwieństwie do wilkonioowych futrzaków, nie wzbudzają sympatii. Za istotami dwunożnymi sam autor nie przepada, to i nie chce ich sympatycznie rysować.

Szturm na Japonię

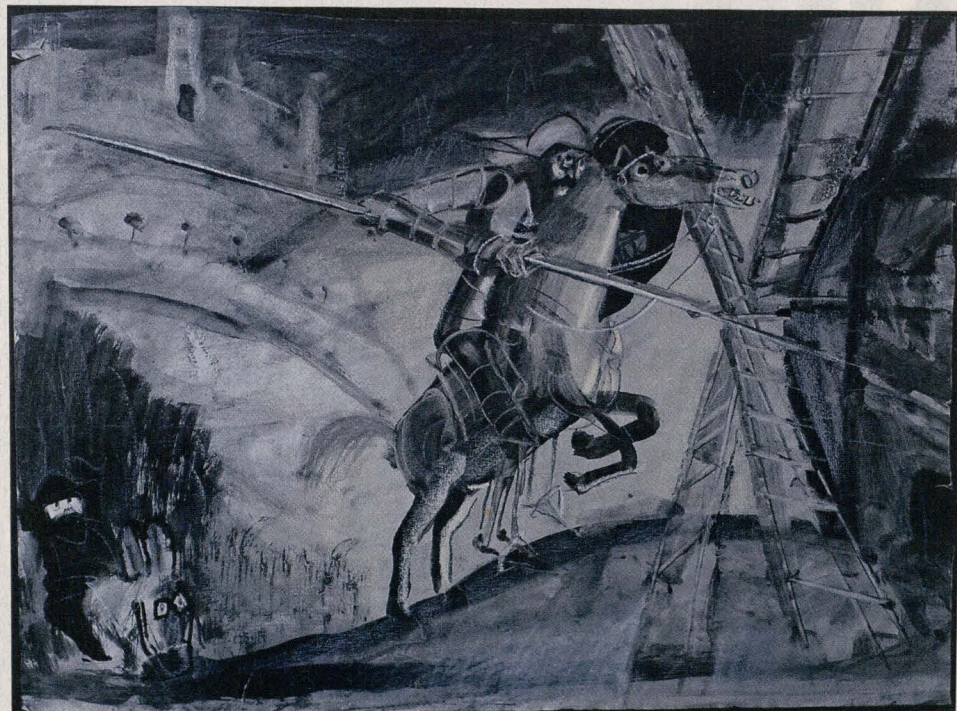
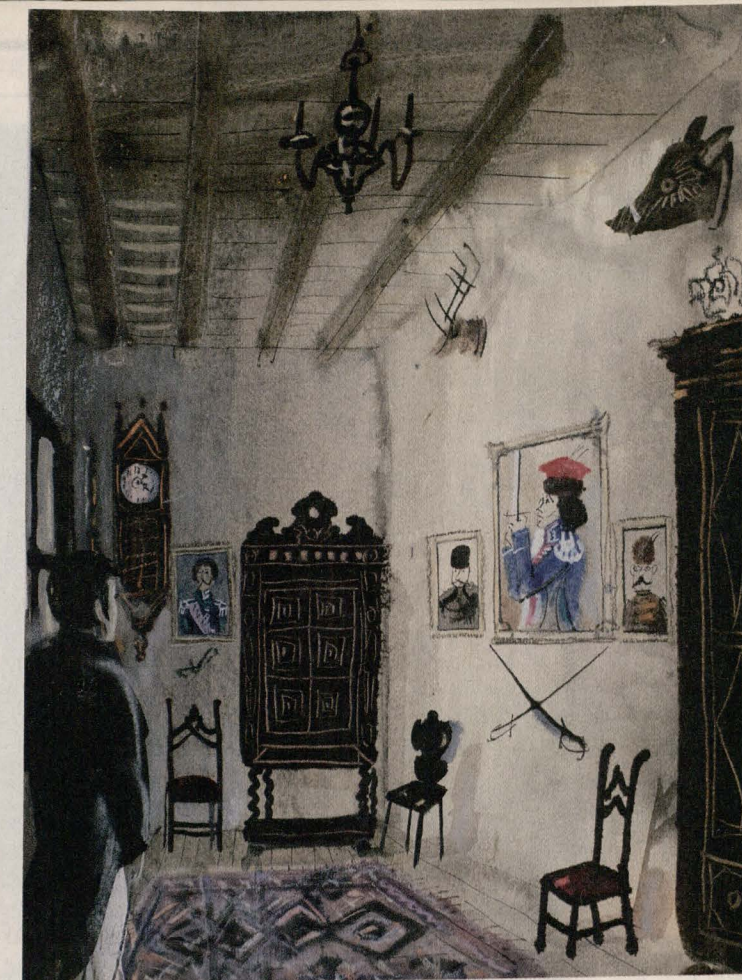
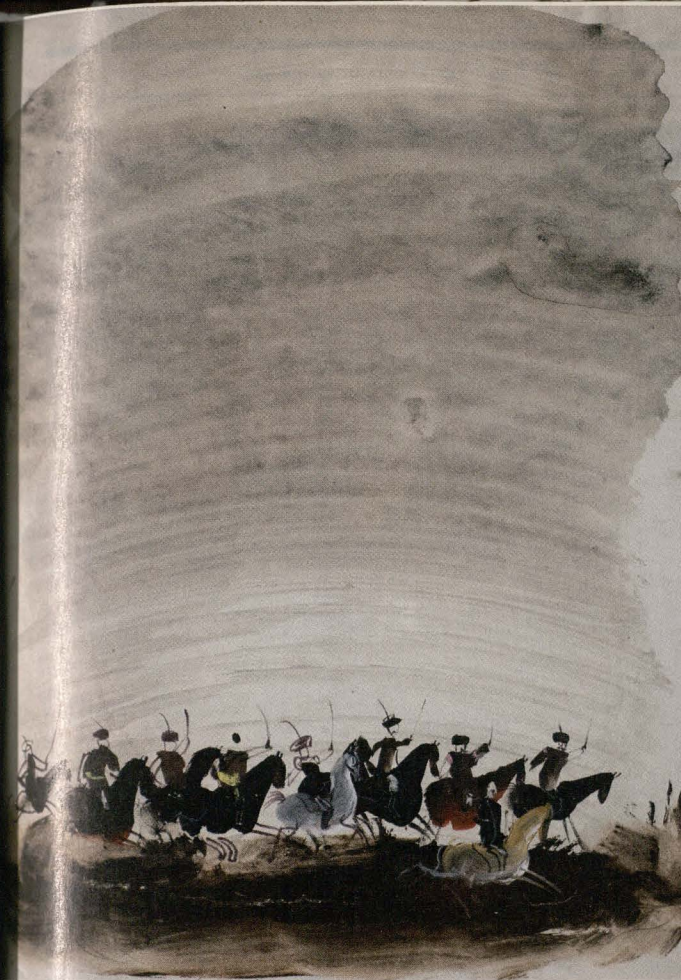
Początki jego sukcesów to lata 60. Przez cały okres PRL-u pracował dla polskich państwowych wydawnictw i zilustrował dla nich kilkadziesiąt książek. To dzięki nim dostrzeżono Wilkonia na Zachodzie. Zagranicznym debiutem artysty była niemiecka edycja książki „Iv i Finetta” (1963) z tekstem Natalii Gałczyńskiej. Mieszkając i pracując w Polsce, z powodzeniem drukował swoje prace również we Francji, w Szwajcarii czy we Włoszech i zdobywał tam nagrody.

– Nigdy nie miał kompleksów, świetnie mówi po francusku i niemiecku, jest przebojowy i uśmiechnięty. Nic więc dziwnego, że potrafił się porozumieć z obcokrajowcami – wspomina Joanna Olech, autorka książek dla dzieci i krytyk literatury dla młodego czytelnika.

Początki zagranicznej kariery nie były jednak łatwe, bo artysta, znany dziś z bezkompromisowości, musiał ilustrować dydaktyczne teksty, które mu się nie podobały.

Dopiero w latach 70. zaczął stawiać warunki i lansować własnych autorów, którzy często pisali tekst pod jego →

Z prawej ilustracje do „Pana Tadeusza”. Dwie prace umieszczone na górze nie znalazły się w książce





Podwodna odłona „Księgi džungli”



„Baśń o rumaku zaklętym” z „Klehd sezamowych” Bolesława Leśmiana przyniosła kilkadziesiąt nowych ilustracji Wilkonia

ILUSTRACJE Z KSIĄŻEK: „KSIĘGA DŻUNGLI” DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA MEDIA RODZINA (2), „KICI, KICI, MIAU” DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA HOKUS-POKUS, „BAŚŃ O RUMAKU ZAKLĘTYM” DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA OFICyna OLSZYNKA (3), „DUŻO ŚMIECHU, TROCHĘ SMUTKU TO HISTORIA O MAMUTKU” DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYTWÓRNI 2008; FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI (9)

„Dużo śmiechu, trochę smutku, to historia o mamutku” – bajka Wiktora Woroszyńskiego z 1961 roku

→ „scenariusz”. Schyłek lat 80. to początki współpracy z Japończykami. Szturmem zdobył tamtejszy rynek i galerie. Co ciekawe, szczyt jego popularności w Kraju Kwitnącej Wiśni przypadł na lata 90., gdy poza ilustrowaniem zaczął się zajmować rzeźbą w drewnie. Wprawdzie zmienił medium, ale tematyka pozostała ta sama – natura i zwierzęta. Dziś to właśnie Japonia posiada najwięcej prac Wilkonia. Kolekcja złożona z 200 grafik i rzeźb znajduje się w muzeum ilustracji w miejscowości Oshima (w prefekturze Toyama).

Również w Polsce kilka lat temu mogliśmy oglądać (w stołecznej Zachęcie) jego Arkę pełną drewnianych stworzeń, których dzieciaki ochoczo dosiadały.

W świecie kredowego papieru

Wraz ze zmianą ustroju nastąpiła transformacja estetyczna, która nie ominęła rynku wydawniczego. Zakochani we wszystkim, co zachodnie, odrzuciliśmy to, co kojarzyło się z PRL-em. W kąt powędrowały również książki dla dzieci tworzone zgodnie z estetyką wypracowaną przez tak zwaną polską szkołę ilustracji. Henryk Tomaszewski, Jan Marcin Szancer, Janusz Stanny czy Józef Wilkoń w latach 90. trafili więc do lamusa, a księgarnie wypełniły się disnejopodobnymi wyrobami rysowanymi przez amatorów lub tanimi pozycjami na licencjach. Ambitni klasycy przestali być potrzebni. Ich książki kojarzyły się z socjalistyczną, fatalną poligrafią, szarym papierem i przygaszonymi barwami.

– Socjalistyczna, siermiężna poligrafia rzeczywiście odstraszała. Natomiast dyrektorzy artystyczni w państwowych wydawnictwach byli profesjonalistami. I współpracowali z profesjonalistami. Aż tu nagle zalał nas kicz, w dodatku ludzie właśnie to chcieli kupować – mówi Joanna Olech.

Większość kolegów Wilkonia nie potrafiła odnaleźć się w nowej rzeczywistości, nie udało im się zaistnieć w świecie kredowego papieru, więc przeszli na emeryturę.

– Sądziłem, że przez te kilkadziesiąt lat wyrobiliśmy gust Polaków, ale okrutnie się pomyliłem – wspomina artysta. On jednak się nie poddał. Nie wyjechał z kraju, ale wykorzystując wcześniejsze zagraniczne kontakty, zaczął tworzyć już wyłącznie na eksport. Z polskich księgarni zniknął praktycznie na 15 lat.

Powrócił dzięki małym firmom wyspecjalizowanym w ambitnej dziecięcej literaturze. – Nie mogłam znaleźć żadnych ciekawych książek dla mojego dziecka, więc sama założyłam wydawnictwo – tłumaczy Magdalena Kłos. W 2006 roku opublikowała opowiadanie o mamutku z ilustracjami Wilkonia, reprint sprzed ponad



40 lat. Pojawiły się także jego książki z Zachodu – „Wilczek” – czy tworzona specjalnie z myślą o Japonii „Czarna góra”. O Wilkoniu znów zaczęło się mówić, a do jego domu w Zalesiu pukali kolejni wydawcy. Artysta zaczął tworzyć także zupełnie nowe rzeczy, jak choćby wspomnianą „Baśń o rumaku zaklętym” czy „Kici kici miauu”. Dziś jego bibliografia liczy ponad sto pozycji, a ilustrator powrócił do mainstreamu. „Księgę džungli” z jego pracami opublikowało niedawno wydawnictwo Media Rodzina. Co ciekawe, książka ma dwie okładki – rynkową z tygrysem oraz drugą, autorską, która ukazała się w nakładzie 400 sztuk, przedstawiającą sferę wilków. – Wydawca uznał, że mój pomysł jest zbyt mroczny. Musieliśmy jakoś to rozwiązać – tłumaczy Józef Wilkoń.

12 lutego artysta kończy 80 lat, nie wybierając jednak na emeryturę. Jeszcze w tym roku ukaże się „Pieskie życie”, które sam napi-

sał i zilustrował zdjęciami rzeźb przetworzonych komputerowo. Artysta wrócił również do „Don Kichota” Miguela Cervantesa, projektu, który rozpoczął jeszcze w latach 60.

– „Don Kichot” miał pecha. Pierwsze ilustracje zrobiłem dla Francuzów, ale nie z tego nie wyszło. Potem pokazywałem je na poplenerowej wystawie w Orłowie, skąd większość została skradziona. Obok wisiały dzieła Kantora, ale złodziej wolał moje prace. Miał dobry gust – uśmiecha się Wilkoń. – Nie wiem, gdzie teraz są te rysunki, ale byłoby wspaniale, gdyby zostały opublikowane. Gdziekolwiek, w jakiegokolwiek postaci.

Jego powrót na rynek i romans z dużym wydawcą świadczą o tym, że ludzie wychowani na pracach artysty nie zapomnieli o nim i chcą, by ich dzieci również poznały wilkoniową menażerię. Miejmy nadzieję, że w swoich ilustracjach jeszcze nieraz pokaze pazur. □

Przygodę z drewnem artysta rozpoczął w latach 90. Rzeźby z ilustracji, sfotografowane i przetworzone komputerowo, znajdują się w zapowiadanej książce „Pieskie życie”



ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

KRZYŻÓWKA O DZIADKU PUTINA (MRÓZ), A JOLKA O BABCI OBAMY (KENIJK), SZARY O MIŁOŚCI, A KURKIEWICZ DLA ODMIANY O ŚMIERCI

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Kocham cię, kochanie moje, czyli miłość ci wszystko wypaczy

SZARA ZGADZA SIĘ, ŻE NATURE nie znosi próżni. Gdy przestaliśmy wierzyć w noc kupały, od razu należało uwierzyć w coś innego. Choćby w Walentynę, o której nawet kobiece zespoły śpiewały bałwochwalcze piosenki, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że Tierieszkowa uroda nie grzeszyła, z twarzy przypominała swoją koleżankę po fachu Łajkę i doprawdy trzeba było mądrej wiary (w komunizm), by się w niej zakochać. Walentyna

była jednak tylko chwilką, jak osiemnaste mgnienie wiosny, w historii człowieczej potrzeby wiary. Tak naprawdę kupaliśmy w coś innego. Choćby w Walentynę, o której nawet kobiece zespoły śpiewały bałwochwalcze piosenki, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że Tierieszkowa uroda nie grzeszyła, z twarzy przypominała swoją koleżankę po fachu Łajkę i doprawdy trzeba było mądrej wiary (w komunizm), by się w niej zakochać. Walentyna

nas schować. Dziś zakładka „walentynki” jest już nawet na takich stronach jak www.halloween.friko.net. Dziewczyna, która nie kocha równie mocno jak Julia, czy młodzian, który nie chce podążać szlakiem Romea i umrzeć z miłości, nie są godni miana człowieka. Leczą człowiek dysponuje teraz tylko brakiem czasu – dlatego Tristan i Izolda mają szansę spotkać się jedynie na tak zwanej randce błyskawicznej. Spotkać się, ale nie poznać, więc randka najczęściej kończy się powstaniem pary mutantów: Tristan i Julia czy Romeo i Izolda. Szarzy nie mają wątpliwości, że handel nie znosi próżni. No bo jak to? Właśnie ukradkiem wyrzucamy na śmietnik choinki, sklepy robią soldy, a jeszcze nie możemy

rozpocząć szaleństwa barankojajeczno-zajęczkowego! Starsi mają prawo popaść w schizofrenię, bo przez 44 (właśnie tak!) lata słyszeli z ust polityków: „Obywatelu, jest kryzys, błagamy, powstrzymajcie się z konsumpcyjnymi zapędami!” teraz zaś słyszą: „Obywatelu, jest kryzys, błagamy, kupujcie jak najwięcej!”. Tylko czy pluszowe misie (skąd ta inwazja misiów? Czy dlatego, że mówi się: „Podobasz misie?”) i serduszką uratują nas przed recesją, bezrobociem oraz spadkiem PKB? Może premier powinien wpisać ich produkcję do swojego planu ratowania naszej gospodarki? Komedia romantyczna (które nie były komediami ani nie były romantyczne) oraz cywilizacja romantyzmu straszły nas przez cały

rok, ale w walentynki miały swoje apogeum. Kartki, piosenki, dzwonki, tapety. Wysyłaj SMS z naszymi imionami, a sprawdzimy, czy do siebie pasujecie („Ola-Marek: Daj sobie z nim spokój, on cię nie szanuje”). Tylko u nas najpiękniejsze gotowe życzenia walentynkowe! W kontekście tej reklamy gotowe życzenia bożonarodzeniowe to mały pan pikus – w końcu wysyłamy je do licznej rodziny i znajomych, więc mamy prawo stracić inwencję. Jeśli jej natomiast nie mamy dla Tej Jednej/Tego Jednego, to z nami jest już chyba naprawdę kiepsko. – Zresztą po co wysyłać życzenia, skoro można je powiedzieć? – zastanawiała się Szara. – Tak, i to nie tylko w walentynki, ale każdego dnia – dodał Szary.

JOLKA NR 6

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY
9-LITEROWE:

• MIERZY WYSOKO
• UJARTY W GŁOWACH
• SŁOWACH

WYRAZY
8-LITEROWE:

• DROBIAZG Z HŚNI
• ROSNĄ PO DESZCZU
• NAGRÓD

WYRAZY
7-LITEROWE:

• KLATKA Z POLOTEM
• GABCIA OBAMY
• STRUMIEN CZYTANIA
• SSONOWIE
• W WARSZAWIE

WYRAZY
6-LITEROWE:

• ROZPASANA WODA
• BEKS APPEAL
• PARZA W LETNIEJ
• WODZIE
• NIĆ ARIADNY
• NA BLONDYNKĘ

WYRAZY
5-LITEROWE:

• CZY TO PAŃSKI
• MICHAŁ?
• CHLEB
• POWSZEDNI
• TRABANTA
• GLÓD U NUT

• WYCISKANA
• RANO I WIECZOREM
• STARSZY NIŻ
• ŻŁOTA MALINA
• TY SIĘ WYJESZ,
• A ON ŁŚNI

WYRAZY
4-LITEROWE:

• KORZYŚĆ ZE ŹRÓDŁA
• WYŚWIECONA
• POD PASZAMI
• KRYJÓWKA ŚLIMAKA
• NA PĘDZLU
• ZGORZKNIAŁEGO
• IMPRESJONISTY
• DYKTATURA
• MAZURA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

FI2_C10_D7_J2_G8_C6_E3_ / H2_ / FI_A4_K11_C8_K5_B6_H6_ E10_B3_ / A8_B5_K10_I9_D11_E2_A1_ / D6_I5_H7_K1_D2_ / D1_I11_F10_ / G7_B9_G5_J4_E12_C4_I1_K12_.

LAUREACI Z NR. 2

KRZYŻÓWKA:

Maria Dziamba, Tarnobrzeg;
Włodzimierz Ogrodniczek,
Częstochowa; Janina Ozdowa, Płock;
Romuald Pohl, Zduńska Wola;
Lesław Stokci, Wrocław

JOLKA:

Małgorzata Ciba, Dwikozy;
Katarzyna Dziomek, Łódź;
Waldemar Kuczyński, Warszawa;
Aleksandra Pietkiewicz, Bydgoszcz;
Sławomir Rogulski, Łódź

THE LIMITS OF CONTROL.
CZYLI NIEOCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC

WYSTĘPUJĄ:
CHÓR KRYTYKÓW
oraz PUBLICZNOŚĆ

CHÓR KRYTYKÓW (stanowczo):
– Rany, co za pretensjonalna bzdziła!!!

PUBLICZNOŚĆ (nieskładnie):
– Hmm... Taak... Świadoma stylizacja, oniryczny klimat, wyjście poza schemat, filmowa podróż... No i w końcu to Jim Jarmusch...

Chór Krytyków wychodzi, trzaskając drzwiami. Publiczność pędzi do kin, robi tak zwaną frekwencję i w jeden weekend przegania „Avatara”.

KURTYNA z radości – nie zapada.

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

Bo, Wiesiek, Haiti Śmierć pojedyncza, wielośmierć, śmierć człowieka, śmierć języka. Czy można się z tym oswoić? Ale czy jesteśmy w stanie zauważyć te śmierci?

ROMAN KURKIEWICZ



JĘZYK GINIE, KIEDY UMIERA OSTATNIA osoba, która się nim posługuje, ostatnia, dla której to był pierwszy język, język, w którym po raz pierwszy wypowiedziała słowo, może to być „mama”? Języki umierają i odchodzą wraz z tymi, którzy w nich myślą, mówią, marzą. Osiemdziesięcioletnia Boa Sr od wielu lat była ostatnią osobą mówiącą prastarym językiem z Wysp Andamańskich. Językiem, którym, jak zapewniali fachowcy, ludzie porozumiewali się od 70 tysięcy lat. Przez ostatnie 30 lat w tym języku, języku bo, nie mogła już z nikim porozmawiać. Nikogo takiego nie było. Nikt już się nie nauczył tego języka. Czy miała świadomość, że wraz z nią te słowa i zdania już nie wybrzmiały w ludzkiej mowie? W gęstwinie tekstów, znaczeń, prostych przekazów i komunikatów? Zapewne nie. Żeby porozumiewać się z innymi, musiała nauczyć się jakiegoś języka obcego. Jej język został w tym czasie obcym dla wszystkich pozostałych mieszkańców globu.

Odszedł też Wiesiek Orłowski, muzyk, gitarzysta, grafik. Zmarł po długiej chorobie, zapewne wszystkim, którzy go znali, lubili, przyjaźnili się z nim, kochali go, nasuwa się słowo – przedwcześnie. Wiesiek komunikował się w języku powszechnym – muzyką. I tekstami w języku polskim. W tym sensie jego język trwa. Ale jego język mówiony, wyśpiewany, wyśmiany, wykrzyczany, wyszeptany – znika. Zosta-

je w zapisie, na nośnikach, które przeniosą piosenki jego zespołu Jak Wolność to Wolność w przyszłość. Na pożegnalnym spotkaniu po pogrzebie zebrani nucili, kołysali się, tańczyli. Była w tym czułość i przyjaźń. Była wolność. To było żywe pożegnanie, bo tak straszliwie żywą osobą był Wiesiek. Wulkanicznie energetyczny. Ale jego języka już nie będzie dłużej. Chociaż da się go wysłuchać. Jego słowa zanucić, wracać całe frazy z piosenek Jak Wolność... Jak wolność to wolność, to jest złoty łańcuszek i ogniwo do niego, nikt nie jeździ do Tych, a na tej lipce, na tej zielonutkiej, trzej ptaszki mieszkają... Jak inaczej brzmi język kogoś, kto odszedł.

Pochowano 200 tysięcy Haitińczyków. Każdy z nich mówił swoim językiem, marzył, śnił. Zniknęli jakby w jednej chwili. Już o nich nie mówimy. Już kamery się odwróciły. Już penetrują inny świat, już zapisują inne języki, już kręcą inne grzy i inne lzy. Tamte krzyki cichną, odchodzą gdzieś w egzotyczne wspomnienie abstrakcyjnej w swym ogromie tragedii.

Nasze języki wciąż trwają. Na razie. Kiedyś i one znikną. Nastanie cisza. Świat bez słów i dźwięków. Nasze języki wyznaczają granice świata. Wraz ze śmiercią Haitińczyków, Wieska, Boa Sr nasz świat się skurczył, granice zacisnęły. Słyszycie to? To słysząc mimo gwaru, którego nie da się ściszyć. □

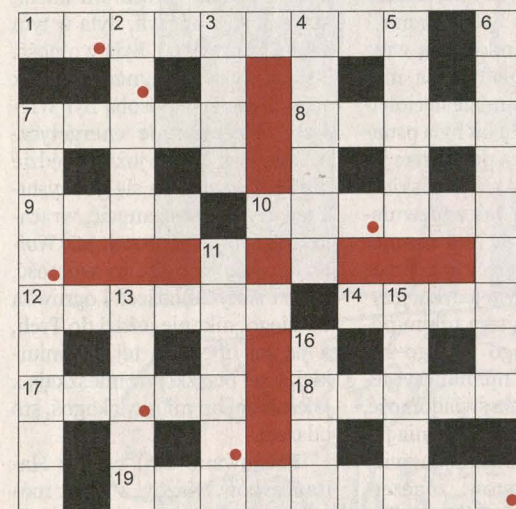
MYŚLNİK

Kochajmy zakochanych!

Krzysztof Bilica



KRZYŻÓWKA NR 6



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. BRYLEWSKI
7. STOI OTWOREM
8. KŁUJON
9. I PO HERBACIE
10. MA UCHO
12. WIEKSZOŚĆ DYPLOMATÓW
14. DZIADEK PUTINA
17. ZAPISAŁ OJCIEC SYNOWI
18. BIORĄ UDZIAŁ W ZJEŻDZIE
19. OFICER Z BORU

PIONOWO:

2. STAN SKUPIENIA
3. BICIE SERCA
4. PRZECINAJĄ WSTĘGĘ SZOS
5. WALCZY Z ORŁAMI
6. TRZYMIOTNIKI
7. TO BYŁA
11. RINGU STAR
13. POCOP?
15. JEDNA GOŁOTA
16. NOSZĄ OKULARY

ŁADNE RZECZY!

◀ Holenderska projektantka Joon-Soo Kim mówi nam: **rozchmurzcie się**. W końcu złośliwe opady wpływają także na samopoczucie. Nie tym razem

OLA SALWA

Zamiast papierosa

Czyli dlaczego burza, śnieżyca i ulewa mogą być dobre dla zdrowia

NIE, NIE BĘDZIEMY REKLAMOWAĆ PLASTERKÓW ANTNIKOTYNOWYCH, gum ani wszelkiej maści paskudztwa, które się łyka i żuje na świeżym powietrzu, żeby przestać się zaciagać. Za to zajmiemy wam ręce. Na rzucenie palenia najlepiej wybierz dzień, gdy potwornie śnieży lub leje – na szczęście ostatnio pogoda dość często serwuje solidne opady. Olej samochód, taksówkę, kaptury i to wszystko, co będzie terapeutycznym oszustwem. W ostateczności możesz założyć kalosze, choć przypadkowo złapany solidny katar tylko wesprze antynikotynową terapię. Wychodząc, zabierz fajną parasolkę. Dłoń, w której zazwyczaj trzymasz papierosa, zajmiesz czymś długim i ciężkim. Za to myśli skupisz teraz na zabawnym kształcie parasolki i konieczności zmagania się z przyrodą. Tylko jak zastosować tę metodę pod dachem, przy lampce wina? □

◀ **Wdzięczna i szczupła** laleczka to świetny pomysł na ozdabianie mieszkania w słoneczne dni. Kto powiedział, że parasolki trzeba ukrywać?

◀ Solidny uchwyt, niebezpiecznie **twarda rączka**. Kto tylko spróbuje cię napaść w ciemnej uliczce lub zabrać ci parasolkę podczas ulewy, pożałuje!

◀ Numbrella jest najbardziej ekscentryczną parasolką. Za to **świetnie chroni przed wiatrem** złośliwie zawiewającym śnieg i niszczącym fryzurę

ROZWIĄZANIA Z NR. 4

KRZYŻÓWKA: SZPARAG

Poziomo: 1. TELEWIZOR NA BAKTERIE – MIKROSKOP 7. SIEDZI W DOMU – CEGŁA 8. 50% PRAWDOPODOBIENSTWA – ORZEŁ 9. OKA USA – KITA 10. BABA RYBA – FLADRA 12. O TYŁE – COWŁOK 14. NI SREBRO, NI ZŁOTO – BRĄZ 17. NAD MORZEM – NIEBO 18. KOMÓRKA DO DZWONIENIA – BUDKA 19. AUTOSTOPIA – HULAINOGA
Pionowo: 2. KOKOLEGA – KOCUT 3. WIDZIMISIE – OMAM 4. OSTATNI KRZYK WODY – KROPLA 5. ZAWSZE PIERWSZY – PRZÓD 6. CYTRYNKA MA CZĄWKĘ – ŻÓŁTACZKA 7. KRYSZTAŁOWY INTERES – CUKROCH 11. NA OKO – MONOKL 13. PRZED NURKIEM – WÓDEK 15. GDZIE SIĘ PUSZCZA GÓRNIK – RADIO 16. WUJ SAMO ZŁO – ZBOI

JOLKA: ZBYT WIELE RZEK MIĘDZY NAMI (tytuł piosenki z repertuaru Marianny Wróblewskiej)

Rzędami: ZAGRODA, MILION, KLIKA, LITERATURA, SOLE, LADACIO, RZĄD, CZASOPISMO, KARTA, ADRESY, WTYCZKI
Kolumnami: ZAKOS, OBRZĘDY, GRILL, KIEUSZĘ, OPAT, DOPLYW, AMORKA, SKRY, PLATFORMA, DORZ, BOGRACZ, ATAKI

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Wygraj jeden z 10 zestawów płyt (CD+DVD) **Jasmine Roy „Rendez Vous in Paris”**. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO JOLKI lub PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „Jolka 6” lub „krzyżówka 6”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 15 lutego 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

KUBA DĄBROWSKI

Wirtuoz przekrzywionej perspektywy

Czasami nie trzeba wiele myśleć. Wystarczy wyjść na ulicę i po prostu fotografować. Najlepiej robił to Garry Winogrand

NOWY JORK, POCZĄTEK LAT 60. TŁOK, HAŁAS, ŻÓŁTE taksówki, biznesmeni, turyści i zwykli przechodnie. W centrum asfaltowej dżungli, w kawiarni na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Piątej Alei na górnym Manhattanie praktycznie co rano zbiera się grupka fotografów. Piją kawę, czytają gazety, pokazują sobie zdjęcia, później – już każdy osobno – wyruszają na łowy. Szwendają się i fotografują tłum. Potem jedzą razem lunch. Prowadzonym grupy jest Garry Winogrand. Doświadczony reporter pracujący na zlecenie magazynów „Life”, „Esquire” czy „Sports Illustrated” doszedł do wniosku, że uwolniona od konkretnego tematu fotografia uliczna to najlepszy sposób na uchwycenie ducha Ameryki. Po prostu miasto, po prostu scenki, po prostu ludzie. Najbardziej interesujące jest to, co z pozoru najnudniejsze.

Zdjęcia robię tylko po to, żeby zobaczyć, jak wygląda świat, kiedy się go sfotografuje



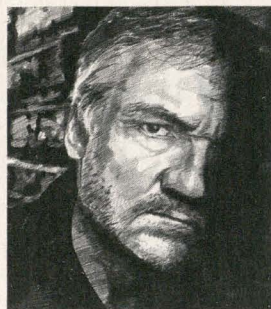
GARRY WINOGRAND

Urodzony nowojorczyk z akcentem z Bronksu ma niewiarygodne wyczucie poruszania się w tłumie. Widząc ciekawy kadr, bez obaw i bez pytania przystawia obcym aparat do twarzy. Jest fanem koszykówki – mówi, że robiąc zdjęcia, stosuje wyćwiczone podczas meczów zwo-

dy. Winogrand pracuje głównie w Nowym Jorku, ale w 1964 roku za pieniądze ze stypendium Guggenheima przemierza cały kraj. Fotograf stosuje radykalne środki wyrazu. Jak jazzmani i współcześni pisarze świadomie korzysta z przypadku i technicznych błędów. Dla uzyskania dynamiki nagminnie przekrzywia perspektywę w kadrze. – Nie wiem, o co chodzi, perspektywa jest prosta, to galerie krzywo wieszają moje zdjęcia – żartuje. Nie oszczędza klisz, fotografuje kompulsywnie, czasami zużywa całą rolkę, czekając na zmianę światła na przejściu dla pieszych. – Rejestruję tylko powierzchnię życia. Tylko to, co widać. Całą interpretację dopisuje sobie odbiorca – mówi. Skoro jego zdjęcia nie mają puenty, tekst o nich też jej nie ma.



Garry Winogrand umiera w 1984 roku na raka pęcherzyka żółciowego. Zostawia po sobie sześć tysięcy wywołanych i prawie trzy tysiące niewywołanych klisz oraz tysiące naśladowców



Samo założenie na nos polaryzacyjnych okularów trójwymiarowych P3D z soczewkami ponadwymiarowymi to już jest eksces nad ekscesami, coś dopiero reszta! Nie ma co się krygować: siedziałem w niebo przestrzennej technologii wzięty

JERZY PILCH

18 STYCZNIA

Z REGULARNYM CHODZENIEM DO KINA – fiasko zupełne, a nawet gorzej: w weekend podeszliśmy do twórczości filmowej z systematycznością patologiczną – w piątek „Rewers”, w sobotę „Biała wstążka”, w niedzielę „Avatar”.

Pierwszy utwór frapujący z bezliku powodów – od wzruszającego faktu, że akcja toczy się w roku 1952, poczynając, na konsekwentnie utrzymanej tonacji kończąc. Powszechny podziw podzielać bez zastrzeżeń, ale też wyrażam (tak jest: zrzędlivą) nadzieję, że tak świetny debiut nie stanie się ciężarem, że tak wysoko ustawioną poprzeczkę młody reżyser w następnych dziełach pokonywał będzie łatwo i z pozwalającym dalej ją podnosić zapasem. Generalnie sytuację ma trudną – fantastyczny debiut jest wielkim darem, ale jest też jedną z najmniej bezpiecznych rzeczy, jakie mogą się zdarzyć w sztuce; nieraz dalsza twórczość jest ściganiem samego siebie, z natury rzeczy to wyścig trudny, ale przez wielkich zawodników do wygrania, wystarczy ta własna bagatela: Wielkość.

Powszechnego natomiast zachwytu dla rzekomej głębi „Białej wstążki” nie podzielam najmniej z trzech powodów: po pierwsze, teza tego utworu (wbrew przypisywanym mu wieloznacznościom) jest nachalnie widoczna. Po drugie, brzmi ona, że źle traktowane dzieci źle będą też – jak dorosną – otaczający świat traktować – przy najlepszej woli nie jest to myśl nadmierną świeżością tchnąca. Aby było jasne: nie domagam się żadnej „nowości”, „oryginalności”, o „rewolucyjności” nie wspominając! Proszę bardzo: powtarzanie nie jest złe; niektórzy powiadają (nie bez racji), że wszystko jest powtórką – język wszakże musi być inny, powtarzać można, ale innymi sposobami, a tu jest i w tej materii powtórka, słowem – i to jest po trzecie – obrazy oraz ujęcia pięk-

ne i można by je z grzybkami podać, gdyby niejaki Ingmar Bergman wcześniej takich rzeczy nie uczynił.

Wtórność wyłazi zwłaszcza z dławiąco szczelnej powagi utworu. Bergman, tragiczny i pesymista, jakich mało w dziejach, w największych swych arcydziełach nie bał się śmiechu i wychodziła mu pełnia świata – Austriak pilnuje śmiertelnej aury, jakby się bał, że kara, jaką wymierza światu, nie będzie dość dotkliwa – w efekcie ani kara, ani dotkliwa.

„Dałem Bogu szansę, by mnie zabił” – mówi w filmie kroczące nad przepaścią dziecko i – jakkolwiek to brzmi – jest to wątek do pociągnięcia; może nawet w tym miejscu powinno być źródło energii utworu – zaniechana ta „szansa” została.

Obraz niby czarno-biały, w istocie szary. Pelen powagi autor poważne filmy oglądał, poważne książki czytał – we „Wstążce” tylko ich form używa. Tym większy mój kłopot, że z naturalną przychylnością reaguję na protestanckie klimaty i wszystkie „straszne czwartki w domach pastorów” mają u mnie w zaraniu dodatkowe punkty. Hanneke daje pretekst wyłącznie do negatywnego namysłu, w jego obrazie jak na dłoni wychodzi stereotyp surowości obecny w większości dzieł opiewających rzeczywistość protestancką – rzecz jasna, że surowe zimny i surowi pastory rządzą ewangelickimi krainami – tym bardziej pora na luterską komedię. Nie tylko z woli uzupełnienia tego braku siedzę nad „Wieloma demonami”.

19 STYCZNIA

„AVATAR”, RZECZ W MOIM WIEKU WYSOCE EKSCENTRYCZNA. Sama podróż na Sadybę do jednego z czterech ojczystych kin dysponujących imaksem 3D (DMR), samo założenie na nos polaryzacyjnych okularów trójwymiarowych P3D z soczewkami ponadwymiarowymi – to już jest eksces nad ekscesami, coś dopiero reszta! Nie ma co się krygować: sie-

działem w niebo przestrzennej technologii wzięty. Przyszło, ale przyszło późno? Gdybym na takich filmach był w dzieciństwie – uszkodziłyby one wyobraźnię czy ją uwolniły? Bogu dziękować, że takie iluzje były w mityczny czas niedostępne, a niedzielne poranki w wistawskim kinie Marzenie, owszem, dech zapierały, ale na czytanie książek czasu zostawiały sporo? Nie zdaje mi się, by były to rozstrzygalne kwestie. Cieszę się, że dożyłem, choć ciekawość, jakie filmy za tysiąc lat będą na Sadybie wyświetlane, zarówno mnie pali, jak i przygnębia.

20 STYCZNIA

JAK SIĘ CZŁOWIEK ZACZYNA WOKÓŁ JEDNEJ SPRAWY KRĘCIĆ, nagle wszystko zdaje się nią naznaczone. Na co spojrzysz, co usłyszysz, co weźmiesz do ręki – żalobnie przemawia, śmiertelne daje znaki, końcówkę szyfruje. Zwłaszcza książki – jakby się zmówiły. Skądinąd nie dziwota. Czy istnieje, czy w ogóle jest możliwa ważna literatura bez tematu śmierci? Bez Boga owszem, choć rzadko i zawsze jest to lód przeraźliwy. Ale bez śmierci? Komedia? Komedia, w której nikt nie umiera, zawsze będzie mniej warta od komedii choćby z jednym tylko nieboszczykiem.

Zacząłem kartkować właśnie przez Świat Książki wydaną rzecz Juliana Barnes’a „Nie ma się czego bać” i natychmiast trafiam na kolejny wariant „dawania Bogu szansy”.

„W czerwcu 2006 roku w kijowskim zoo pewien mężczyzna spuścił się po linie w sam środek wybiegu dla lwów i tygrysów. Zsuwając się w dół krzychał coś do tłumu gapiów. Według jednego ze świadków wołał, że kto wierzy w Boga, nie musi się obawiać lwów, według innego deklarował wyzywająco: Bóg mnie ocala, jeśli istnieje! Ów metafizyczny provocateur zjechał na dół, zdjął buty i ruszył w stronę zwierząt; w tym momencie poirytowana lwica zważyła go na ziemię i przegryzła mu tętnicę szyjną. Czy dowodzi to – pyta Barnes – że a) mężczyzna był szalony; b) Bóg nie istnieje; c) Bóg mimo wszystko istnieje, ale nie ujawni się z powodu tak tanich sztuczek; d) Bóg mimo wszystko istnieje i właśnie pokazał, że nieobca jest mu ironia; e) niczego z powyższych?”

Co do Boga – jest jeszcze kilka wariantów. Co do mężczyzny – nie był on moim zdaniem ani szalony, ani nadto prowokacyjny. Owszem, pobożny bardzo, ale i skromny, wszystkim Boga nieobciążający, zszedł przecież po linie; nie rzucił się, nie żądał, by Pan pozwolił mu bezpiecznie wylądować albo zatrzymał go w locie. Rozstrzygający gest: zdjęcie butów. Zdjęcie butów, by nie dostał się do nich piach, którym niechybnie wypłany był wybieg, niezbitcie dowodzi nie tylko rozsądku, ale i zapobiegliwości. Silnie wierzący, skromny, skrzętny, gospodarny... Ewangelik?



W najnowszym numerze również:

- Paprocki i Brzozowski – polscy Dolce&Gabbana
- Jude Law – wiarołomny nawrócony
- Królowa Elżbieta II kontra synowe
- Jacek Santorski: Czym kończy się seks w pracy

SIĘGNIJ PO SUKCES



Škoda Superb Combi JESZCZE BARDZIEJ SUPERB



SILNIKI BENZYNOWE OD 1.4 TSI 125 KM AŻ DO 3.6 V6 260 KM.

SILNIKI WYSOKOPRĘŻNE OD 1.9 TDI 105 KM DO 2.0 TDI CR 170 KM.

BAGAŻNIK O POJEMNOŚCI 633 L, A PO ZŁOŻENIU SIEDZEŃ AŻ 1865 L.

NAPĘD NA 2 KOŁA LUB 4X4 ZE SPRZĘGŁEM HALDEX 4. GENERACJI.

DLA PRZEDSIĘBIORCÓW PROMOCYJNA OFERTA LEASINGOWA.

MOŻLIWOŚĆ ODLICZENIA 22% PODATKU VAT.

NOWA ŠKODA SUPERB COMBI. JESZCZE BARDZIEJ SUPERB.

VOLKSWAGEN LEASING POLSKA SP. Z O.O.

www.skoda-auto.pl

